



ODPOWIEDZI NA TRUDNE PYTANIA  
DZISIEJSZEGO ŚWIATA  
TOM X







# Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata Tom dziesiąty

Konwersatoria  
w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie  
poświęcone przesłaniu Ojca św. Jana Pawła II

Pod redakcją  
Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło



Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin

Warszawa 2015



Wydawnictwo SWPR  
Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin  
ul. M. Grzegorzewskiej 10  
02-778 Warszawa  
tel. (22) 644 07 97  
www.swpr.edu.pl

ZAPISU Z NAGRANIA DOKONAŁ:  
Marcin Borzęcki

OKŁADKA:  
Joanna Łokietek

SKŁAD, ŁAMANIE, REDAKCJA TECHNICZNA:  
Joanna Łokietek

KOREKTA:  
Urszula Kossowska-Cezak

FOTOGRAFIE W TEKŚCIE:  
Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

DRUK FINANSOWANY:  
Jacek Waksmundzki

DRUK:  
ELPIL Siedlce

Wydanie I

ISBN: 978-83-61140-64-1

## SPIS TREŚCI

Przedmowa .....	7
<i>Czy władzę widzę jako służbę?</i>	
Elżbieta Mycielska-Dowgiałło (prowadząca), Maciej Trybulec, Elżbieta Piórkowska, Jerzy Szyszko, Wojciech Zabłocki, Paweł Zalewski .....	9
<i>Moje powołanie – jak je rozumiem i realizuję?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), s. Leonarda Brzozowska, Ewa Cygańska, Ewa Ślizień-Kuczapska, Lech Królikowski .....	46
<i>Czy tradycyjne zwyczaje dnia Wigilijnego, Bożego Narodzenia i Święta Trzech Króli są dla mnie ważne i dlaczego?</i>	
Elżbieta Mycielska-Dowgiałło (prowadząca), Magdalena i Mateusz Dembińscy, Małgorzata i Jan Żaryn, Joanna Puchalska .....	71
<i>Czy sumienie w zawodzie uważam za zbędny balast czy czynnik rozwoju?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Bogdan Chazan, Michał Otrębski, Witold Kołodziejski .....	99
<i>Jak rozumiem odpowiedzialne rodzicielstwo?</i>	
Ks. Tadeusz Bożełko (prowadzący), Marta i Andrzej Witteccy, Joanna i Mariusz Dzieciątko, Barbara i Grzegorz Cieślik, Maria i Lech Łubowicz .....	131

*Jakie są moje uzależnienia i jak z nimi walczyć?*

Ks. Tadeusz Bożełko (prowadzący), Artur Groszek,  
Jacek Racięcki ..... 167

*Czy opieka nad chorym człowiekiem jest wzajemnym  
obdarowywaniem?*

Ks. Adam Zelga (prowadzący), s. Teresa Toczyłowska,  
Barbara Kowalska ..... 189

*Czy biorę odpowiedzialność za Kościół i jak ją realizuję?*

Ks. Adam Boniecki (prowadzący), Jacek Waksmundzki,  
Joanna Świącicka, Marek Cichucki, Grzegorz Polak ..... 209

Spis treści dziewięciu tomów „Odpowiedzi na trudne  
pytania dzisiejszego świata” ..... 244

Wydawnictwo SWPR – przegląd wydanych pozycji ..... 251

## *Przedmowa*

Tom dziesiąty, który obecnie oddajemy do rąk czytelników, zawiera teksty ośmiu Konwersatoriów, które odbywały się regularnie, w odstępach comiesięcznych w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie (ul. Grzegorzewskiej 10, na Ursynowie) w roku akademickim 2014/2015. Każdy tekst Konwersatorium poprzedzony jest cytatami z wypowiedziami na dany temat.

Tom dziesiąty jest tomem szczególnym – tomem jubileuszowym. Jest świadectwem niezwyklej rzeczy – zapisem comiesięcznych spotkań, które już od dziesięciu lat, bez jednego miesiąca przerwy, odbywają się w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin. Są one zajęciami formacyjnymi dla naszych studentów jak również skupiają coraz liczniejsze grono słuchaczy z całej Warszawy i nie tylko.

Tom dziesiąty, podobnie jak wszystkie poprzednie tomy, opiera się na osobistych świadectwach osób zapraszanych do panelu, uczestników spotkań, jak i na wypowiedziach przesyłanych drogą korespondencyjną. Wszystkim serdecznie dziękuję w imieniu własnym, jak i stale rosnącego grona odbiorców tekstów Konwersatoriów na całym świecie. Wielu z nich, za co szczególnie jestem im wdzięczna, rozsyła nasze teksty dalej, uznając je za warte tego. Bóg im zapłać.

Na końcu dziesiątego tomu został zamieszczony spis treści wszystkich tomów poprzednich. Uniwersalność tematów oraz żywość i autentyczność wypowiedzianych świadectw powodują, że nie tracą one na aktualności i stale znajdują nowych czytelników.

Szczególne podziękowanie kieruję do Księży: Adama Zelgi, Tadeusza Bożełki i Adama Bonieckiego, którzy prowadzili nasze spotkania, poprzedzając je własnymi świadectwami.

Serdecznie dziękuję Marcinowi Borzęckiemu, który, podobnie jak w latach poprzednich, spisywał nagrane wypowiedzi, czyniąc to sprawnie i terminowo.

Korektę wszystkich tekstów Konwersatoriów, jak i złożonej już książki, wykonała dr Urszula Kossowska-Cezak. Jej ogromnemu

doświadczeniu i skrupulatności zawdzięczamy wysoki poziom edytorski kolejnych tomów „Odpowiedzi...” Serdecznie jej za to dziękuję.

Łamanie i składanie tomu dziesiątego, podobnie jak tomów poprzednich, zawdzięczamy Joannie Łokietek, której wysokie kwalifikacje gwarantują piękny, ostateczny efekt naszego wspólnego dzieła. Jej autorstwa jest również okładka tomu.

Chcę wyrazić również swoją wdzięczność i uznanie drukarni ELPIL w Siedlcach, z którą współpracujemy od lat, a szczególnie panu Jarosławowi Baranowi, odpowiedzialnemu bezpośrednio za druk naszych książek, na którym nigdy się nie zawiedliśmy.

Obecny dziesiąty tom „Odpowiedzi...” , podobnie jak i tomy poprzednie, nie mógłby się ukazać bez wsparcia finansowego pana Jacka Waksmundzkiego. Jemu zawdzięczamy, że książki docierają do osób, których nie byłoby stać na ich zakup. Bardzo serdecznie mu za to dziękuję.

Wszystkie informacje dotyczące Konwersatoriów i wydawanych u nas książek można znaleźć na naszej stronie internetowej ([www.swpr.edu.pl](http://www.swpr.edu.pl)).

Książki można nabywać za pośrednictwem internetu ([swpr@swpr.edu.pl](mailto:swpr@swpr.edu.pl)), zaliczenia pocztowego lub bezpośrednio w sekretariacie Uczelni (ul. M. Grzegorzewskiej 10, 02-778 Warszawa, tel. 22 644 07 97).

W trzecią sobotę października 2015 roku (17 października) rozpoczynamy kolejny, jedenasty rok spotkań. Serdecznie zapraszam wszystkich zainteresowanych.

Osoby, które chciałyby na bieżąco otrzymywać drogą mailową teksty Konwersatoriów, proszę o przesłanie na adres Uczelni ([swpr@swpr.edu.pl](mailto:swpr@swpr.edu.pl)) swojego adresu mailowego z adnotacją: „przesyłanie tekstów Konwersatoriów”.

*Prof. dr hab. Elżbieta Mycielska-Dowgiatto*  
*Rektor Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie*

Warszawa, lipiec 2015 r.



*Czy władzę widzę jako służbę?*





## Cytaty

### **Władza to służba – wypowiedź ks. biskupa Jana Bernarda Szlagi (fragment)**

W dialogu Chrystusa z Piłatem właśnie on zaczął spór o władzę. Namiestnik rzymski, przekonany o swej bezwzględnej przewadze nad Chrystusem, mówił, że ma prawo Go uwolnić, ma też prawo skazać. Jezusowe słowa: „nie miałbyś żadnej władzy nade mną, gdyby ci z góry nie była dana”, stanowią klucz do zrozumienia istoty władzy wszystkich rządzących. To Bóg niejako dzieli się swoją władzą z ludźmi, których w wolnych wyborach wskazuje społeczeństwo. Dla rządzących oznacza to kierowanie się tym, co daje mocny fundament życia społecznego, a w naszym najgłębszym przekonaniu jest to uznanie Bożego prawa w całej rozciągłości, a więc i w zakresie polityki, i gospodarki, ustawodawstwa społecznego, a nade wszystko życia religijnego. Swoim uczniom Jezus mówił: „Wiecie, że władcy narodów uciskają je, a wielcy dają im odczuć swą władzę. Nie tak będzie u was” (Mt 20, 25). Jezus stwierdza, że władza to służba. Dlatego Jego królestwo „to prawda i życie, świętość i łaska, sprawiedliwość, miłość i pokój”.

### **Benedykt XVI – Władza oznacza służbę, miłość i pokorę (rozwążanie przed modlitwą „Anioł Pański”, 29 stycznia 2012 – fragment)**

Często dla człowieka władza oznacza posiadanie, moc, panowanie, powodzenie. Tymczasem dla Boga władza oznacza służbę, pokorę, miłość; oznacza wchodzenie w logikę Jezusa, który pochyla się, aby umywać nogi uczniom (por. J 13, 5), który pragnie prawdziwego dobra człowieka, który leczy rany, który jest zdolny do tak wielkiej miłości, że daje swoje życie, bo jest Miłością. W jednym ze swoich listów św. Katarzyna ze Sieny pisze: „Trzeba, abyśmy naprawdę widzieli i poznawali dzięki światłu wiary, że Bóg jest najwyższą i wieczną Miłością i może pragnąć jedynie naszego dobra”

(List 13, w: *Le Lettere*, t. 3, Bologna 1999, 206).

**Benedykt XVI – Królowa, która jest służebnicą (audiencja generalna 22 sierpnia 2012, Castel Gandolfo – fragment)**

A teraz zastanówmy się, co oznacza, że Maryja jest Królową. Czy jest to tylko tytuł, dodany do innych, korona, ozdoba jak inne? Co to oznacza? Czym jest ta królewskość? Jak już zostało wspomniane, jest ona konsekwencją Jej zjednoczenia z Synem, tego, że przebywa w niebie, czyli w komunii z Bogiem; Ona ma udział w odpowiedzialności Boga za świat i w miłości Boga do świata. Panuje powszechnie, pospolite wyobrażenie o królu lub królowej, że jest to osoba mająca władzę, bogactwo. Ale nie tego rodzaju jest królewskość Jezusa i Maryi. Weźmy pod uwagę Pana: na królewskość i bycie królem Chrystusa składa się pokora, służba, miłość: jest to przede wszystkim służenie, pomaganie, miłowanie. Pamiętajmy, że Jezus został ogłoszony królem na krzyżu, mówił o tym napis umieszczony z polecenia Piłata: „Król żydowski” (Mk 15, 26). W owej chwili na krzyżu okazuje się, że jest On królem. A w jaki sposób jest królem? Cierpiąc z nami, za nas, kochając do końca, i w taki sposób panuje i stwarza prawdę, miłość, sprawiedliwość. Pomyślmy też o innej chwili: w czasie Ostatniej Wieczerzy pochyła się, by umyć nogi swoim uczniom. A zatem królewskość Jezusa nie ma nic wspólnego z królewskością możnych tej ziemi. Jest Królem, który służy swoim sługom; pokazywał to całym swoim życiem. To samo dotyczy Maryi: jest Królową w służbie Boga dla ludzkości, jest Królową miłości, która swoje życie czyni darem dla Boga, aby włączyć się w plan zbawienia człowieka. Odpowiada aniołowi: „Oto ja służebnica Pańska” (Łk 1, 38), a w *Magnificat* śpiewa: Bóg „wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej” (Łk 1, 48). Pomaga nam. Jest Królową właśnie przez to, że nas kocha, że nam pomaga w każdej naszej potrzebie; jest naszą siostrą, pokorną służebnicą.

## KONWERSATORIUM LXXIII

(18 października 2014)

### Czy władzę widzę jako służbę?

**Prowadzący:** **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło** (prowadząca), **Maciej Trybulec**, prezes firmy farmaceutycznej Sanofi Pasteur w Polsce i na Ukrainie, założyciel i lider Santo subito przy parafii p.w. św. Ojca Pio w Warszawie na Ursynowie; **Elżbieta Piórkowska**, koordynator hospicjum domowego; **Jerzy Szyszko**, dyrektor operacyjny PepsiCo Consulting Polska Sp.; **Wojciech Zabłocki**, historyk, publicysta, radny dzielnicy Ursynów w Warszawie; **Paweł Zalewski**, współprzewodniczący Polsko-Ukraińskiego Forum Partnerstwa, były przewodniczący Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych.

#### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Ksiądz Adam Zelga prosił mnie o zastąpienie go w czasie dzisiejszego Konwersatorium, bo wypadły mu nieprzewidziane obowiązki. Witam serdecznie wszystkich panelistów.

Temat dzisiejszego Konwersatorium „czy władzę widzę jako służbę” dotyczy bardzo wielu osób, bo władzę ma zarówno szefowa sprzątaczek, jak i prezes banku czy minister. Każdej z tych osób przyjmującej stanowisko kierownicze można byłoby zadać pytanie, czym ono jest dla niego. Czy dąży ona do osiągnięcia stanowiska kierowniczego wyłącznie dla prestiżu, uposażeń i różnego rodzaju korzyści, czy też godzi się na przyjęcie tego stanowiska, zdając sobie sprawę, że jest to przede wszystkim dbanie o podległych sobie ludzi, czyli służba, przy tym bez profitów, których po prostu nie wypada przyjmować. Czyli są możliwe dwa różne podejścia.



Paneliści. Od lewej: Paweł Zalewski, Wojciech Zabłocki, Elżbieta Piórkowska



Też paneliści. Od lewej: Elżbieta Piórkowska, Maciej Trybulec i Jerzy Szyszko

Moim zdaniem to, jak rozumiemy władzę, zależy w dużym stopniu od tego, jaki model wynieśliśmy z domu. Powiem o moim domu. Począwszy od moich dziadków po obu stronach i moich rodziców, zawsze pomoc potrzebującemu była na pierwszym miejscu, nie mówiąc już o traktowaniu w bardzo uprzejmy sposób współpracowników czy pracowników. Zawsze było ważne widzenie drugiego człowieka. Pamiętam, gdy mój starszy brat, wówczas kilkuletni, odezwał się niegrzecznie do naszej niani, został natychmiast ukarany przez rodziców i dostał nakaz przeproszenia niani. To wywarło na nas duży wpływ.

Tak daleko jak sięgam pamięcią, zawsze były w naszym domu osoby, którymi rodzice się opiekowali, niezależnie jakie były warunki materialne w danym okresie. Bo były okresy naprawdę bardzo trudne, np. wtedy kiedy w czasach stalinowskich mój ojciec, profesor prawa na Uniwersytecie Wrocławskim, stracił pracę, został jako jeden z nielicznych profesorów w Polsce wyrzucony ze stanowiska. To był naprawdę ciężki okres, bo nasz dom był pełen ludzi, moja matka nie pracowała, a jedyny żywiciel rodziny został bez pracy. Wtedy wyjechaliśmy z Wrocławia. Mieszkaliśmy przez jakiś czas w Magdalence. Pamiętam takie dni, gdy moja matka wysyłała mnie z moim rodzeństwem, żebyśmy nazbierali grzybów w lesie, bo makaron z sosem grzybowym to była jedyna potrawa na obiad. To były ciężkie czasy, ale odpowiedzialność za te osoby, które z nami mieszkały, była w pierwszej kolejności. Nigdy nie wchodziło w rachubę, by pomyśleć o ich wyrzuceniu ze względu na warunki, które miałyby nie pozwolić się nimi opiekować. Myślę więc, że model, który wynieśliśmy z domu, jest tym, który nas ukształtował.

### **Elżbieta Piórkowska**

Pracuję w Hospicjum Onkologicznym na Ursynowie. Mam już za sobą 25 lat pracy. Zaczęłam moją pracę przypadkowo, bo jestem z wykształcenia pielęgniarką i nigdy nie sądziłam, jako młoda dziewczyna wychowująca dwie córki, że będę pracowała w hospicjum i zajmowała się chorymi onkologicznie w ostatnich dniach czy tygodniach ich życia. Jestem jedynaczką, wychowaną w rodzinie ro-

botniczej. Odkąd pamiętam, zawsze robiłam zastrzyki lalkom, kroiłam im brzuchy i chciałam być lekarzem. Niestety mój tato zmarł wczesnie i nie było finansów, bym mogła sobie pozwolić na dalsze studia, tym bardziej poza Warszawą. Mama nie chciała się zgodzić, bym była pielęgniarką, uważała, że to mało atrakcyjny zawód. Wolała, bym była kimś innym. Dlatego musiałam skończyć kilka kierunków. Poszłam do liceum mechanicznego, potem do liceum ekonomicznego i w końcu, kiedy już miałam te lata, gdy mogłam sama decydować, poszłam do liceum medycznego. Pokończyłam wszystkie etapy i trafiłam do hospicjum. I tak się zaczęło.



Elżbieta Piórkowska

Gdy rozpoczynałam pracę w hospicjum, nie miałam żadnego pojęcia o tym środowisku. Zostałam rzucona na głęboką wodę, bo zostałam przydzielona do zespołu, który miał stworzyć opiekę domową w hospicjum. Nie mieliśmy jeszcze budynku, nie mieliśmy nawet modelu, jak ma to wyglądać. Jeździłam na różne spotkania, konferencje. Tam poznałam ludzi, którzy zajmują się tą dziedziną i

doszłam do wniosku, że powinnam to robić. Opierałam swoje działania na doświadczeniach z Anglii i innych krajów, bo nie mieliśmy tu w Polsce na ten temat żadnej wiedzy. To, co wtedy stworzyłam, funkcjonuje do tej pory. Mamy świetnych pracowników, świetny zespół i tak jak słyszę, opinie są też o nas bardzo dobre. Jestem koordynatorem opieki domowej. Jestem najstarszym pracownikiem hospicjum. Ludzie, którzy przychodzą do nas pracować, zostają. Nie są to osoby z przypadku, lecz ludzie z powołania. Praca jest bardzo ciężka i właściwie trudno mówić o uczciwym wynagrodzeniu, bo to, co dostajemy z NFZ, to symboliczna kwota potrzebna do przżycia. Staramy się służyć. Opierając się na sumieniu, mimo że czasem brakuje siły. Moja praca to jest służba i wymagam od pracowników służby zrozumienia, sprawiedliwości, odpowiedzialności i pomocy. Szczęśliwie w mojej własnej rodzinie znajduję pełną akceptację.

### **Paweł Zalewski**

Dziękuję bardzo za zaproszenie. Biorę już drugi raz udział w Konwersatorium. Pierwszy raz było to dziewięć lat temu, w październiku 2005 roku, w pierwszym Konwersatorium. Bardzo się cieszę, że mogę być dzisiaj z państwem powtórnie, jak również cieszę się z tematu, który będziemy dzisiaj poruszać. Jest on początkiem wszystkiego, szczególnie jeśli wybiera się pracę publiczną. Warto wracać co jakiś czas do postawionego tu pytania, choćby dlatego, że w normalnym życiu człowiek czasami o tych podstawowych sprawach zapomina. Szczególnie politycy powinni takie pytania przed sobą stawiać. Właśnie polityka jako służba czy polityka jako dążenie do własnych, prywatnych celów to jest w największym stopniu efekt wychowania. Przy czym dobrze jest, jeśli przykłady służby są wyniesione z domu, ale czasami brak ich w domu, natomiast człowiek czerpie wzorce, które dają mu inni. Ja również miałem przykład służby drugiemu człowiekowi w moim rodzinnym domu, z tym że do pojęcia polityka jako tego, który ma służyć, dodałbym jeszcze inne pojęcie, mianowicie obowiązku walki o niepodległość. Polska jest takim krajem, który wielokrotnie musiał

odzyskiwać niepodległość i wiele lat walczyć o niepodległość. Gdy ktoś walczy o niepodległość, to w oczywisty sposób jego podejście do życia publicznego jest trochę inne, bo ryzykuje coś, co ma najważniejszego, nie tylko majątek, ale całego siebie, całe swoje życie. Myślę, że ten splot walki o niepodległość i służby publicznej, który składa się na politykę, jest naszym narodowym dziedzictwem, naszą wielką narodową tradycją. Gdy rozmawiałem z moimi kolegami politykami w Parlamencie Europejskim z różnych krajów Unii Europejskiej, to miałem wrażenie, że oni trochę inaczej traktują politykę. Wprawdzie traktują ją także jako służbę, ale podchodzą do niej mniej osobiście, a bardziej profesjonalnie. Traktują ją na chłodno, bez osobistego zaangażowania, interesując się bardziej efektami, które powinni uzyskać. Ja natomiast mam takie wrażenie, że my w Polsce szalenie angażujemy się psychicznie, wewnątrz i emocjonalnie w to, co robimy w polityce.



Paweł Zalewski

Dla mnie niedościgłym przykładem był marszałek Józef Piłsudski, człowiek, który całym swoim życiem udowodnił, że walczy o Polskę dlatego, że ją kocha. Później, kiedy został już Naczelnikiem Państwa, był również przez wiele lat, po przewrocie majowym, szefem Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Przez cały ten czas oddawał swoją pensję na stowarzyszenie wdów po legionistach, a żył z tego, co uzbierali dla niego jego podwładni. Po jego śmierci, kiedy okazało się, że Marszałek nie zostawił żadnego majątku, żona marszałka, Aleksandra i ich dwie córki były utrzymywane również ze składek podkomendnych. W jaki sposób można społeczeństwu pokazać lepszy przykład osoby, która zaangażowała się na rzecz stworzenia wolnego państwa polskiego, a równocześnie nie czerpała z tego żadnych dochodów? Piłsudski stracił majątek na Litwie, miał tylko mały majątek, który odzyskała żona marszałka na wileńszczyźnie, nie przynosił on jednak większych dochodów. Piłsudscy przez cały okres, nawet gdy Marszałek był u steru władzy, żyli w warunkach bardzo skromnych. To jest przykład, który w okresie dwudziestolecia był bardzo częsty.

Innym przykładem polityka, który traktował swoją pracę jako służbę publiczną, był Walery Sławek, postać dzisiaj zapomniana, były premier w okresie międzywojennym, typowany na następcę Piłsudskiego. Był człowiekiem, który zawsze zachowywał się z honorem. Traktował politykę jako służbę, nigdy nie zwracał uwagi na kwestie materialne. Może to było to pokolenie, które przez to, że przeszło przez walkę o niepodległość, najpierw podczas rewolucji w 1905 roku, potem legiony, wojnę polsko-bolszewicką i budowę państwa, miało szczególny rys. Był to okres, który kształtował charakter ludzi, którzy wchodzili z walki do polityki.

Jest to również moja tradycja rodzinna. Mój dziadek był legionistą, podobnie jak wszyscy jego kuzyni, a później pracował w Polskim MSZ, co też traktował jako wielką służbę dla Polski. Na przykład, jego praca przed wojną w konsulacie w Tbilisi wymagała osobistych wyrzeczeń.

Patrząc na to pokolenie z dzisiejszej perspektywy, myślę, że jego pewne cechy miało pokolenie, które doszło do władzy w Polsce po

roku 1989. Władzę w Polsce wówczas objęli ludzie, którym też chodziło o Polskę, którzy też o Polskę walczyli, ryzykowali. I myślę, że ten rytm walki, najpierw Solidarności, potem okresu stanu wojennego bardzo hartował charaktery. Gdy popatrzymy dzisiaj na 25-lecie Polski i przypominamy sobie ludzi, którzy otaczali premiera Mazowieckiego, to uważam, że ci ludzie mogą być dla nas wzorem pracy publicznej jako służby, a nie jako mechanizmu budowania swojej osobistej pozycji. To były szczególne czasy.

Dzisiaj mamy 25 lat wolnej Polski. Mamy młodych ludzi, którzy wchodzą do polityki w zupełnie innych warunkach. Polska oferuje obecnie znacznie więcej możliwości niż kiedyś. Mimo tego jest wciąż wiele problemów społecznych i wciąż jest duża grupa ludzi, którzy żyją na bardzo niskim poziomie. Równocześnie jest bardzo wiele konkurencyjnych profesji, gdzie ci, którzy chcą zbudować swoją przyszłość ekonomiczną, mają taką możliwość. Dla mnie to jest coś pozytywnego, jeśli ludzie uczciwi się dorabiają, bogacą i wiedzą, co z tym majątkiem zrobić. W przypadku ludzi, którzy zakładają rodziny, jest to również ich obowiązkiem, bo przecież rodzina, dzieci muszą mieć normalne warunki funkcjonowania. Obok tego jest polityka i dla mnie jest bardzo ciekawe i ważne, jakimi motywacjami i nadziejami kierują się młodzi ludzie, którzy wchodzą do polityki. Czy mają w pamięci te pokolenia i tych ludzi, o których mówiłem, którzy ustawili bardzo wysoko poprzeczkę oczekiwanom społecznym, i jak potrafią godzić obowiązek bycia ojcem i mężem, czyli głowy rodziny, z obowiązkiem pracy dla innych i służenia innym. Wydaje mi się, że dla tych, którzy przeszli przez okres walki o niepodległość, służba była czymś naturalnym. Nam było łatwiej, bo pewne rzeczy były oczywiste i nie było wyboru. A dziś ten wybór jest.

### **Wojciech Zabłocki**

Zostałem wywołany do wypowiedzi jako przedstawiciel pokolenia lat 80. Urodziłem się w 1985 roku, więc z innej perspektywy patrzę na politykę, mam inne doświadczenia i pewnie nieco inne motywacje. Wydarzenia, które przeżyli obecnie rządzący, mogą

znać tylko z archiwów, z opowiadań, książek, z telewizji, ale sam ich nie przeżyłem, bo w końcowych czasach komunizmu byłem jeszcze małym dzieckiem.

Na początku chciałbym zdefiniować, jak ja widzę pojęcie władzy, zawężając ją do procesu podejmowania decyzji w imieniu grupy. Jestem radnym dzielnicy, czyli osobą, która powinna być najbliższej mieszkańców i w ich imieniu decydować o rozwoju okolicznych osiedli. W przypadku dzielnicy Ursynów grupa ta jest bardzo duża, bowiem liczy ponad 150 tysięcy mieszkańców.



Wojciech Zabłocki

Podjęcie decyzji w imieniu grupy to duża odpowiedzialność, więc warto zastanowić się, co motywuje ludzi do zaangażowania w działalność publiczną. Wielu ludzi uważa oczywiście, że do polityki idą tylko ludzie żądni kariery, pieniędzy i prywatnych korzyści. Natomiast sami politycy tłumaczą swoje zaangażowanie patriotyzmem. Motywacja materialna jest oczywiście naganna,

a osoby szukające w polityce pieniędzy powinny lepiej zająć się biznesem. A tak chętnie przywoływany przez rządzących patriotyzm to trochę za mało, bowiem miłość do Ojczyzny nie oznacza automatycznie konieczności angażowania się w politykę. W Polsce mamy w końcu miliony patriotów, który z polityką nic wspólnego nie mają. Na przykład moi rodzice, jako patrioci, wychowali mnie na osobę, która kocha Polskę, ale sami nigdy nie myśleli o działalności publicznej. Czyli to nie jest tak, że patriotyzm musi być głównym bodźcem, żeby pójść do polityki. On jest cechą bardzo ważną i konieczną, ale żeby zostać politykiem, niezbędne są również pewne predyspozycje. Ja, odkąd pamiętam, zawsze interesowałem się polityką. Kiedy miałem 11 lat, jeszcze w swojej szkole podstawowej, przeprowadziłem pierwszą w historii szkoły kampanię wyborczą do samorządu szkolnego. Wcześniej uczniowie wybierali po prostu ulubionych kolegów, ja zaś zrobiłem plakaty, ulotki, miałem mały sztab, swoją listę wyborczą. I dzięki temu wygraliśmy. Myślę, że zamiłowanie do działalności publicznej trzeba mieć po prostu we krwi.

Drugie kwestia, do której chciałbym się odnieść, to przyczyna zainteresowania działalnością społeczną. Wydaje mi się, że jest to kwestia dwóch elementów. Po pierwsze chęci tworzenia, a po drugie bunt wobec bezsilności. W tej chwili jestem radnym dzielnicy i od czterech lat angażuję się w realizację różnych projektów. Wielu z nich jednak nie da się przeprowadzić bez zgody Rady m.st. Warszawy, która decyduje o kwestiach finansowych i wiele projektów dzielnicowych opóźnia, lekceważy lub stawia niezrozumiały dla dzielnicowych radnych opór. Z perspektywy władz miasta stworzenie małego parku lub budowa nowej drogi może być mało istotna, ale dla lokalnej społeczności mogą to być sprawy bardzo ważne. Jako radny dzielnicy mam dosyć bezsilności i obecnie kandyduję do Rady Warszawy, mając nadzieję, że tam uda mi się dokończyć projekty zainicjowane w radzie dzielnicy. Co będę robił później, za kilka kolejnych lat, jeszcze nie wiem, ale na pewno będę chciał zmieniać istniejącą rzeczywistość na lepszą. Chcę podkreślić, że zmianę rozumiem tutaj jako proces dynamiczny, ale mający dwa wymiary. Możemy chcieć zmiany w postaci reformy – wtedy two-

rzymy coś nowego, kreujemy. Z drugiej strony – możemy stawać w obronie istniejącego porządku, zmieniając tendencje, które nas niepokoją, z którymi się nie zgadzamy. W moim wypadku działalność nie polega tylko na tym, by modernizować świat, ale również bronić tego istniejącego, walczyć o wartości, które są zagrożone, a które stanowią fundament naszej cywilizacji.

Kolejnym zagadnieniem, które chciałbym wspomnieć, jest potrzeba kadencyjności władzy na różnych szczeblach. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, aby jeden człowiek mógł przez wiele lat dobrze pełnić w polityce tę samą funkcję, np. przez trzydzieści lat być radnym czy burmistrzem. Sprawne zarządzanie wymaga kreatywności, świeżości umysłu i nowych wyzwań. Zmienność stanowisk, jak i obszarów, w obrębie których się działa, jest bodźcem, żeby swoje zadania wykonywać lepiej. Dlatego widzę potrzebę wprowadzenia w polskiej polityce kadencyjności.

Na koniec chciałbym wspomnieć jeszcze o jednej rzeczy, która świadczy o tym, że polityka jest służbą i to często niewdzięczną. Działam politycznie od blisko jedenastu lat i obserwuję, że niezależnie od tego, jak polityk byłby dobry, mądry i uczciwy i jak bardzo by się starał, to zawsze i tak będzie miał dużą grupę, która będzie przeciwko niemu. Na przykład, przez ostatnie lata zajmowałem się projektem reformy systemu finansowania komunikacji miejskiej w Warszawie. Przez ten czas prowadziłem liczne konsultacje. Wiele z nich było bardzo owocnych, ale spotykałem się też z dziesiątkami negatywnych opinii ludzi, którzy krytykowali mój projekt, choć w rzeczywistości nie mieli pojęcia, na czym polega, bo nawet nie przeczytali jego założeń. W działalności publicznej trzeba się nastawić na to, że nigdy się wszystkim nie dogodzi, zawsze będzie duża grupa „anty”. To jest chyba największa trudność w polityce i wybierając taką drogę działalności, trzeba się do tego przyzwyczaić.

Podsumowując – politykę postrzegam jako narzędzie do tworzenia czegoś wartościowego, czegoś, co mogę pozostawić po sobie. Niestety w obecnych czasach mamy do czynienia z wieloma politykami plastikowymi, którzy skupiają się na wizerunku, odbiorze medialnym, a nie na czynach. Sytuację taką wyhodowały media, które

głównie skupiają się na tym, czy ktoś nie miał wpadki, czy się nie przejęczył lub nie zrobił niefortunnego gestu. Prawdziwe dokonania polityków schodzą na dalszy plan. Kiedyś było inaczej. Przykładem jest Marszałek Józef Piłsudski, który chociaż używał niecenzuralnego języka i podejmował wiele kontrowersyjnych, niepopularnych decyzji, to pozostawił po sobie tak wielkie dziedzictwo, że większość Polaków ocenia go jako ojca niepodległości i bohatera narodowego. Trzeba o tym pamiętać, bowiem istotą polityki są czyny, a nie tylko budowa dobrego wizerunku.

### **Maciej Trybulec**

Nawiązując do poprzednich wypowiedzi, dopowiem tylko, że z łacińskiego języka „minister” znaczy sługa. Czyli ta rola jest fundamentalna.

Ja odniosę się do obszaru, w którym mam większe doświadczenie. Chciałbym przedstawić władzę z pozycji dyirekcji przedsiębiorstwa, w którym pracuję już od wielu lat w Polsce, a obecnie też na Ukrainie. Dyrektorzy generalni mogą realizować swoje cele na wiele sposobów.



Maciej Trybulec

Jednym z takich sposobów jest realizacja celów kosztem pracowników – kosztem ich pracy ponad normatywne osiem godzin i pracy w weekendy. Może to prowadzić do szybkiego „wypalania się” pracowników. W korporacjach to nie jest rzadki model.

Inny model to jest realizacja celów poprzez zespół, czy razem z zespołem, kiedy to szczególną uwagę przykładą się do rozwoju pracowników. I rzeczywiście dobry szef, dyrektor generalny powinien potrafić połączyć realizację celów finansowych firmy z rozwojem każdego pracownika indywidualnie i rozwojem zespołów. Każdy pracownik powinien mieć możliwość rozwijania swoich mocnych stron. Służą temu programy rozwojowe pomagające rozwijać ścieżkę kariery. Jest wiele sposobów na rozwój pracownika, ale trzeba przyznać, że jednym z najważniejszych czynników rozwoju pracownika jest to, jakie podejście do tego zadania ma jego szef. Czy jest odpowiedzialny za jego rozwój, za zdobywanie kolejnych kompetencji i umiejętności i jak kształtuje karierę pracownika. Czyli jest to rodzaj służby.

Możemy nawiązać do encykliki Jana Pawła II *Laborem Exercens*, w której pisze, co jest dla nas najważniejsze: kapitał przed człowiekiem, czy człowiek przed kapitałem. W pierwszym cytowanym modelu ewidentnie kapitał jest najważniejszy. W drugim podmiotowość pracownika jest na pierwszym planie. Czy będąc dyrektorem pracującym w korporacji, naprawdę możemy mieć na to wpływ?

Zilustruję to przykładem sprzed trzech lat. W korporacji stałem wtedy na czele projektu, który miał za zadanie optymalizację kosztów, która polegała na tym, że trzeba było zwolnić 160 pracowników. Początkowo zastanawiałem się, czy nie odejść z firmy, ale pomyślałem, że to nic nie zmieni w tej sprawie. Zacząłem analizować, co można zrobić i jak. Niektórym zwalnianym pracownikom udało się wydłużyć odprawę, nawet niekiedy do roku. Znaleźliśmy też firmę, która poszukiwała zatrudnienia dla osób przez nas zwalnianych. Po roku okazało się, że 90% pracowników znalazło zatrudnienie. Tak więc w każdej sytuacji, nawet korporacyjnej maszyny, można poszukiwać stref wpływów, którymi będziemy dbali, czyli służyli i byli odpowiedzialni za ludzi, i to jest moim zdaniem fundamentalna rola

każdego szefa. Kończąc, chcę powiedzieć, że realizowanie zadań wraz z zespołem, dbanie o ludzi i ich wszechstronny rozwój jest ważne nie tylko z punktu widzenia chrześcijańskiej miłości bliźniego. Proszę mi wierzyć, że takie realizowanie zadań z innymi ludźmi na dłuższą metę zdecydowanie buduje ducha zespołowego, poprawia motywację do pracy i w efekcie przekłada się na wyniki finansowe przedsiębiorstwa. To nie jest ważne tylko dla człowieka, ale również bardzo efektywne dla przedsiębiorstwa.

### **Jerzy Szyszko**

Od trzydziestu lat pracuję w przemyśle i w biznesie, a od dwudziestu w korporacji, której głównym celem jest przynoszenie zysku udziałowcom, którzy włożyli w nią swoje pieniądze z myślą, że te pieniądze będą dla nich pracować.

W moim przypadku kwestia, jak ja widzę władzę, jest związana z miejscem pracy, z moimi zadaniami, które wykonuję. Nie jest dla mnie celem samym w sobie. Przez wszystkie lata mojej pracy nigdy moim celem nie było zrobienie kariery, nie było osiągnięcie władzy. Zawsze moim celem było wykonywanie pracy w dobry i we właściwy sposób. Co to dla mnie znaczy? Co znaczy realizowanie władzy we właściwy sposób, pracując w biznesie, w korporacji?



Jerzy Szyszko

Władza i służba są to dla mnie dwa najważniejsze obszary. Z jednej strony oznacza to dla mnie odpowiedzialność i konieczność prowadzenia dialogu. Oto kilka przykładów. Jeśli chodzi o odpowiedzialność, to pracując w dużej organizacji na kierowniczym stanowisku, a nie będąc jej właścicielem, ma się mnóstwo osób, które wspólnie pracują w moim zespole, „na mnie”, ale jest też mnóstwo osób, które pracują nade mną. Odpowiedzialność dla mnie to jest zapewnienie, że dostarczam rzetelne wyniki, które są oczekiwane przez tych, którzy mi to powierzyli, ale oznacza to również konieczność reprezentowania tych, którzy ze mną pracują, w stosunku do tych, którzy mi powierzyli tę władzę. W tym drugim przypadku oznacza to, że muszę przekazywać osobom, które są nade mną, głos swojego zespołu, jakie są jego potrzeby, z drugiej strony bardzo często muszę tłumaczyć głos właścicieli pracownikom. Jednym z istotnych elementów jest także edukowanie zespołu, żeby rozumiał mechanizmy i zasady, którymi kieruje się biznes. Jest dla mnie ogromną przyjemnością tłumaczenie pracownikom, osobom z wykształceniem niekiedy tylko podstawowym, w jaki sposób funkcjonuje biznes. To jest element odpowiedzialności polegający na tym, że im więcej mój zespół nauczy się w pracy, tym większą wartością będą dla siebie samych. W pracy można tylko wykonywać zadania albo można też bardzo dużo się uczyć i potem można mieć większą swobodę dokonywania wyborów. W edukowaniu zespołu dla mnie istotnym elementem jest chęć nawiązania współpracy z zespołem. Jeżeli moją intencją jako dyrektora firmy jest chęć manipulacji zespołem, to powinienem nie tłumaczyć nic, nie edukować zespołu, gdyż wówczas o wiele łatwiej jest manipulować. Jeżeli, przeciwnie, moją chęcią jest współpracować z zespołem, to moim zadaniem jest go edukować. Pozornie moja rola stanie się trudniejsza, bo mój zespół będzie bardziej wymagający, mniej podatny na manipulacje, ale przez to stworzymy lepsze warunki do współpracy i traktowania siebie bardziej podmiotowo, a nie przedmiotowo.

Z perspektywy konieczności dialogu niezwykle dla mnie ważne jest słuchanie zespołu, z którym pracuję, angażowanie ich w decyzje, które podejmujemy, i jest aspekt wyjaśniania decyzji, dlaczego w

określony sposób są one podejmowane. Praca w takiej organizacji jest wyzwaniem. Pracownik zastanawia się, co ma sens długoterminowy i jakie decyzje podejmować. Bardzo często to są dylematy, ile osób zwolnić, ile osób zatrudnić. Z mojej perspektywy osiągnięcie wyższego stopnia władzy oznacza branie na siebie jeszcze więcej odpowiedzialności. Jeszcze więcej odpowiedzialności w stosunku do osób, z którymi pracuję i dla których pracuję. Władza jako służba jest dla mnie powiązana głównie z tym aspektem odpowiedzialności.

## Dyskusja

### Krystyna Kenig

Muszę powiedzieć, że z przyjemnością słuchałam państwa wypowiedzi, które brzmią dla mnie bardzo optymistycznie. Władza to odpowiedzialność – tak to sobie wyobrażam. Z przykrością muszę powiedzieć, z mojego prawie pięćdziesięcioletniego doświadczenia



Krystyna Kenig

jako pracownika naukowego w Państwowym Instytucie Geologicznym, że spotykałam się z różnymi przejawami władzy, aczkolwiek miałam też takich szefów, którzy świadomie brali odpowiedzialność, byli pomocni i pomagali pracownikom. Muszę powiedzieć, że to, co dzisiaj usłyszeliśmy, budzi nadzieję, że może być lepiej.

### **Elżbieta Pierścionek**

Chciałabym nawiązać do rocznicy zbrodni stulecia – śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Jest to odwrócenie sposobu pojmowania władzy jako służby. Dzisiejsza rocznica upoważnia nas do refleksji nad tą drugą stroną władzy. Mówienie o służbie jest powszechne, mówienie o nadużywaniu władzy też jest częste, ale może wciąż mówimy o tym za mało. Z osobistego doświadczenia wiem, że instytucja służby zdrowia, w której nazwie jest „służba”, często jest bardzo daleka od tej nazwy. Często też trudno mówić o lekarzu, że on służy leczeniu czy służy pacjentowi. Zdarzają się sytuacje, że nawet kiedy pacjent umiera, kontakt z lekarzem jest niemożliwy, nie mówiąc już o jego porozmawianiu w cztery oczy z tymi, którzy zostają osieroceni przez śmierć kogoś bliskiego.



Elżbieta Pierścionek (z mikrofonem)

W związku z rocznicą śmierci księdza Jerzego Popiełuszki chciałabym przeczytać cytat z książki, którą napisała sędzina o procesie jego zabójców. Jest to fragment wyłącznie o nadużyciu władzy, już jako refleksja pani sędziny, która była obserwatorem tego procesu. Nie uрониła ani jednej minuty, jak pisze, z procesu.

„Morderstwo księdza Jerzego Popiełuszki zostało popełnione w związku z przestępstwem nadużycia władzy w niezwykle dramatycznych postaciach. Wystarczy przypomnieć, że jego sprawcami byli funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, spośród których dwóch pełniło funkcje kierownicze, łączące się ze szczególną odpowiedzialnością, między innymi w zakresie przestrzegania praworządności i gwarancji obywatelskich. W gmachu służbowym i w czasie służbowym podejmowano liczne czynności przygotowawcze do zbrodni, w tym także tak drastyczne, jak przygotowywanie worków i przechowywanie w służbowych szafach kamieni, później przywiązanych do nóg ofiary. Zbrodnię zrealizowano, posługując się służbowym samochodem, służbowym pozwoleniem na wyjazd i służbową przepustką. Dla realizacji zbrodni służyły pracownicze urlopy. Dla działań zbrodniczych lub działań osłaniających zbrodnie wykorzystano podległość służbową, stawiając >>służbowe zadanie do wykonania<<. Zbrodnie były finansowane służbowymi pieniędzmi. W istocie rzeczy, dla celów zbrodniczych wykorzystano całą strukturę instytucji i jej funkcje, podejmowano bezprawne inwigilacje ofiary przy pomocy konfidentów i ich informacji, ustalono rozkład zajęć i godziny i miejsca wyjazdów księdza Popiełuszki. Ścisły związek zbrodni z nadużyciem władzy nie był pomijany, wskazywano nań, nawet w oficjalnych wystąpieniach [...] Tak drastyczne nadużycie władzy powinno się zatem było znaleźć obok morderstwa w kwalifikacji prawnej czynu. Prawidłowa kwalifikacja przestępstwa stanowi nie tylko podstawy wymierzenia celowej kary, wskazuje na kierunek społecznego niebezpieczeństwa, stać się może swoistym rodzajem diagnozy, bez której nie jest możliwa profilaktyka. Drastyczne nadużycia władzy decydować mogą o wstrząsach społecznych, godzą w obywatelskie poczucie bezpieczeństwa. W tym punkcie morderstwo księdza Jerzego Popiełuszki i usiłowa-

nie morderstwa Waldemara Chrostowskiego popełnione przez funkcjonariuszy organów ścigania, które właśnie zabezpieczać mają to poczucie bezpieczeństwa, poniosło ogromne szkody. Trudno byłoby nie doceniać ich rangi. Czynów popełnionych przez sprawców morderstwa nie ujęto jednak w ich kwalifikacji prawnej jako takich, które pozostają w zbiegu z nadużyciem władzy. A podane argumenty były następujące: art. 246 kodeksu karnego: »kwalifikacji prawnej nie stosuje się wówczas, gdy czyn wyczerpuje znamiona innego przestępstwa. Ponieważ morderstwo było nadrzędne w stosunku do nadużycia, to nadużycie nie było brane pod uwagę przy wydawaniu wyroku«”.

### **Wanda Zajac**

Przedstawili nam państwo z racji swoich zawodów i funkcji pełnionych w życiu publicznym sprawowanie władzy na różnych szczeblach. To, co państwo mówili, jest bardzo optymistyczne. Natomiast ciekawa jestem, jak państwo oceniają świadomość tego, że



Wanda Zajac (na pierwszym planie)

władza jest służbą w naszym społeczeństwie. Mając kontakty z ludźmi pracującymi w korporacjach czy w różnych innych miejscach pracy, mam wrażenie, że świadomość, iż władza jest służbą, jest niewielka.

Chciałabym również się dowiedzieć, jakie mechanizmy powinny być stosowane przy dobieraniu ludzi do sprawowania władzy różnych szczebli. Mam również pytanie do pana Pawła Zalewskiego. Powiedział pan, że w polityce jest ważny element walki. Jak to rozumieć?

### **Paweł Zalewski**

Dziękuję za pytanie. Ono pozwoli mi sprecyzować to, co mówiłem wcześniej. Otóż mówiąc o walce, nie mówiłem o polityce czy też o modelu uprawiania polityki właśnie jako walki, ale mówiłem o tym, że historia Polski zmuszała bardzo często tych, którzy chcieli pracować dla dobra wspólnego, do walki o niepodległość. W takiej sytuacji idealny byłby dialog i były też takie modele, które niektórzy politycy promowali, np. Aleksander Wielopolski. Niestety realizacja celów narodowych przez dialog z caratem się nie udawała.

Byliśmy więc zmuszani do takich, a nie innych wyborów, a potem w okresie komunizmu ta walka szczęśliwie nie miała charakteru zbrojnego, tylko pokojowy, ale też była walką. Element dialogu był na końcu tego procesu. Ja się bardzo cieszę, że Polska pokazała, iż właśnie dialog jako mechanizm polityki stał się wreszcie możliwy po wielu latach komunizmu w Polsce. Jestem jak najbardziej zwolennikiem dialogu, ale ponieważ zarówno pokolenie przedwojenne, jak i to powojenne wykuwało swoje charaktery i kształtowało swój stosunek do tego, co było celem ich działania – wolna Polska, poprzez osobiste ryzyko w ramach walki, to chciałem uwypuklić, że siłą rzeczy ci ludzie przejmując władzę po 1989 roku, przyszli z nastawieniem na realizację interesu społecznego, bo po to tę walkę podejmowali.

Na wcześniej podniesioną przez panią kwestię świadomości w naszym społeczeństwie, że władza jest służbą, postaram się odpowiedzieć pośrednio przez przykład negatywny, bo na nim dopiero

zobaczymy, gdzie Polska się obecnie znajduje. Od dłuższego czasu zajmuję się w dużej mierze Ukrainą. Rozmawiam z wieloma politykami ukraińskimi różnej generacji i wielokrotnie zadaję sobie pytanie, co spowodowało, że Polska jest teraz tu, gdzie jest, z takim, a nie innym wzrostem gospodarczym, oczywiście również z istniejącymi problemami społecznymi, ale jednak nieporównywalnymi z tym, co się działo i dzieje na Ukrainie. A przecież w roku 1989-1990 Polska była w tak fatalnej sytuacji, że miała bardzo podobny produkt narodowy na głowę mieszkańca jak Ukraina, a więc wychodziliśmy z bardzo podobnego poziomu zapaści gospodarczej, tylko że teraz, w roku 2014, my jesteśmy w Unii Europejskiej, w NATO, jesteśmy krajem, który się rozwija i ma wszelkie szanse na to, żeby dalej się rozwijał, a Ukraina, pomijając czynnik zewnętrzny, czyli Rosję, przez wiele błędów, także własnych, doprowadziła się do statusu państwa upadłego. Otóż myślę, że stało się tak w dużej mierze przez podejście polityków ukraińskich do dobra wspólnego. Logiką polityki ukraińskiej jest biznes. Do polityki na Ukrainie idzie się dla biznesu. Oczywiście są wyjątki, które pozwalają mi utrzymać zdrowie psychiczne, gdy przyjeżdżam do Kijowa, Odessy czy Charkowa. Generalnie rzecz biorąc, to pozycja w parlamencie ukraińskim, w rządzie czy w firmie była instrumentem do budowania swojej własnej polityki finansowej. Znam kilku byłych członków zarządu Naftohazu, którzy odchodząc po roku pracy tam, byli w stanie założyć mały bank. Główni politycy na Ukrainie są mniejszymi bądź większymi oligarchami. Janukowycz był prezydentem, ale także oligarchą i jego celem było podporządkowanie sobie innych oligarchów. Można interpretować wydarzenia po Majdanie jako sytuację, w której oligarchowie byli w stanie odmówić posłuszeństwa Janukowyczowi i utrzymali swoją niezależność. Jeżeli jest tak, że w skali kraju czy okręgów administracyjnych Ukraińcy myślą tylko o własnym dobru, to oczywiście nie są w stanie podejmować decyzji służących całemu narodowi. Jeżeli teraz pokażemy Polskę na tym przykładzie ukraińskim, to widzimy, że jesteśmy w zupełnie innym świecie, także jeśli idzie o cel, który sobie stawiają ludzie we władzach państwa, miast czy gmin.

### **Jerzy Szyszko**

Moim zdaniem, jeżeli ktoś idzie do polityki, musi pamiętać o aspekcie odpowiedzialności w większym stopniu, niż używać, czy wręcz nadużywać, hasła „ja idę służyć”. Żądanie cały czas, żeby władza była tylko służbą, jest zbyt dużym oczekiwaniem dążenia do ideału, doskonałości, który trudno osiągnąć. W związku z tym wolę rozmawiać o władzy jako odpowiedzialności. Ja bardzo boję się w polityce czy w biznesie ludzi, którzy zapominają o aspekcie odpowiedzialności, o aspekcie rozliczania się przed samym sobą, czy ja jestem przygotowany do tego. Jeżeli będziemy akcentować tylko kwestie służby, jest to z mojej perspektywy niebezpieczne, bo to nie służy narodowi. Znacznie ważniejsze jest, czy ja jestem odpowiedzialny, czy realizuję zadania w sposób, który będzie akceptowany.

Pracuję obecnie na wschodzie i zachodzie Europy i tutaj rozmawialiśmy o wydarzeniach na Ukrainie. Dla mnie są one pochodną bardzo długiego ciągu wydarzeń z perspektywy kulturowej, są pochodną również tego, że na wschodzie jest dużo trudniej prowadzić dialog, jest dużo trudniej angażować się we współpodejmowanie decyzji. Uważa się, że władza wie lepiej i ludzie nie chcą się angażować w podejmowanie decyzji. Jest chęć do stwarzania problemów, a później obarczania władzy odpowiedzialnością za nie. Jest więc brak chęci dialogu i współpracy, a jeżeli trzeba podejmować decyzje, to widoczny jest brak umiejętności kompromisu w sytuacjach trudnych, takich, które nie są dobre dla wszystkich. Widać to wyraźnie na tle pozostałej części Europy, gdzie jest większa współpraca w strukturach władzy i umiejętność prowadzenia dialogu oraz akceptowania kompromisów. Tego typu sytuacja powoduje mniej napięć, mniej problemów, mniej konfliktów, a równocześnie mamy silniejsze wrażenie, że w ten sposób dzielimy się władzą i w niej współuczestniczymy.

### **Urszula Kossowska-Cezak**

Kiedy zobaczyłam tytuł dzisiejszego konwersatorium, od razu nasunęło mi się pytanie – a do kogo pytanie tytułowe jest skierowane. Czy do tych, którzy władzę pełnią, czy do tych, którzy władzy

podlegają. Okazuje się, że to pytanie zadano ludziom, którzy mają władzę, którzy pełnią pewne funkcje, więc otrzymaliśmy odpowiedź. Mijmy jednak świadomość, że przychodząc tutaj do Uczelni i na Konwersatoria, trafiamy do pewnego rodzaju oazy, gdzie spotykają się ludzie o określonych poglądach, trafiamy do grona ludzi odpowiedzialnych, życzliwych, pełnych dobrej woli, i mnie nie przyszłoby na myśl, żeby w takiej sytuacji paniś powiedzieli co innego, niż powiedzieli. Takich osób jest na pewno więcej i można wyrazić im swój szacunek i podziękowanie. Ale bądźmy realistami. Jeżeli pytanie zadalibyśmy pierwszemu lepszemu człowiekowi na ulicy, to on by się tylko roześmiał. Niestety, w wielu sytuacjach władza i dążenie do niej jest podyktowane tylko tym, żeby czerpać z tego korzyści.



Urszula Kossowska-Cezak

Pani Wanda zadała pytanie, które zostało bez odpowiedzi, mianowicie o dobór ludzi, którzy są powoływani do pełnienia władzy. Podobnie jak poprzednicy rozumiem, że władza to jest przede

wszystkim odpowiedzialność. Otóż znam ludzi mądrych, którzy nigdy nie chcą się podejmować żadnej władzy, bo boją się tej odpowiedzialności. Musimy być świadomi, że są ludzie, którzy unikają władzy ze strachu. W ten sposób marnuje się spory potencjał ludzki, ludzi, którzy mogliby zrobić wiele cennych rzeczy, natomiast stoi przed nimi widmo odpowiedzialności. Musimy się zastanowić, jak ich przekonać, jak ich zachęcić.

### **Wojciech Zabłocki**

Chcę nawiązać do tematu, dlaczego się idzie po władzę. Padło takie zdanie, że władza w jakimkolwiek wymiarze nie jest niczym złym, wręcz czymś bardzo dobrym, pod warunkiem, że jest to model odpowiedzialności, dbania o człowieka.

Wróćmy do pytania, według jakich kryteriów wybieramy ludzi do pełnienia określonych funkcji, do pełnienia władzy. Dla mnie największą wartością jest wybór tych osób, które mają tę samą twarz niezależnie od sytuacji. Zdarza się tak, że jak ktoś jest z nami w relacji czysto zawodowej, bo wszystko jest fajnie, ale gdy nasze drogi się rozchodzą, to nagle ten człowiek zmienia zupełnie twarz, potrafi nawet iść do sądu.

Kiedyś musiałem zwolnić jakichś pracowników, ale to nie znaczy, że zerwałem z nimi relacje. Dzwonię co jakiś czas do nich, by sprawdzić, co u nich słychać. To, że przestaliśmy mieć kontakt zawodowy, to nie znaczy, że mamy nie mieć wzajemnych relacji. Dla mnie bardzo ważna jest relacja osobowa, taka, jaką proponował święty Jan Paweł II.

### **Jerzy Szyszko**

Chciałbym poruszyć jeszcze jedną kwestię – o bardzo częstym zapomnianiu przez społeczeństwo, przez nas wszystkich, że władza jest na każdym szczeblu. Można być generałem policji i mieć władzę, a można być posterunkowym i też mieć władzę. W jaki sposób realizuję władzę, zależy od tego, kim jestem. Mogę nadużywać władzy jako generał, mogę nadużywać władzy jako posterunkowy. I mogę nie realizować obowiązku odpowiedzialności będąc zarówno generałem, jak i posterunkowym.

Równocześnie w Polsce oczekujemy przeważnie znacznie więcej od innych niż od siebie, a szczególnie od tych, którzy są w hierarchii wyżej od nas. Często spotykam się z sytuacją, kiedy najgorsi posterunkowi mają wyższe oczekiwania niż ich przełożeni, niż ci, którzy są bardzo dobrymi posterunkowymi i rozumieją, że czasami przełożony może też popełniać błędy.

Myślę, że musimy też pamiętać jako społeczeństwo, że mechanizmy naszego myślenia są jeszcze w dużym stopniu komunistyczne – że jest władza i jesteśmy my, którzy nie mają na nią wpływu. Wobec tego, kiedy nam się coś nie udaje, obarczamy odpowiedzialnością tych, którzy są przy władzy. Natomiast aby budować społeczeństwo obywatelskie, każdy z nas powinien się zastanowić, co sam może zrobić, żeby było lepiej. Zawsze powinniśmy dobrze wykonywać swoją pracę, czuć odpowiedzialność za to, co możemy zrobić, a nie myśleć o tym, czego nie mogę zrobić i nie obarczać za to odpowiedzialnością innych.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Chciałabym poruszyć jeszcze jedną sprawę. W czasie PRL nikt z mojego rodzeństwa i naszych przyjaciół nie należał do żadnej organizacji młodzieżowej, gdyż wszystkie miały w mniejszym lub większym stopniu zabarwienie komunistyczne. Nie mieliśmy więc żadnego doświadczenia w pracy społecznej i organizacyjnej. Nastaje rok 1980 i zaczynają się tworzyć pierwsze niezależne organizacje. Tworzy się Solidarność. Przychodzą do mnie koledzy i proszą, abym kandydowała na przewodniczącą Solidarności na moim uniwersyteckim wydziale. Mówię im wprost, że nie wiem, czy mogę się tego podjąć, bo nie mam żadnego doświadczenia, żadnego przygotowania. Po dłuższej rozmowie wyrażam jednak zgodę na kandydowanie i zostaję wybrana przewodniczącą.

Parafrazując powiedzenie, że „pycha idzie przed upadkiem”, można powiedzieć, że „skromność idzie przed sukcesem”. Osoba wybrana, która zdaje sobie sprawę, że niewiele wie, musi wchodzić z ludźmi w dialog, aby się uczyć i dowiadywać od innych. W czasie mojego przewodniczenia Solidarności na wydziale UW niesłycha-

nie dużo dali mi moi przyjaciele, niektórzy nawet z aparatu partyjnego.

Jeżeli chodzi o czas mojego szefowania w Szkole Wyższej Przymerza Rodzin, to o ile można go pozytywnie ocenić, zawdzięczamy to naszemu wspólnemu działaniu, zarówno kierownictwa Uczelni, jak i wielu wykładowców i pracowników administracji. Każdy z nas czuje, że jest to nasze wspólne dzieło i jesteśmy za nie współodpowiedzialni. Wokół nas widzimy różne złe rzeczy, które się dzieją, ale trzeba budować oazy dobra, które w sumie tworzą lepszą rzeczywistość.

*Spisał z nagrania Marcin Borzęcki*

## **C.d. wypowiedzi otrzymanych drogą korespondencyjną**

**Marianna Łacek** (Sydney, Australia)

### **Czym dla mnie jest władza**

Wybrano mnie prezesem Organizacji (Zrzeszenia Polskich Nauczycieli w Australii i Nowej Zelandii). Na początku była ona mała. Skupiała minimalną liczbę osób niezbędnych do zarejestrowania. Wszyscy robili wszystko, co było potrzebne. Praca nasza polegała właściwie na kontynuowaniu dotychczasowej działalności. Doszliśmy do wniosku, że należy się postarać o status prawny, kiedy inne organizacje zaczęły sobie przypisywać efekty naszej pracy. W dodatku byli to najczęściej ludzie, którzy nie tylko że nam nie pomagali, ale wręcz utrudniali działalność.

Tak więc zostałam Prezesem. Organizacja zaczęła nabierać znaczenia. Nasza praca zataczała coraz szersze kręgi. Teraz, po kilku latach oficjalnej działalności, obejmuje już większość miast Australii, a ostatnio także i Nową Zelandię. Właśnie jesteśmy w trakcie organizowania konferencji nauczycieli.

Języka polskiego uczą oni tylko w soboty w wynajętych salach różnych miast. Należało więc zdobyć możliwie najwięcej prywatnych kontaktów. Udało się. Zaproszenia zostały elektronicznie ro-

zesłane. Większość przyjęła je z radością. Ci, którzy przylecą, przeważnie płacą sami za bilety lotnicze. Australia jest wielkością zbliżona do Europy, a Nowa Zelandia jeszcze dalej. Należało zorganizować im noclegi (u przyjaciół i znajomych – hotele są bardzo drogie). U nas w domu zatrzymują się 4 osoby.

Oczywiście program. Referaty – kto, kiedy, co będzie referowane, no i gdzie. Trzydniowa konferencja – trzy różne miejsca. Sprawdzić, gdzie jest działający projektor i dobry ekran, a gdzie nie ma. Czy wystarczy krzeseł. Czy działa elektryczny czajnik na wodę. Kupić herbatę, kawę, mleko, cukier, soki itp. Zorganizować kubki i talerzyki (nie, nie plastikowe). Kupić bułki i wędlinę – mam już panią, która przyjdzie pomóc zrobić kanapki. Upiekłam cztery olbrzymie pasztety. W przeddzień zrobię ciasta.

Dzisiaj kupiliśmy identyfikatory oraz teczki, aby każdy mógł otrzymać wszystkie skompletowane materiały. Przygotowałam już pomoce dydaktyczne, którymi chcę się podzielić z uczestnikami. Za chwilę zabieram się do napisania szczegółowego programu. Mam już wszystko przemyślane, łącznie z moim wystąpieniem. Jeśli byłby jakiś poślizg w czasie, oczywiście z wystąpienia zrezygnuję. Jeśli czasu zostanie, mam w zapasie pomysły na dodatkowe zajęcia.

Wszystkich serdecznie powitam, zapowiem każdego z prelegentów, poprowadzę dyskusję (to rola prezesa) ... Mam już wydrukowane dyplomy uczestnictwa, a na każdym 3 podpisy, mój też, na końcu. Wręczy je zaproszony honorowy gość.

Konferencja, jestem przekonana, będzie bardzo udana. Musi być – poprzednie, o nieco mniejszym zasięgu, też bywały udane. Prelegenci, a także uczestnicy otrzymają podziękowanie. Ja po raz kolejny napiszę reportaż do polskojęzycznych mediów. Postaram się uczciwie dać uznanie każdej osobie, która nawet minimalnie przyczyniła się do sukcesu Konferencji. To, co myśmy z mężem zrobili, musi być napisane w formie bezosobowej: załatwiono, kupiono, zorganizowano, przywieziono, poczęstowano, przygotowano, zostało wygłoszone, była poprowadzona... jest planowana...

Jestem przekonana, że na kolejnym zebraniu otrzymam nominację i może tak jak poprzednio znowu zostanę jednomyślnie wy-



brana prezesem Zrzeszenia Polskich Nauczycieli w Australii i Nowej Zelandii. Oczywiście, że przyjmę tę zaszczytną funkcję, aby móc służyć innym moimi umiejętnościami, możliwościami czasowymi, moją energią i zapałem tak długo, jak tylko Pan Bóg da mi siły, a mój mąż będzie szedł ze mną krok w krok. Bo władza to służba, to dzielenie się z innymi darami, które otrzymaliśmy bez żadnej z naszej strony zasługi.





*Moje powołanie  
– jak je rozumiem i realizuję?*





## Cytaty

### **Papież Franciszek – Być katechetą to powołanie (27 IX 2013 – Przemówienie do katechetów)**

Cieszę się, że w Roku Wiary jest to spotkanie dla was: katecheza jest filarem nauczania wiary i potrzebni są dobrzy katecheci! Dziękuję za tę posługę Kościołowi i w Kościele. Choć niekiedy może być to trudne, pracuje się dużo, angażujemy się, a nie widać oczekiwanych rezultatów, wychowywanie w wierze jest rzeczą piękną! Jest to chyba najlepsza spuścizna, jaką możemy dać: wiara! Wychowywać w wierze, aby się rozwijała. Pomaganie dzieciom, nastolatkom, młodzieży, dorosłym coraz lepiej poznawać i coraz bardziej kochać Pana jest jedną z najpiękniejszych przygód wychowawczych, buduje się Kościół! „Być” katechetami! Nie pracować jako katecheci: to nie jest przydatne! Pracuję jako katecheta, bo lubię uczyć... Ale jeśli nie jesteś katechetą, to na nic się nie zda! Nie będziesz przynosił, nie będziesz przynosiła owoców! Katecheta to powołanie: „być katechetą” – to jest powołanie, nie pracować jako katecheta. Zważcie dobrze, nie powiedziałem „pracować jako” katecheci, ale „być nimi”, ponieważ to angażuje życiowo. Prowadzi się na spotkanie z Jezusem poprzez słowa i poprzez życie, przez świadectwo.

### **Michał Nieniewski – Jak odnaleźć swoje powołanie (fragmenty)**

Niektóre osoby mają plan na życie i są przekonane, że wystarczy się go trzymać, by sensownie je przeżyć. Jednak nasze wyobrażenia bardzo często rozmiijają się z Bożymi planami. Lekarka Justyna Walczak chciała skupić się na karierze i pracy naukowej. Na początku małżeństwa sądziła, że będzie miała jedno dziecko dopiero po uzyskaniu doktoratu.

Okazało się inaczej. Po urodzeniu trzeciego dziecka zrezygnowała z pracy. Odnalazła swoje powołanie w byciu matką i to matką dziesięciorga dzieci! Znalazła nawet czas, aby to opisać w książce „Dom pełen kosmitów”. Nic dziwnego, że mąż określa ją w podziwie mianem „house manager”.

Czasami Bóg interweniuje w ewidentny sposób. W przypadku o. Joachima Badeniego poprzez kilka przeżyć mistycznych. W ciągu jednego dnia rozbudziły w rozrywkowym młodzieńcu powołanie do zakonu dominikanów i głód eucharystyczny. Każdy z tych znaków młody Badeni mógł zignorować lub odrzucić. Te kilka „Bożych sygnałów” nie odebrało mu wolnej woli. Pan Bóg szanuje ludzką wolność.

Zawsze są jakieś znaki. To nie przypadek, że urodziliśmy się w takiej, a nie innej rodzinie, w tym, a nie innym miejscu, w tym, a nie innym czasie. To nie przypadek, że spotkały nas takie doświadczenia. Nawet te najgorsze. Być może dzięki nim będziemy przygotowani do jakiegoś zadania lepiej niż inni. Tylko jak rozpoznać to życiowe zadanie? Niełatwe pytanie.

Bóg przygotował ks. Marka Bałwasa do misji, nie wyjawiając mu swoich planów. Zachęcił go, by zajął się niepełnosprawnymi i nauczył się dawać im radość. Niespodziewanie, w wyniku wypadku, ks. Marek utracił władzę nad swoimi nogami. Wiedział już jednak, jak będzie wyglądać jego życie, dlatego nie wpadł w panikę.

Na dodatek przekuł tę słabość na świadectwo przekazywane w setkach parafii w Polsce. Jest rekolekcjonistą na wózku. Tak tragiczna – w ludzkim pojęciu – sytuacja okazała się być owocna, wręcz zbawienna dla innych. Ks. Marek nazywa siebie „osiółkiem na kółkach”, nawiązując do osłicy, na której Pan Jezus wjechał do Jerozolimy.

„Każdy z nas otrzymał do przebycia własną drogę, własne powołanie. Od wierności temu powołaniu zależy sens mego istnienia: Twoja chwała, a nasza zasługa na szczęście wiekuiste. Spraw Panie, abym zrozumiał me powołanie na każdy dzień i daj mi Twą Łaskę, abym mu był wierny”. Tak modlił się Jerzy Ciesielski, inżynier budownictwa i nauczyciel akademicki, któremu przysługuje dziś chlubne określenie: Czcigodny Sługa Boży.

Całe swoje życie rodzinne i zawodowe pojmował jako zadanie postawione mu przez Boga. Przyjaźnił się z ks. Karolem Wojtyłą, z którym często rozmawiał o sakramencie małżeństwa jako powołaniu dwojga ludzi oraz o pracy zawodowej, która również może być elementem chrześcijańskiego powołania. W swoim życiu łączył zaangażowanie w rozmaite aktywności, które zawsze postrzegał w nadprzyrodzonym kontekście. Obowiązki ojca wypełniał wzorowo, aż do śmierci, która zaskoczyła go w kajucie statku podczas usypiania dzieci.

## KONWERSATORIUM LXXIV

(15 listopada 2014)

### Moje powołanie – jak je rozumiem i realizuję?

**Prowadzący:** ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; s. Leonarda Brzozowska, niepokalanka, dyrektorka Prywatnej Szkoły Podstawowej w Warszawie; Ewa Cygańska, radna Rady Dzielnicy Ursynów m. st. Warszawy; Ewa Ślizień-Kuczapska, dr. n.med.; Lech Królikowski, nauczyciel akademicki, profesor, pracownik naukowy PAN, pierwszy burmistrz Mokotowa, wielokrotny radny dzielnicy Ursynów.

#### Ks. Adam Zelga

Droży państwo, temat dzisiejszego spotkania „Moje powołanie, jak je rozumiem i realizuję” zawiera w sobie myśl, że życie jest darem. Jan Paweł II w swoim „Liście do młodych” postawił tezę, że każdy ma „projekt na życie” zaproponowany przez Boga. Rozgrywa się on na bardzo szerokiej, ogólnoludzkiej płaszczyźnie, ale także na konkretnej, dotyczącej każdego z nas. Witam zaproszonych gości i proszę o ich świadectwa.

#### Ewa Ślizień-Kuczapska

Gdy się zastanawiam, jakie jest moje powołanie, myślę, że w jakimś sensie wiąże się ono z tym, co ważne w moim życiu.

Jestem jedyną córką moich rodziców, a więc stawiam sobie pytanie, co to znaczy być córką jedynaczką i jak ich wychowanie kształtuje wciąż moje życie? Wywodzę się z rodziny, gdzie więcej było zawsze osób starszych. Wychowywałam się wśród nich, gdyż stanowili najbliższe moje otoczenie. Była to moja jedyna Babunia Maria, która dożyła prawie 100 lat, oraz jej znajome, sąsiedzi oraz

daleka rodzina. Przebywanie wśród znacznie starszych osób stało się dziś wyzwaniem i ważnym powołaniem, aby być dla moich starzejących się rodziców dobrą córką oraz oparciem. Ważne jest,



Paneliści. Od lewej ks. Adam Zelga, siostra Leonarda Brzozowska, Ewa Cygańska, Lech Królikowski i Ewa Ślizień-Kuczapska



Ewa Ślizień-Kuczapska

jakie świadectwo daję swoim dzieciom. Staram się robić to jak najlepiej.

Najważniejszym dla mnie jest powołanie do rodzicielstwa i małżeństwa. Jestem kobietą, to też jest moje powołanie. Jestem tak zwaną „kobietą wyzwoloną”. Skończyłam studia i zostałam lekarzem. Bycie lekarzem i matką jest dla mnie czasem trudne do pogodzenia. Chciałabym w każdej z tych ról się realizować, a jednocześnie wszystkie te moje role pogodzić, ale nie zawsze to mi się udaje.

Z punktu patrzenia poprzez pryzmat wiary, którą zawdzięczam moim rodzicom, wydaje mi się, że najważniejszym powołaniem jest bycie żoną. Cieszę się, że nasze małżeństwo trwa już dwadzieścia lat. Z moim mężem znamy się od lat przedszkolnych. Dwadzieścia lat temu spotkaliśmy się ponownie i zakochaliśmy się w sobie. Jest dla nas niezwykle, że spotkaliśmy się i przyjaźniliśmy się w wieku przedszkolnym, a potem po wielu latach zakochaliśmy się w sobie. Widocznie byliśmy sobie przeznaczeni. Pan Bóg nas wybrał do tego małżeństwa. Staramy się wzajemnie wspierać, chociaż różnie nam to wychodzi. Naszym wspólnym powołaniem jest też rodzicielstwo. Mamy trójkę dzieci. Ta rola jest dla mnie bardzo ważna. Zarówno decyzja o małżeństwie, jak i o macierzyństwie była znacząca. Otworzenie się na macierzyństwo było bardzo dla mnie trudne. Wynikało z trudności pogodzenia pracy lekarza z macierzyństwem. Początki mojej pracy zawodowej były bardzo trudne, od pracy na wolontariacie, poprzez otwieranie kolejnych specjalizacji. Naszego pierwszego syna urodziłam dopiero w wieku trzydziestu lat i bardzo żałuję, że tak późno. Ale dopiero po porodzie zaczęłam rozsmakowywać się w macierzyństwie i kolejne dzieci to była sama radość. Dzisiaj z perspektywy lat uważam, że nie ma lepszego powołania, niż być rodzicem, żeby dzielić swoje doświadczenie i przedłużyć swoje życie w dzieciach.

Jeszcze jedna sprawa ma z tym związek, powołanie do dawania świadectwa. Jestem zaangażowana społecznie. Zawsze lubiłam pomagać ludziom i zaczęłam zajmować się promocją naturalnego planowania rodziny i ekologicznej prokreacji. Zaangażowałam się w edukację i promocję stylu życia w zgodzie z płodnością, co zostało zapoczątkowane przez prof. Włodzimierza Fijałkowskiego. Tak się

złożyło, że w czasie gdy przychodziły na świat nasze dzieci, w polskim położnictwie następował znaczący przełom. Rozpoczęto społeczną akcję „rodzić po ludzku”, tj. przekształcanie szpitali położniczych w przyjazne rodzinie. Zmieniło to bardzo moje życie najpierw przez nasze własne współuczestnictwo w tzw. porodach rodzinnych, a potem przez dawanie świadectwa moim pacjentom i dalsze angażowanie się w działania sprzyjające tzw. prokreacji ekologicznej. Z czasem rozpoczęłam pracę z małżeństwami borykającymi się z problemem obniżonej płodności lub niepłodności poprzez nową dziedzinę medycyny – naprotechnologię. Dzisiaj dzięki kontaktom z tego typu pacjentami jestem pewna, że nie chciałabym zamienić tego, co robię w sferze zawodowej, na cokolwiek innego. Jest to tak cenne, tak dobre, że uważam to za dar, przywilej, żeby współuczestniczyć w diagnostyce i terapii tych małżeństw. Jest to dla mnie zaszczyt i radość, że mogę brać w tym udział. Jesteśmy uprzywilejowani, że mieliśmy Jana Pawła II, który wytyczał nam drogę. Między innymi popierał rozwój naprotechnologii. W Polsce mamy najwięcej na świecie lekarzy zajmujących się tą dziedziną.

Bardzo ważną rolą jest też dawanie świadectwa, że jestem Polką. Uważam za istotną swoją rolę uczenie naszych dzieci, że powinniśmy być dumni z tego, że jesteśmy Polakami.

I nie mamy się czego wstydzić. Możemy wyciągać wnioski i budować lepszą przyszłość. Staramy się pokazywać dzieciom dobre wartości, oglądać z nimi dobre filmy, żeby poczuli się Polakami w takim dobrym tego słowa znaczeniu.

Ojciec Święty Jan Paweł II podkreślał, że każdy jest powołany do świętości. Trudno mi powiedzieć, czy będzie mi to dane. Ale im jestem starsza, tym bardziej staram się, by to, co robię, było dobre i aby w tym, co robię, być czarno-biała, jednoznaczna. Jeśli człowiek poszukuje w życiu Pana Boga, to czuje Jego wsparcie.

Powołaniem naszym jest też bycie człowiekiem. Mamy o tym świadczyć innym. Staram się te wszystkie powołania, o których wspominałam, realizować w swoim życiu.

## Lech Królikowski

Kiedy pani rektor zaproponowała mi udział w tym seminarium, zacząłem analizować własne życie, czy rzeczywiście można na nie patrzeć z punktu widzenia powołania. Ukończyłem Politechnikę Warszawską w trybie studiów indywidualnych, co było wówczas dużym wyróżnieniem. Postanowiłem być specjalistą w bardzo wąskiej dziedzinie. Chciałem się specjalizować w budowie generatorów wysokiego napięcia z przeznaczeniem do urządzeń rentgenowskich. W moim programie był Wydział Elektryczny, Wydział Mechaniki Precyzyjnej oraz zajęcia z wybranych działów medycyny na AM, a także humanizacja studiów technicznych, w efekcie czego zapisałem się na Wydział Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Po ukończeniu studiów zgłosiłem się do jedynej w Polsce fabryki urządzeń rentgenowskich. Zostałem przyjęty przez dyrektora w towarzystwie sekretarza partii. Zaproponowano mi pensję niższą niż moje ówczesne stypendium. W ten sposób przestałem być inżynierem i przystąpiłem do pracy w Instytucie Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN, gdzie zdobywałem kolejne stopnie naukowe. Równocześnie cały czas byłem związany z działalnością społeczną. Między innymi zostałem wybrany prezesem Towarzystwa Przyjaciół Warszawy. Funkcję tę sprawowałem równo 20 lat, a następnie obdarowany zostałem godnością Honorowego Prezesa TPW. Działalność społeczna w jakiś sposób związała mnie z działalnością polityczną. W Instytucie było kilka osób działających w opozycji solidarnościowej, a później w pierwszej kadencji sejmiku (po 4 czerwca 1989 roku). To mnie mocno zmotywowało i kiedy komitety obywatelskie zaczęły działać w kierunku odrodzenia samorządu terytorialnego, włączyłem się w tę działalność. W wyborach 1990 roku zostałem wybrany pierwszym burmistrzem Mokotowa, który obejmował dzisiejszy Mokotów, Ursynów i Wilanów. To był szczególny okres, ja nazywam go „harcerskim”, albowiem nieważne były przekonania polityczne, tylko ważna była sprawa, którą trzeba było rozwiązać. Główny problem polegał na tym, że często nie było niezbędnych przepisów prawnych ani wzorców postępowania. Kiedy z biegiem czasu zaczęły pojawiać się interesy poszczególnych

osób i grup, zrezygnowałem z tej funkcji. Byłem czterokrotnie radnym i mogę stwierdzić, że dzisiejszy ustrój Warszawy powoduje odnięcie społeczności lokalnych od wpływu na funkcjonowanie naszego miasta. Mimo że w Konstytucji mamy zapis o decentralizacji państwa, w rzeczywistości mamy daleko posuniętą centralizację. Jedynym „władczym” uprawnieniem rady dzielnicy jest ustalanie miejsc handlu obwoźnego. Sądzę, że praca dla społeczności jest moim powołaniem. Poświęciłem na nią kilkadziesiąt lat swojego życia.



Lech Królikowski

Są przykłady powołania i braku powołania: 16 października 1978 roku płynąłem promem z żoną z Helsinek do Gdyni. Rano żona oznajmiła mi, że jest w ciąży. Tego samego dnia wieczorem na promie zaczęto szeptać, że Polaka wybrano Papieżem. Wtedy, 16 października 1978 roku postanowiliśmy, że jeżeli urodzi się syn, to na imię będzie miał Karol. Syn urodził się 18 czerwca, czyli wkrótce po pierwszej pielgrzymce Papieża do Polski. Ukończył

Uniwersytet Warszawski, założył rodzinę i pracował. W środę 30 września 2009 roku poczuł się źle. Wtedy jego żona zaczęła starać się o wizytę lekarza. Uspołecznione przychodnie zdrowia odmówiły. Synowa sprowadziła prywatnego doktora. Lekarz przyjechał, pobieżnie zbadał chorego, zainkasował honorarium i odjechał. To był środek tygodnia w śródmieściu (ul. Zajęcza na Powiślu) stolicy dużego europejskiego państwa. W sobotę (3 października 2009) syn poczuł się znacznie gorzej, rano moja córka zatelefonowała po pogotowie ratunkowe, które odmówiło przyjazdu, do, jak się później okazało, śmiertelnie chorego człowieka. Dyspozytor pogotowia polecił zgłosić się do firmy pełniącej dyżury sobotnio-niedzielne na zlecenie NFZ. Przyjechała młoda lekarka, w wieku mniej więcej mojego syna, nie zmierzyła jego podstawowych parametrów, nie zbadała, tylko zapytała go, jaką ma temperaturę i co zdiagnozował poprzedni lekarz. Syn skarżył się na bardzo silny ból prawej strony tułowia i bardzo złe samopoczucie. Zrobiła więc zastrzyk przeciwbólowy. Na usilną prośbę wypisała skierowanie do szpitala (zakaźnego), ale odmówiła przewiezienia chorego, jak też wezwania specjalistycznego transportu sanitarnego. Siostra Karola wzięła go prawie że na plecy, zniosła z 4 piętra przedwojennej kamienicy i zawiozła małym samochodem do Szpitala Wolskiego, gdzie już na izbie przyjęć stwierdzono sepsę. Syn przez kilka godzin leżał na ogólnej sali. Dopiero na moją usilną prośbę przewieziono go do Oddziału Intensywnej Terapii na Lindleya, gdzie po 30 godzinach zmarł (piątego października 2009). Po czynnościach związanych ze śledztwem, został pochowany 16 października 2009 roku.

Daty związane z narodzeniem, śmiercią i pogrzebem mego syna, tj. 16 października, 5 października oraz jeszcze raz 16 października – układają się w jakiś dziwny algorytm związany niewątpliwie z działalnością i życiem Jana Pawła II. Być może jest to jakiś znak – ja jednak nie potrafię go odczytać.

Patrząc, a raczej przeżywając bezsensowną śmierć młodego, wykształconego człowieka, zastanawiam się, gdzie jest odpowiedzialność zawodowa służb medycznych, gdzie jest niezbędne w tym zawodzie powołanie? Zespół lekarzy-rzeczoznawców z Akademii

Medycznej w Łodzi, który był powołany przez prokuratora do zbadania sprawy, Prokuratura, sąd oraz Okręgowy Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej w Warszawie do dzisiaj nie mogą ustalić, czy lekarka prawidłowo realizowała swoją misję. Moim zdaniem ona nie miała powołania. Ona przyszła, bo musiała. Potraktowała młodego człowieka jak symulanta. Ta młoda lekarka – moim zdaniem – nie mając powołania, nie powinna wykonywać zawodu lekarza. Tak więc powołanie w życiu człowieka ma istotne znaczenie, a w zawodzie lekarza bez rzeczywistego i prawdziwego powołania nie powinno podejmować się tej pracy!

### **Ks. Adam Zelga**

Dziękuję państwu za poruszające świadectwa. Pani doktor za świadectwo służby życiu, panu profesorowi za osobiste świadectwo, a także za jego społeczną działalność.

### **Ewa Cygańska**

Urodziłam się we Włochach. Jestem włoską warszawianką. Duży wpływ na to, kim jestem, miał mój ojciec, który był prostym cieślą, ale ogromnie mądrym życiowo człowiekiem, którego słowa powtarzam bardzo często i przekazuję swoim dzieciom. Moje świadectwo będzie nawiązywało do krzyża, który był zawsze ważny dla mnie właśnie poprzez mojego ojca. Nie było we Włochach święta Bożego Ciała, na które ojciec nie robiłby krzyży. Gdy mój ojciec zmarł, a mieszkaliśmy wtedy na Woli, nie wyobrażałam sobie, aby go gdzie indziej pochować niż na cmentarzu parafialnym we Włochach. Tam został pochowany.

Ja zawsze miałam pasję społecznika. Pracowałam w trzech miejscach. Pierwszym to była biblioteka główna SGGW, gdzie zajmowałam się zakupami książek dla studentów i podręczników dla profesorów. Staralam się przez tę pracę służyć innym. Drugim miejscem był ośrodek informacji naukowej, w którym przygotowywałam konferencje dla pracowników centralnego związku rolniczego. Trzecim miejscem mojej pracy był Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Z tym związały się moje



Ewa Cygańska

doświadczenia społeczne. Spotkałam osobę, która prowadzi na Ursynowie ośrodek dla dzieci głęboko upośledzonych. Kiedy dowiedziałam się o nim, starałam się go wspierać. Jestem również członkiem biura porad obywatelskich, gdyż zawsze uważałam, że społeczeństwo na gruncie społeczności lokalnej powinno być obywatelskie, żeby ludzie dbali o miejsce, w którym żyją, żeby traktowali je jako swoją ojczyznę. Zaproponowano mi, bym kandydowała na radną i zostałam wybrana dopiero za trzecim razem.

To był już czas, gdy pozostałam bez mamy, bez ojca, bez teściów, a w Irlandii zginął tragicznie mój syn. Kiedy wyjeżdżał do Irlandii, dostał ode mnie krzyżyk, który zawsze wisiał nad jego łóżkiem. Syn był absolwentem liceum św. Augustyna prowadzonego przez PAX. W przeciwieństwie do wspomnień pana profesora, mój syn umierał w szpitalu, gdzie był otoczony opieką najlepszą z możliwych. Kiedy przygotowywałam rzeczy mojego syna, by zabrać je do Polski, w jego małym plecaczku znalazłam jego krzyżyk i powiedziałam mu w duchu: dlaczego nie miałeś tego krzyża przy sobie w chwili śmierci?

Kiedy zostałam radną, wiedziałam, że sprawy z zakresu polityki społecznej, z zakresu pomocy środowisku osób niepełnosprawnych będą dla mnie bardzo ważne. Uważałam, że należy zrobić wszystko, aby wesprzeć ten ośrodek, aby ludzie, które w nim przebywają, mogli żyć w godnych warunkach. Ośrodek ten powstał 16 lat temu. Osoba, która go prowadzi, jest niezwykłą, oddaną tym ludziom.

Okazało się wtedy, że w dzielnicy będzie realizowany budżet partycypacyjny. Trzeba było napisać projekt i go przedstawić. Projektów było bardzo dużo. Nasz projekt mógł być zrealizowany w przypadku przeznaczenia na jego realizację całej kwoty, którą otrzymała dzielnica. W czasie gdy projekt był prezentowany przez autorkę, siedziałam w kościele Wniebowstąpienia z krzyżykiem, który przywieziono mi z kanonizacji Jana Pawła II, i modliłam się, żeby ten projekt nie upadł i przeszedł dalszą drogę proceduralną. Byłam też w Ziemi Świętej i na Górze Błogosławieństw poprosiłam o specjalną Mszę Świętą w intencji powstania ośrodka dla osób niepełnosprawnych. Moje modlitwy zostały wysłuchane. Projekt dostał ponad 6500 głosów. Ośrodek będzie budowany w 2015 roku, chociaż byłam odsądzana od czci i wiary, że zabrałam całą kwotę. Przemilczałam to, bo uważałam, że prawo do osądzania mnie ma Ten, który jest na górze. Dumna jestem, że to się udało, że osoby niepełnosprawne będą miały godną opiekę. Kiedy projekt został napisany, należało go podpisać i złożyć w ratuszu. Pierwszą osobą, która go podpisała, była matka osoby, która przygotowała projekt. Zanim go podpisała, położyła na papierach krzyż zdjęty ze ściany w swoim mieszkaniu i dopiero je podpisała. Kiedy się o tym dowiedziałam, uświadomiłam sobie, że zrobiliśmy wszystko, reszta należy już do Boga.

### **Ks. Adam Zelga**

Kiedy powstał pomysł budżetu partycypacyjnego, przyszedł do mnie pan Tadeusz, który ma dwoje niepełnosprawnych, dorosłych dzieci, z prośbą, by w ogłoszeniach parafialnych prosić o zagłosowanie na ten projekt. Zrobiłem to z pełnym przekonaniem, dlatego że uważam za Benedyktem XVI, że stosunek do osoby niepełnosprawnej jest miarą humanizmu i demokracji.



Ks. Adam Zelga

Jeszcze ostatnie zdanie, zanim oddam głos siostrze. Kończy się rok Edmunda Bojanowskiego w Kościele, a fenomen Bojanowskiego wziął się z podjęcie „utruty” jako nowego wyzwania. Miał 24 lata, kiedy utracił wszystko. Zmarli rodzice, wyrzucono go ze studiów za względu na stan zdrowia, a majątek został zapisany przyrodniemu bratu. On sam wrócił do rodzinnej wsi...

W tej chwili jest błogosławionym. Dzieło, które stworzył, było wynikiem przyjęcia krzyża jako daru i głębokiej pobożności. Zakochanie w Ewangelii i codzienna Komunia święta zaowocowały czymś niezwykłym. Krzyż przyjęty może stanowić ogromną siłę dla człowieka, ale żeby przyjąć krzyż, to trzeba się wyrzec siebie. Bez pomocy Pana Boga to się nie uda.

### **Siostra Leonarda Brzozowska**

Czym Pan Bóg mnie obdarzył? Myślę, że każdy człowiek czerpie swoje cechy z ziemi, z której wyrasta. Chodzi nie tylko o środowisko, które go otacza i kształtuje jego osobowość, nie tylko o

wpływy prenatalne, ale o całą przeszłość, o setki pokoleń, które w nim znajdują swoje przedłużenie. Z takiego podłoża wyrasta człowiek, który wychyla się ku przyszłości, bo w każdym tkwi aktywne, niepokojące ziarenko *novum*, które pobudza go do pracy, do poszukiwań czegoś nowego, lepszego i doskonalszego zarówno w rozwoju osobistym, jak i społecznym.



Siostra Leonarda Brzozowska

Moje powołanie nierozzerwalnie kojarzy mi się z domem rodzinnym. Jestem dziewiątym, najmłodszym dzieckiem moich rodziców, którzy mieli piękne wspólne życie. Mój ojciec, mając 24 lata, zakochał się w dwunastoletniej dziewczynie. Musiał czekać sześć lat, by móc się oświadczyć i poślubić swoją wybraną, moją mamę. Ich szczęście mocno zakłóciła II wojna światowa. Gdy mój najstarszy brat miał trzy miesiące, tatę wzięło gestapo za udział w partyzantce. Działał aktywnie w Gryfie Pomorskim. Był więziony w obozie koncentracyjnym w Sztutowie, potem wywieziony na roboty do Niemiec. Ojciec wrócił do domu dopiero w grudniu 1945 roku, po

trzech i pół latach. Kiedy ojca zabrało gestapo, to od tej chwili codziennie modlił się do Matki Bożej Królowej Kaszub, żeby promień Jej miłości wpadał do pokoiku, gdzie zostawił żonę z dzieckiem oraz prosił o szczęśliwy powrót do nich. Złożył też Matce Bożej obietnicę, że jeżeli wróci, to do kresu swoich dni codziennie będzie odmawiał cały różaniec. Jak daleko sięgam pamięcią, codziennie widziałam mojego ojca odmawiającego różaniec, podczas różnych prac fizycznych, w czasie odpoczynku i wspólnej modlitwy. W dzieciństwie uczyłam się wszystkiego od taty i tato był dla mnie osobą najdroższą, bo mama zmarła krótko po moim urodzeniu. Gdy się urodziłam, mój najstarszy brat, na szczęście miał już rodzinę. Dzięki temu nie zaznałam braku miłości matczynej, gdyż bratowa obdarzyła mnie miłością i przyjęła jak jedno ze swoich czworga dzieci.

Jednym z ważnych wydarzeń kształtujących moją osobowość było odchodzenie taty. Gdy mój ojciec umierał, na łożu śmierci powiedział mi, wówczas osiemnastoletniej dziewczynie: „Iwonko, jeszcze jedno chcę ci powiedzieć, trzy dni przed śmiercią mamy złożyłem mamie ślub, że będę żył do końca życia w czystości. Przysięgi dochowałem, a teraz przez całą wieczność będę patrzył mamie prosto w oczy i będziemy już żyć wiecznie razem”. Tata był dla mnie świadkiem wiary i miłości, choć wtedy do końca tego nie rozumiałam.

Po maturze poszłam na studia pedagogiczne na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Tam do końca rozeznałam, że moim powołaniem jest życie zakonne, choć od Pierwszej Komunii świętej miałam wewnętrzne przekonanie, że życie zakonne jest mi przeznaczone. Natomiast kiedy zdecydowałam się i oznajmiłam bratu i bratowej, z którymi cały czas mieszkalam, że wstępuję do zakonu, do siostr niepokalanek, wtedy mój brat się rozrzewnił i powiedział: „Myślałem, że wyjdiesz za mąż i będziesz miała co najmniej siedmioro dzieci, bo kochasz dzieci”. Było mu trudno przyjąć moją decyzję. Dopiero po trzech latach, kiedy przyjechał z bratową na pielgrzymkę do Szymanowa i zobaczył mnie wśród dzieci, napisał do mnie list, że już teraz wie, że jestem szczęśliwa i że mam nie siedmioro, ale dużo więcej dzieci.

W moim powołaniu zakonnym, konkretnie do zgromadzenia siostr niepokalanek, odkryłam wszystko, co było moją pasją już w

młodości – miłość do dzieci, praca dla innych, miłość do ojcowizny, zawierzenie życia Bogu i Matce Bożej. Dlatego charyzmat pozostawiony przez bł. Matkę Marcelinę zachwyił mnie maryjnością, ukochaniem ojczyzny i służby dla niej, życiem w czystości oraz bezinteresownością w relacjach z ludźmi.

Błogosławiona Matka Marcelina, która działała w tym samym okresie co bł. Edmund Bojanowski, zakładała szkoły, a głównym ich celem było wychowanie dziewcząt na dobre córki, żony, matki i obywatelki kraju – Polki oraz świadome katoliczki. Wierzyła, że jeżeli rodzina będzie silna Bogiem, to Ojczyzna zmartwychwstanie.

Teraz, gdy prowadzę szkołę, wciąż powtarzam rodzicom, że my możemy im pomóc w wychowaniu dzieci, ale tego, co daje dom rodzinny, nie zastąpi żadna nawet najlepsza pod słońcem szkoła. W kształtowaniu osobowości człowieka najważniejszą rolę odgrywa rodzina. Jak ważne są w rodzinie wspólne posiłki, zwyczajne bycie razem, wymiana myśli, dyskusje, liczenie na wzajemną pomoc oraz wspólne modlitwy i za siebie nawzajem oraz rodzinne tradycje. To jest to, co daje moc i siłę na całe życie. Rodzina jest najważniejsza.

## Dyskusja

### **Hanna Rembertowicz**

Ja tylko chciałabym dodać parę słów do wypowiedzi siostry. Prowadząc zajęcia z dziećmi, Siostra pewnie zastanawia się, co z nich wyrosnie. Jestem dostatecznie stara, by na ten temat troszeczkę powiedzieć. Po wojnie cały klasztor sióstr mieścił się w małym domeczku, gdzie siostry mimo braku miejsca dla siebie przygarniały jeszcze dzieci. Część z tych dzieci nie miała rodziców, część miała, część mieszkała z siostrami, a część korzystała tylko z dziennego pobytu. Prowadziłam tam zastęp harcerski. Mogę więc Siostrę zapewnić, że dzięki temu, co te dziewczyny wyniosły od sióstr, wyrosły z nich znakomite kobiety i do dziś się przyjaźnimy i mamy ze sobą kontakt. A więc „tak trzymać”.



Hanna Rembertowicz

### **Zbigniew Witecki**

Kiedy myślałem o tym temacie, uświadomiłem sobie, że moje powołanie realizuje się na wielu płaszczyznach. Po pierwsze, żeby być człowiekiem, którym Bóg ukształtował mnie w łonie matki. Na to nałożyła się, od czasu chrztu, moja droga chrześcijaństwa. Poprzez dzieciństwo, młodzienny okres problemów z wiarą, kiedy Bóg postawił konkretnego kapłana na mojej drodze, który mnie wyprostował i pokazał Boga jako Tatę. Dzięki temu już świadomie przyjąłem chrześcijaństwo jako drogę życia.

Kolejne powołanie to małżeństwo. Od małego wiedziałem, że moja droga to bycie mężem i ojcem. W momencie, kiedy składałem przysięgę małżeńską mojej żonie, zdałem sobie sprawę, że ja jestem za słaby, by dotrzymać tych przyrzeczeń. Wtedy zawarłem pakt z Panem Bogiem, że jeśli w jakiegokolwiek sytuacji życiowej będę sprzeniewierzał się temu ślubowaniu lub będę szedł w złym kierunku, to upoważniam Boga – i to nieodwołalnie do końca życia – aby tak zadziałał, żeby ta sytuacja się odwróciła, abym dotrzymał przyrzeczenia. I były takie sytuacje, gdy Bóg rzeczywiście interwe-



Zbigniew Witecki

niował, co uchroniło mnie i moje małżeństwo od nadchodzącego dramatu.

Doszło do tego powołanie ojcostwa (mamy pięcioro dzieci), które przyniosło nowe zadania i wymuszało nowe postawy. Te powołania rosły wraz z łaską Boga, który pomagał je realizować również w Duszpasterstwie Rodzin. Bóg zechciał wezwać mnie też do specjalnej służby Kościołowi w Ruchu dla Lepszego Świata (Movimento per un Mondo Migliore), gdzie przez 22 lata realizowałem tę misję. Z każdym rokiem coraz lepiej wiedziałem, jak mało mogę ja, a jak dużo robi przeze mnie Bóg.

W pewnym momencie Bóg powierzył mi kolejną misję – powołał mnie do Szkoły Nowej Ewangelizacji. W nowej sytuacji często czułem się bezradny, ale Bóg dając zadanie, dawał też możliwość jego realizacji. Obdarzył mnie nowymi umiejętnościami, nowym duchem, entuzjazmem, wszystkim, czego wtedy potrzebowałem. Doświadczałem wielu niezwykłych sytuacji, aż w którymś momencie odebrał mi powołanie do czynnej służby Kościołowi.

Teraz, gdy jestem już na emeryturze, uczę się nowego powołania. Nie tylko bycia dziadkiem (mamy dziesięcioro wnuków), ale też na nowo bycia człowiekiem, który ma swoje uwarunkowania psychiczne i fizyczne (choroby), co wymaga nowych postaw życiowych.

Podsumowując swoje życiowe powołania, zauważyłem, że na każdym etapie Stwórcy dał mi (i daje każdemu) odpowiednie wsparcie. Do bycia człowiekiem – dał sumienie. Do bycia chrześcijaninem dał wiele drogowskazów i pomocy, jak między innymi Dekalog, osiem błogosławieństw, Pawłowy Hymn o Miłości, czy chociażby modlitwę Ojciec Nasz. Do bycia mężem, ojcem dał sakramenty, Ruch Weekendów Mażeńskich. Do zadań specjalnych – specjalne dary i błogosławieństwa.

Zawsze miałem też intuicję, że oprócz osobistego opiekuna, którego każdy ma – nazywamy go Aniołem Stróżem, gdy dostajemy od Boga nowe (lub następne) powołanie, dostajemy też następnego Anioła od tego zadania. Tę intuicję potwierdzili potem księża, którzy zajmowali się tą dziedziną teologii. I sam doświadczałem, że gdy jakieś niebotyczne trudności stają na drodze i proszę Boga, za pośrednictwem Anioła od konkretnego powołania o Pomoc, to „góry” ustępują i wszystko idzie do przodu.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Ogromnie ważne jest, abyśmy kochali własną pracę i robili to, w jakim kierunku mamy talenty i pasję. Gdy skończyłam studia we Wrocławiu i przenieśliśmy się do Warszawy, zaczęłam pracować w Instytucie Polskiej Akademii Nauk. Po paru latach pracy w Instytucie wiedziałam, że poza pracą badawczą, którą tam realizowałam, brakuje mi ogromnie pracy dydaktycznej. Dopiero po przejściu na Uniwersytet czułam, że w pełni realizuję swoje powołanie. Praca badawcza powiązana z pracą dydaktyczną dawała mi pełną satysfakcję. Myślę, że jeżeli nasza praca zawodowa jest również naszą pasją, to potrafimy nią zarażać innych. Przez kilkadziesiąt lat pracy na Uniwersytecie nigdy nie brakowało mi osób, które chciały ze mną współpracować, zarówno wśród studentów jak i pracowników naukowych.

Trzeba w życiu wybierać zawód z zamiłowania. Boję się bardzo wyborów wyłącznie pod kontem przyszłych zarobków, szczególnie w zawodach, gdzie powołanie jest konieczne – myślę tu o lekarzach, nauczycielach czy księżach. Pamiętam w latach 50. rozmowę z moim kolegą ze studiów, który mówił, że po magisterium wybiera się do seminarium duchownego, bo ksiądz to dobry zawód. Na szczęście, jak się później dowiedziałam, wyrzucono go z seminarium.

Przypominam sobie też rozmowę z przydzielonym mi asystentem w Instytucie Geografii Uniwersytetu w Amsterdamie, o którym wiedziałam, że jest jedynym synem właściciela wielkiej sieci supermarketów w Holandii. Pytałam go, dlaczego wybrał geografię i podjął studia doktoranckie z tego zakresu, jeśli w przyszłości będzie musiał przejąć po ojcu zarządzanie wielkim przedsiębiorstwem. Pamiętam jego odpowiedź: „Ojciec zostawił mi pełną swobodę wyboru studiów, żebym tak długo jak mogę realizował swoje zainteresowania i pasję, a jak przyjdzie czas zarządzania firmą, to się douczę. Studia geograficzne w tym mi nie zaszkodzą, a raczej pomogą”. Pomyślałam sobie wtedy, jak mądry i dojrzały jest ten człowiek.

## C.d. wypowiedzi otrzymanych drogą korespondencyjną

**Bogdan Puławski** (Dania)

### Moje powołanie

Pierwszą moją reakcją na zadany temat było, że to chyba pytanie nie do mnie. Odruchowo powołanie wiązałem z udziałem Opatrzności, które dotyczy jednostek czy grup ludzi, takich jak dzielni lekarze, poświęcający się nauczyciele czy święci księża. Ale po refleksji uznałem, że aby społeczeństwa działały, potrzebny jest pozytywny wkład wszystkich ich uczestników. Tak więc wszyscy jesteśmy przez Stwórcę powołani do czegoś, jedni do spraw wielkich, inni do mniejszych. W końcowym rozrachunku są one jednak jednakowo wielkie. Nasz Pan daje nam wszystkim *talenty* do zagospodarowania (Mateusz, 25, 14-30). A więc jakie ja otrzymałem talenty i do czego jestem powołany?

Muszę przyznać, że sam proces przemyślenia tego pytania i znalezienie odpowiedzi, że też jestem do czegoś powołany, że jestem za coś odpowiedzialny, dał mi sporą dozę wewnętrznego spokoju i duchowego wsparcia.

Powołaniem moim było założenie rodziny i razem z żoną jej tworzenie oraz rozwój i wychowanie naszych dzieci. Ja, jako mąż i ojciec, podjąłem się zadania zapewnienia rodzinie środków do godnego istnienia poprzez zabezpieczenie materialne. Z racji mojej profesji (geologia inżynierska) moja praca wymagała częstych i nieraz długich, nawet kilkuletnich pobyków za granicą, a więc z dala od rodziny. Było to możliwe, gdyż żona, Lilian (Szwedka) z dużym zapalem i wielkim oddaniem przejęła na siebie zadanie prowadzenia domu i wychowywania trójki naszych synów. Tak więc w przypadku żony i matki moich dzieci mogę z dużą pewnością i wdzięcznością mówić o realizowaniu jej powołania w tym zakresie. Była „zarządcą” domu i ciepłą ostoją rodziny. Ja zaś miałem pełną swobodą dysponowania czasem dla pracy w rozrzuconych po świecie miejscach zatrudnienia.

Kiedy dzieci były jeszcze małe, wyjeżdżałem na krótkie, 2-3 miesięczne kontrakty, w czasie których starałem się utrzymać jak najbliższy kontakt z rodziną. W bezkomórkowych i bezinternetowych latach 1970-1980 koszty komunikacji telefonicznej były niezwykle wysokie, więc kontaktem z rodziną były listy, w których sporo miejsca zajmowały ciekawe opisy dalekich krain, z których chłopcy dostawali też widokówki.

Wracając z wyjazdów do domu, przywoziłem chłopcom wiele podarunków z tych egzotycznych stron: afrykańskie maski i inne rzeźby, włócznie, tarcze, arabskie kindżały czy miecze Tuaregów w pięknie zdobionych, skórzanych pochwach, bębny tam-tam, nagrania lokalnych piosenek i muzyki i itp. Przywoziłem też ciekawe okazy egzotycznych roślin czy zwierząt do zbiorów biologicznych w ich szkole. Byli za to popularni i wśród nauczycielstwa, i kolegów. Między innymi, był tam wielki włochaty pająk (*czarna wdowa*), którego w ostatniej chwili zauważyłem w moim bucie, wiszące gniazda ptaków (rodzina wikłaczy), czy nawet (niestety już nieżywa) mucha tse-tse.

Moja żona otrzymywała ulubione przez nią torebki, od grenlandzkiej foki poczynając, po afrykańskie zebry czy krokodyle, różnego typu egzotyczne biżuterie i....metry afrykańskich płócien, indonezyjskich batików czy indyjskich sari. Dom wzbogacił się w tym czasie o kilka egzemplarzy prawdziwych perskich dywanów.

Już nieco doroślejsi, chłopcy przylatywali z moją żoną lub sami na 2-3 tygodniowe pobyty, kiedy to braliśmy wspólny udział w afrykańskich safari na lwy, słonie czy hipopotamy, łowienie ryb w Oceanie Indyjskim, czy wylegiwanie się na różnych plażach świata. Wszędzie starałem się, aby poznawali lokalne kultury, religie i obyczaje, a także elementy mojej pracy zawodowej. I tak odwiedzili wschodnią i zachodnią Afrykę, Indonezję, a także Ukrainę.

W czasie pobytów w domu, kładliśmy z żoną, duży nacisk na nauczanie dzieci nie tylko naszych rodzimych języków, ale też historii i zrębów kultury naszych krajów. Przecież oboje, żona Szwedka ja Polak, żyliśmy w Danii, a więc na „na obczyźnie”. To jednak żona, Szwedka(!) nauczyła naszych chłopców języka polskiego (i szwedzkiego), uzasadniając to tym, że „muszą przecież umieć rozmawiać z dziadkami i kuzynami w Polsce i w Szwecji”.

Jaki był rezultat tych naszych „zabiegów”? Przez cały czas, kiedy żyli nasi rodzice, wnukowie posyłali listy lub widokówki do szwedzkich, czy polskich dziadków w ich narodowych językach, a 25 lat temu dwóch z naszych synów otwarło własne „biznesy” w Polsce, gdzie założyli też swoje rodziny.

Tyle o moim/naszym powołaniu rodzicielskim. Wspominając jednak moje lata dziecięce i młodość, odkryłem chyba jeszcze inne, wcześniejsze powołanie; inne *talenty* przekazane mi do zagospodarowania. Już jako uczeń 5-6 klasy wiejskiej podstawówki (lata 1947-1949) lubiłem tworzenie nowych pomysłów i organizowanie ich wykonania. W naszej biednej szkole, poza zapalem nauczycieli, brakowało wszystkiego, również książek do czytania. Wystąpiłem z inicjatywą stworzenia naszej własnej szkolnej biblioteczki. Lubiłem czytać i chciałem, by i inni też mieli książkę pod ręką. Reprowaliliśmy więc stare, poszarpane książki i wyjmowaliśmy z gazet specjalne wkładki, które się ukazywały raz na tydzień (na przykład

„Starą Baśń” Kraszewskiego można było skompletować w ciągu 2 miesięcy) i oprawialiśmy je w formie książek. Pomagał nam nauczyciel od ręcznych robót.

W gimnazjum i liceum zostałem obrany kierownikiem Szkolnego Koła Sportowego. Liceum opuściłem z dyplomem Przdownika Nauki i Pracy Społecznej, co dawało mi wolny wstęp na każdy wybrany kierunek studiów. Wybrałem geologię na Uniwersytecie Warszawskim. Już na pierwszym roku zostałem wybrany starostą jednej z grup studenckich naszego roku.

W pracy zawodowej, w duńskiej inżynierskiej firmie konsultingowej po kilku latach pracy powołano mnie na kierownika grupy hydrogeologicznej, a po kilku dalszych latach powierzano mi kierownictwo często bardzo skomplikowanych projektów zagranicznych. Stąd moje częste i długie wyjazdy za granicę. Ważnym elementem przy podejmowaniu decyzji o wyjeździe była troska o materialne dobro rodziny; często niewdzięczna praca w Afryce czy na pustyniach Bliskiego Wschodu była lepiej honorowana.

W okresach dłuższych pobytów w Danii razem z rodziną z chęcią zaakceptowałem dwie (czteroletnie) kadencje jako prezesa Rady Parafialnej przy niewielkim, diasporowym kościele katolickim w naszym mieście (północna Zelandia) i jedną kadencję w Radzie Biskupiej. Jeszcze teraz, w wieku już dobrze ponad 70 lat, służę środowisku, w którym żyję jako Prezes Komitetu Wyborczego. Biorąc pod uwagę mój wiek i to, że jestem imigrantem, czuję się z takiego stanu rzeczy zadowolony i szczęśliwy.

W ciągu 40 lat pracy zawodowej miałem ogromne szczęście działania w 30 krajach świata Afryki, Azji i wschodniej Europy. Uwielbiałem poznawać obce kultury, obcować i żyć pośród ludzi różnych nacji, mieć częsty udział w ich tradycjach czy też zwykłym codziennym życiu, a w kilku przypadkach uczyć się też ich języka (indonezyjski opanowałem prawie na poziomie swobodnej konwersacji). Nagrodą była zawsze akceptacja mojej osoby i dostęp do serc i dusz lokalnych ludzi. To był dar ogromnej wagi: Boże *talenty*, które mam nadzieje, dobrze zagospodarowałem.

Po darze rodziny (obecnie trzech synów, siedmioro wnuków i dwie prawnuczki) uważam, właśnie ten dar, to powołanie do poznawania różnych kultur, za najistotniejszy w moim życiu. Kiedyś napisałem we swoich wspomnieniach<sup>1</sup>: „Czuję się częścią wielkiego świata, jego narodów i wszędzie bogatych kultur, uczuciowo związany ze Szwecją, wdzięcznym obywatelem Danii, sercem i duszą Polakiem”. Takie było i jest moje powołanie.

### **Marianna Łacek** (Australia)

#### **Moje powołanie**

Kiedy podczas wakacji szkolnych dostałam pracę w lokalnym nadleśnictwie przy sadzeniu drzewek, starałam się to robić szybko i dokładnie. Nie bez odcienia dumy przyjmowałam gratulacje, że wszystkie „moje” małe świerki i modrzewie się przyjęły... Miałam zapewnione zatrudnienie na kolejne sezony. Ale po skończeniu szkoły średniej podjęłam pracę w bibliotece. Tak, książki to mógł być mój świat.

Głęboko na dnie serca kryło się jednak marzenie – chcę być nauczycielką. Studia pedagogiczne? Tak, ale w jakim kierunku? Najchętniej studiowałabym polonistykę, ale wywoływało to zdumienie koleżanek szkolnych. Polonistów wszędzie jest zatrzęsienie, mówiła jedna. Gdybym miała choć połowę twoich matematycznych zdolności, to bym za nic nie wybierała przedmiotów humanistycznych, dodawała druga. Słuchaj, chcesz być nauczycielką? Wiesz, jakie są pensje nauczycieli? Wybierz fizykę i matematykę – zawsze będziesz mogła liczyć na korepetycje, dodawali ci rozsądni.

Nie, przedmiotów ścisłych nie zdecydowałam się studiować. Wybrałam geografię. Studia były jednym łańcuchem fascynacji cudami Natury. Nie brakło także osobistych sukcesów... Jednak przemierzając bezdroża Pasma Przedborsko-Małogoskiego, szukałam

---

<sup>1</sup> („Ci, o których powinniśmy pamiętać, Fascynujące życiorysy Polaków rozsianych po świecie”, tom I, 2010, Wydawnictwo SWPR).

nie tylko śladów zlodowaceń w przełomach. Nie mogłam oprzeć się urokowi Konopnickiej w okolicach Przedborza, „Wiernej Rzeki” Żeromskiego w Małogoszczy... Szłam wiele kilometrów na piechotę, żeby dotrzeć do Oblęgorka...

Stypendium naukowe, publikacje, obroniona z wyróżnieniem praca magisterska z geomorfologii, marzenie o doktoracie i dalszej pracy naukowej. Niestety, do uzyskania stypendium doktoranckiego zabrakło przyzwolenia tych, którzy dzierżyli wówczas władzę... Rozczarowanie? Chyba tak. I to ogromne. Ale być może nie to było moim powołaniem.

Po studiach praca z młodzieżą – różną, tak jak różne były szkoły, w których stawiałam pierwsze nauczycielskie kroki: Zasadnicza Budowlana w Nowej Hucie oraz Liceum im. Nowodworskiego w centrum Krakowa.

A potem niespodziewane zaproszenie do Australii. Wyjazd na rok przedłużył się do lat... ponad czterdziestu. Na początku nie mogłam uwierzyć, że można być dobrym, cenionym nauczycielem, ucząc nie we własnym języku. Więcej – będąc geografem, uczyć języka wyuczonego już w wieku dorosłym – w moim przypadku angielskiego, którego się tutaj nauczyłam.

A przy tym wszystkim praca z młodzieżą polonijną. Uczenie ich języka polskiego, próba odtworzenia nieraz mocno naderwanych powiązań z kulturą przodków... I tutaj widziałabym moje powołanie.

Ale nie, przecież to nie wszystko. Przecież było czworo malutkich dzieci (teraz dorośli już ludzie) prowadzonych za rączki do stacji kolejki. Sprawdzenie czterech par rączek, przyczesanie czterech grzywek, zanim nadjedzie mój pociąg, a oni pójdą sami parędziesiąt metrów dalej do swojej szkoły.

Było organizowanie przyjęć urodzinowych z wymyślnymi tortami, szycie wytwornej sukni na Bal Debiutantek, codzienna krzątanina w kuchni, pralni w ogródku. Robiłam to wszystko i do tej pory robię z prawdziwą radością. Jeśli nie potrafię wzbudzić w sobie fascynacji tym, co mam wykonać – bez względu na to, czy jest to przetłumaczenie poezji, napisanie recenzji, uprasowanie obrusa na stół, czy obranie ziemniaków na obiad – po prostu się do tego nie biorę.

I do tej pory nie potrafię jednoznacznie stwierdzić, co jest moim powołaniem. W każdą rzecz, którą mam wykonać, wkładam nie tylko wysiłek, ale i serce. Moja śp. Mama zwykła była mawiać, że wszystko, co robimy, powinno być na chwałę Bożą. I chyba to jest powołaniem każdego z nas.

**Sofija Okolko** (Ukraina, obecnie w Polsce na studiach)

### **Moje powołanie**

W moim rozumieniu powołanie bierze swój początek od świadomego rozumienia i pragnienia realizowania postawionego przez siebie celu. Natomiast obserwuję, że wiele osób realizuje w życiu cele narzucone im przez innych. Nie są w stanie wytyczyć własnego celu. Uważam, że to jest problem dzisiejszego świata. Ludzie realizując „pożyczony cel”, nie realizują swojego prawdziwego powołania w życiu. W ten sposób człowiek traci swoją tożsamość i unikalność. Często korzenie tego problemu występują w rodzinie przez niewłaściwe wychowanie i zabieranie swobody wyboru dzieciom przez rodzica, aby zrealizowały one jego cele, a nie własne. Często dotyczy to również duchowego rozwoju człowieka. Utrudnianie świadomego wyboru celu może mieć też źródło w środowisku zewnętrznym. Przez różne naciski i uwarunkowania środowisko to wpływa na dalszą drogę człowieka i uniemożliwia mu poznanie wszystkich wartości własnego powołania.

Jeśli chodzi o moje własne powołanie, to tak jak je dzisiaj widzę, wyznaczają je dwie zasady odpowiadające na pytania: Czy Pan Bóg jest chwalony przez moje życie w codziennym moim działaniu i czy moja miłość do bliskich jest prawdziwa i szczerą? Właśnie odpowiedzi na te pytania pomagają mi w realizowaniu swojego powołania, które składa się z postawionych sobie celów.



*Czy tradycyjne zwyczaje  
dnia Wigilijnego, Bożego Narodzenia  
i Święta Trzech Króli  
są dla mnie ważne i dlaczego?*

## Cytaty

### **24 grudnia – Wigilia Narodzenia Pańskiego** (fragmenty)

Wieczór wigilijny w tradycji polskiej jest najbardziej uroczystym i najbardziej wzruszającym wieczorem roku. Punktem kulminacyjnym przeżyć adwentowych w rodzinach chrześcijańskich jest wigilia Bożego Narodzenia. Ma ona bardzo bogatą liturgię domową. Geneza tej liturgii sięga pierwszych wieków chrześcijaństwa. Obrzędy te i zwyczaje mają więc starą tradycję. Wigilie w ogóle znane były już w Starym Testamencie. Obchodzono je przed każdą uroczystością, a nawet przed każdym szabatem. Było to przygotowanie do odpoczynku świątecznego. Izraelici zwali je „wieczorem”.

Słowo „wigilia” pochodzi z języka łacińskiego i oznacza czuwanie. Taki był dawniej zwyczaj w Kościele, że poprzedniego dnia przed większymi uroczystościami obowiązywał post i wierni przez całą noc oczekiwali na tę uroczystość, modląc się wspólnie.

W Polsce wigilia weszła na stałe do tradycji dopiero w XVIII wieku. Główną jej częścią jest uroczysta wieczerza, złożona z postnych potraw. Wieczerza ta ma charakter ściśle rodzinny. Zaprasza się czasami na nią, oprócz krewnych, osoby mieszkające samotnie.

### **Wolne miejsce przy stole**

Znany i powszechny jest obecnie w Polsce zwyczaj pozostawiania wolnego miejsca przy stole wigilijnym. Trudno dokładnie ustalić jego genezę. Zapewne jest to zwyczaj późniejszy, gdyż nie wspomina o nim żaden z historyków obyczajów polskich. Miejsce to przeznaczone bywa przede wszystkim dla przygodnego gościa. Zbigniew Kossak pisze, że „ktokolwiek zajdzie w dom polski w święty wieczór wigilijny, zajmie to miejsce i będzie przyjęty jak brat”.

Pozostawiając wolne miejsce przy stole, wyrażamy również pamięć o naszych bliskich, którzy nie mogą świąt spędzić z nami. Miejsce to może również przywołać nam na pamięć zmarłego członka rodziny.

### **Łamanie się opłatkiem**

Najważniejszym i kulminacyjnym momentem wieczerzy wigilijnej w Polsce jest zwyczaj łamania się opłatkiem. Czynność ta następuje po przeczytaniu Ewangelii o Narodzeniu Pańskim i złożeniu życzeń. Tradycja ta pochodzi od prastarego zwyczaju tzw. eulogiów, jaki zachował się z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wieczera wigilijna nawiązuje do uczt pierwszych chrześcijan, organizowanych na pamiątkę Ostatniej Wieczerzy. Zwyczaj ten oznacza również wzajemne poświęcenie się jednych dla drugich i uczy, że należy podzielić się nawet ostatnim kawałkiem chleba. Składamy sobie życzenia pomyślności i wybaczymy urazy.

Boże Narodzenie po Wielkanocy jest największym i najbardziej uroczyste obchodzonym świętem chrześcijańskim. Jest to święto rodzinne, przeważnie spędzane w gronie najbliższych ludzi – sięga tradycjami dawnych czasów. Zachowały się nawet ślady obrzędów z czasów słowiańskich.

### **Święto Trzech Króli – polskie zwyczaje**

Szóstego stycznia przypada w Kościele katolickim Święto Objawienia Pańskiego (tradycyjnie określane jako święto Trzech Króli), które upamiętnia objawienie się Boga poganom. Ich pierwszymi reprezentantami byli trzej mędrcy ze Wschodu – Kacper, Melchior i Baltazar. Mędrcy przybyli do Betlejem, aby oddać pokłon i złożyć dary narodzonemu tam Chrystusowi. Składając Dzieciątku Jezus złoto, uznali w Nim króla, składając mirrę – prawdziwego człowieka, a składając kadzidło – uznali w Nim Boga.

Według starej polskiej tradycji wierni po powrocie z kościoła palili kadzidło (aromatyczne zioła), a gospodarz przy udziale całej rodziny kreślił poświęconą kredą na drzwiach wejściowych inicjały trzech mędrców: K+M+B (Kacper, Melchior, Baltazar). Ten zwyczaj zachował się do dziś. Jest on jednak błędną interpretacją łacińskiej inskrypcji C†M†B *Christus Mansionem Benedicat* (Niech Chrystus błogosławi temu domowi). Przypomina on zdarzenie opisane w Księdze Wyjścia (12, 21-23): naród wybrany przed wyjściem z niewoli znaczył drzwi i progi domów krwią ba-

ranka. W rezultacie Bóg *nie pozwolił niszczycielowi wejść do tych domów*.

W Święto Trzech Króli w Kościele katolickim święci się kredę i kadzidło. Kadzidło symbolizuje oddanie czci Bogu, stąd zwyczaj okadzania ołtarza. Kredą wypisuje się na drzwiach domów inicjały Trzech Króli. To między innymi znak dla księdza, że tu powinien wstąpić po kolędzie. Według ludowych wierzeń napis ten miał chronić domostwo od niebezpieczeństw i złych mocy.

## KONWERSATORIUM LXXV

(20 grudnia 2014)

### Czy tradycyjne zwyczaje dnia wigilijnego, Bożego Narodzenia i święta Trzech Króli są dla mnie ważne i dlaczego?

**Prowadzący:** **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**, **Magdalena Dembińska**, terapeuta pedagogiczny; **Mateusz Dembiński**, analityk finansowy; **Jan Żaryn**, historyk, nauczyciel akademicki, profesor, UKSW, red. nacz. miesięcznika „wSieci Historii”; **Małgorzata Żaryn**, historyk, pracownik Muzeum Historii Polski, zastępca red. nacz. „wSieci Historii”; **Joanna Puchalska**, historyk sztuki, tłumaczka literatury anglojęzycznej, autorka publikacji o tematyce kresowej.

#### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Witam państwa, na naszym kolejnym Konwersatorium. Książd Adam Zelga prowadzi dzisiaj rekolekcje, w związku z czym nie mógł przybyć, i przekazał mi pełnomocnictwo prowadzenia naszego spotkania. Tematyka dzisiejszego Konwersatorium będzie bardzo świąteczna.

#### **Joanna Puchalska**

Czym jest dla mnie tradycja Świąt Bożego Narodzenia i jak ją pojmuję? Jest to zbiór drogowskazów wobec zachowań przeprowadzających nas przez mistyczny okres Bożego Narodzenia i święta Trzech Króli. Te tradycje mają wymiar zarówno ogólny, jak i bardzo rodzinny, bo w każdej rodzinie są obecne jakieś odmiany ogólnie przyjętych założeń. Na początku życia pomagają małemu dziecku wejść w atmosferę Bożego Narodzenia na zasadzie swoistej magii,



Paneliści. Od lewej: Joanna Puchalska, Małgorzata Żaryn, Jan Żaryn i Magdalena Dembińska

gdzie wszystko jest nierealne, a w późniejszym wieku pozwalają w szerszym wymiarze duchowym przeżyć to wielkie misterium.

Dla mnie takim zwieńczeniem świąt Bożego Narodzenia jest święto Trzech Króli, które przez wiele lat w PRL nie było dniem wolnym od pracy i władze robiły wszystko, żeby je zepchnąć na margines. U mnie w domu do tego święta podchodziło się bardzo poważnie i zawsze było obchodzone. Dla mnie pierwsze wspomnienia są związane ze słowami mojej babci, która mówiła: „zobaczysz, pojawią się Trzej Królowie w szopce przy żłóbku i jeden z nich to będzie murzyn”. Ja na tego murzyna najbardziej czekałam i ten murzyn chyba najbardziej przemawiał do wyobraźni dziecka. Wigilia była ważna, bo prezenty, rodzina, choinka, ale bardzo też czekałam na Trzech Króli.

Potem już jako zupełnie dorosła osoba byłam na Mszy Świętej w święto Trzech Króli, kiedy homilię głosił wspaniały, nieżyjący już kapłan ksiądz Bogdan Pękala. Do dziś pamiętam, że jego kazanie zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Mówił o tym, o czym powinno się mówić. O trudnej drodze, o poszukiwaniu, o tym, że

trzeba opuścić ciepły dom i wyruszyć w podróż, żeby spotkać Dzieciątka Jezus, i że trzeba przede wszystkim słuchać natchnienia Bożego. Jako puentę tego kazania wskazał, że czasem droga do Jezusa prowadzi przez Heroda. Te słowa gdzieś głęboko zapadły mi w pamięć, a że akurat tak się złożyło, że miałam wtedy kontakt z takim „Herodem”, którego należy unikać, nałożyło mi się to, co usłyszałam w homilii, na moje osobiste doświadczenie. Wtedy zrozumiałam, że zło, które czasami staje na naszej drodze, niekoniecznie musimy zwalczać, że czasami można rozstać się z nim w zgodzie, tak jak Trzej Królowie rozstali się w zgodzie z Herodem i wyruszyli dalej, ale już nie wrócili do niego, nie dali mu się podejść, nie dali mu się oszukać. Bo „Herod” jest wyjątkowo podstępny. On nie mówi, że chce zrobić krzywdę Dzieciątku. On mówi, że chce oddać Mu pokłon. I dzięki natchnieniu Bożemu, dzięki temu, że przyśniło się Królom, że mają wracać inną drogą, uniknęli Heroda. Ta cała historia głęboko utkwiała mi w pamięci, podkreślona wierszem T.S. Eliota „Podróż Trzech Króli” – obrazem podróży przez zimną, niegościnną krainę, wśród nieprzyjaznych ludzi, tęsknoty za ciepłym domem, za spokojnym życiem, ale mimo wszystko podążaniem naprzód. Takie jest zadanie każdego chrześcijanina.

Ten motyw podróży Trzech Króli, tych trudów ponoszonych, żeby spotkać Dzieciątka, odżył znowu, kiedy narodziła się piękna tradycja orszaków Trzech Króli. Można powtórzyć tę drogę, wyruszyć razem z Trzema Królami przez ulice miasta, ominąć kuszących diabłów, uśmiechnąć się do aniołów, którzy dobrze podpowiadają, i na koniec odnaleźć Dzieciątka i oddać Mu pokłon śpiewaniem kołęd. To jest nowa tradycja, która narodziła się całkiem niedawno, ale sam fakt, jakiego to nabrało rozmachu, że przyjęło się w wielu miastach, a nawet za przykładem Polski w innych krajach, świadczy o tym, że ta tradycja jest bardzo potrzebna i że jest Panu Bogu miła.

Chcę też wspomnieć o jednej tradycji jeszcze z czasów PRL. Kiedy zaraz po studiach pracowałam w Ośrodku Dokumentacji Zabytków, mieliśmy w pracy taki zwyczaj, że dzień przed wigilią urządzaliśmy sobie spotkanie kołędowe. Kończyliśmy pracę w połowie dnia, szliśmy na najwyższe piętro, gdzie było najwięcej miejsca,

otwieraliśmy wszystkie okna na oścież i śpiewaliśmy kolędy. Siedzieliśmy wtedy w pracy do czwartej, piątej. Były wcześniej przygotowane słowa, wszystkie zwrotki, jakie kiedykolwiek zostały napisane, również mniej znanych kolęd i pastorałek, a każdy z domu przynosił swoje tradycyjne przysmaki. Wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z tradycją śpiewania kolęd poza domem. Kiedyś zdarzyło się, że musiałam tego dnia na chwilę wyskoczyć z pracy i wtedy usłyszałam, jak nad ulicą Brzozową na Starym Mieście przepięknie unosił się chór głosów moich kolegów śpiewających kolędy.

### **Małgorzata Żaryn**

Będziemy mówić z moim mężem o naszych wspólnych zwyczajach, które z jednej strony zaczerpnęliśmy z tradycji, a z drugiej strony wytworzyliśmy je sami. Zanim jednakdo tego przejdę, chciałam powiedzieć o jeszcze jednej rzeczy. Mówi się, że tradycje są bardzo ważne i należy je kultywować, ale uważa się to za banał i stereotyp. Ja natomiast jestem żywym przykładem, że to nie jest stereotyp. W moim domu rodzinnym obchodzenie świąt było raczej beztreściowe i niereligijne. Mam możliwość porównania tych dwóch sposobów świętowania i w zasadzie nie ma o czym mówić, bo tego się nie da porównać. Znaczenie tradycji w sensie duchowym jest bardzo ważne i kiedy ma się możliwość wyboru, to ten wybór nie pozostawia żadnych wątpliwości. W związku z tym my się staramy, a mamy już siedmioro wnuków, przenosić te tradycje na następne pokolenia. Warto poświęcić czas, by tych tradycji się uczyć i je przyjmować.

### **Jan Żaryn**

Tak jak Małgosia powiedziała, pochodzimy z zupełnie różnych środowisk. Małgosia wywodzi się z rodziny dalekiej od Kościoła. Jej wejście do naszego wspólnego małżeństwa z tradycją Bożego Narodzenia i szerokimi tradycjami chrześcijańskimi opierało się na moim doświadczeniu. Ona jednak szybko je przejęła i zaakceptowała. Niezależnie od tego, jak nasze życie się toczyło, zanim się spotkaliśmy, to ten czas naszego małżeństwa, już ponad trzydzieści



Małgorzata Żaryn

lat, wytworzył wewnętrzną, rodzinną tradycję obchodzenia Bożego Narodzenia.

Chciałbym jednak powiedzieć też o swoim doświadczeniu dziecięco-młodzieńczym. Tak jak pani Joanna ma swoje doświadczenia dotyczące murzyna w święto Trzech Króli, to w moim domu rodzinnym też istniały pewne bardzo silnie tkwiące w mojej pamięci zwyczaje i zachowania. Tradycje mojej rodziny wywodziły się w części z protestantyzmu. Zarówno moja babcia, jak i moja mama przeszły na katolicyzm. Mama dominowała w domu, jeśli chodzi o przestrzeganie tradycji obchodów świąt chrześcijańskich, i pilnowanie samodyscypliny od wczesnego dzieciństwa, i ta tradycja została przekazana naszej piątce. Post w dzień wigilijny był traktowany dosłownie – zanim nastąpiła chwila dzielenia się opłatkiem, niczego nie wolno było zjeść. Jak łatwo się domyślić, to było trudne doświadczenie dla małego dziecka. Takie było moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa, bardzo trudnego czasu dnia wigilijnego. Z czasem nastąpiła pewna liberalizacja i w porze obiadowej gotowało się kartofle w mundurkach. Nie było tego jednak w latach mego dzieciństwa.



Małgorzata i Jan Żaryn

Oczywiście ten czas wigilijny w domu rodzinnym miał jeszcze jeden bardzo wyraźny wymiar, mianowicie, mimo że brakowało nam ojca, który zmarł, kiedy miałem sześć lat, to zawsze, jak pamiętam, wigilia była wieloosobowa. W związku z tym wyciągało się ogromny stół, nakrywało go obrusem, pod który kładło się sianko – to dobrze pamiętam. No i kolędy, które zawsze były śpiewane. W pierwszy dzień świąt jechaliśmy do dziadków i tam też śpiewaliśmy kolędy. Pamiętam – były to lata 1960. – ktoś zanucił „Cicha noc, święta noc”, która wtedy była mało znana. Poza osobą, która ją zaintonowała, reszta nie знаła słów, w związku z czym mój dziadek podchwycił melodię i odśpiewaliśmy „nie znam słów, nie znam słów” i tak do końca kolędy.

Takie różne drobne wspomnienia dziecięce istnieją w mojej pamięci, ale przejdę teraz do naszego małżeńskiego świętowania. W naszym domu mamy wypracowane tradycje oczekiwania i tradycje wspólnego przeżywania wigilii i składa się na to i *sacrum*, i *profanum*. Jesteśmy rodziną, która jest bardzo duża, a która ma tendencję do spóźniania się. W związku z tym w dzień wigilijny funkcjonuje atmo-

sfera podenerwowania. Mamy trójkę dzieci, siódemkę wnucząt, ja mam czwórkę rodzeństwa, a do niedawna żyła jeszcze moja mama, więc jeżeli chcielibyśmy spędzić wigilię w tak szerokim gronie, to trzeba było znaleźć odpowiedni stół, który mógłby pomieścić dwadzieścia kilka osób. Mamy obecnie taki specjalny stół, który otwieramy, i który tylko w tym dniu jest poszerzany do największych możliwości. Jest sianko pod obrusem i określony porządek uroczystości. Przed kolacją wigilijną jest wejście w *sacrum* poprzez przeczytanie odpowiedniego fragmentu Ewangelii świętego Łukasza. A po kolacji, po odśpiewaniu kolęd, wszystkie dzieci zostają wyproszone z salonu. Każde dziecko ma swoje krzesło, na którym układa się prezenty. Wtedy dzieci zostają zapraszane z powrotem i po odśpiewaniu kolędy mogą rozpakować prezenty. Dla starszego pokolenia ogromnie miłe jest widzieć, jak dzieci się cieszą, jak dziękują, jakie są szczęśliwe. Jest to jeden z najpiękniejszych momentów, to komunikowanie się międzypokoleniowe i ta ogromna radość z doświadczenia miłości. W Bożym Narodzeniu miłość jest najważniejsza i tę miłość pokazujemy w tak różnorodny sposób, a jak mi się wydaje, najpiękniej przez akt przekazania prezentu, czyli tego, co nam sprawia radość.

### **Małgorzata Żaryn**

W ramach podziału ról panowie zajmują się przygotowaniem choinki, to znaczy najpierw jej kupnem, a potem ubraniem jej w dzień wigilijny. Efekt bywa różny. Później również do mężczyzn należy ustawianie stołu i jego nakrycie. Ponieważ nasze wigilie są składkowe, to na mnie i innych paniach spoczywa obowiązek przygotowania kolacji wigilijnej od strony kulinarnej. Część potraw przygotowuję w domu, a część jest przywożona przez inne osoby. Całą ceremonię zaczynamy około osiemnastej, nie śpiesząc się, chociaż jesteśmy rodziną, która wiecznie się śpieszy. Pierwszym, po odczytaniu Ewangelii, elementem naszego świętowania jest dzielenie się opłatkiem połączone z życzeniami. Staramy się, aby życzenia nie były stereotypowymi, banalnymi zdaniem, tylko żeby kryły one w sobie jakąś głębszą treść, by to była treść wymodlona, przemyślana i w jakiś sposób opowiadająca o miłości. Ludziom, których ko-

chamy i z którymi jesteśmy blisko, łatwo różne rzeczy powiedzieć, więc to jest taki kontakt bardzo intymny i bardzo głęboki, no i czasem dosyć trudny, więc trochę jesteśmy zdenerwowani przed tym momentem dzielenia się naszą miłością. Długo to trwa, bo jest dużo osób i każdy z każdym wymienia parę zdań, ale jest to bardzo wartościowe i bardzo wzbogacające, jeśli chodzi o dalsze nasze wzajemne relacje.

Potem siadamy do stołu. Staramy się, żeby potraw było rzeczywiście 12, przy czym na te potrawy składa się również kompot i mak (potrawa szczególnie dla pana domu, bo jest wielkim wielbicielem maku). Potem, gdy już trudno ruszyć się za stołem, są kolędy, które musimy odśpiewać, przynajmniej trzy. Niestety Pan Bóg nie obdarzył nas umiejętnością śpiewania i głosów świetnych do śpiewania nie mamy, ale zgodnie z tym, co mówił Ksiądz Prymas Wyszyński, że ten, kto fałszuje, modli się cztery razy, mamy nadzieję, że będzie nam to zaliczone. Dzieci oczywiście niecierpliwiają się, bo czekają na prezenty.

Jeszcze parę słów o prezentach. Próbowaliśmy z tymi prezentami robić różne rzeczy. Co roku jest z tym problem, bo dzieci mają prawie wszystko, a dla dorosłych też trudno wymyślić coś oryginalnego. Przyszło nam do głowy, że te prezenty, które sobie dajemy, które są kupowane trochę stereotypowo, świadczą o tym, że my się tak dobrze nie znamy, mimo że stanowimy rodzinę. Postanowiliśmy więc, że wśród dorosłych zrobimy losowanie. Rozdajemy losy przed wigilią – każdy losuje osobę, której ma kupić prezent. Każdy jest więc obdarowany i nie ma zalewu różnych niepotrzebnych rzeczy. Z tego losowania są wyłączone jedynie dzieci, które zalewem prezentów się cieszą i przerzucają się z jednego prezentu na drugi.

To jest nasze doświadczenie dotyczące spotkania wigilijnego. Po wieczery wigilijnej natomiast zawsze idziemy we dwójkę z mężem na pasterkę. W naszej parafii mamy miły zwyczaj dzielenia się opłatkiem po pasterce, co buduje wspólnotę parafialną. Okazuje się, że coraz więcej ludzi znamy już nie tylko z widzenia, a Pan Jezus, który jest istotą tego wszystkiego, co się dzieje, przestaje być pustym dźwiękiem, ale zaczyna być odczuwalny tutaj w doczesności.

Powiem o jeszcze jednej naszej tradycji nawiązującej do Trzech Króli. Gdy dzieci były małe, robiliśmy sami szopkę, choć o jej walorach artystycznych lepiej nie mówić. Byli również Trzej Królowie stawiani na regale po przeciwnej stronie pokoju, którzy codziennie byli przesuwani o kawałek, aż 6 stycznia dochodzili do szopki. Choinka stała przez cały styczeń i rozbierana była dopiero 2 lutego. Wtedy dopiero kończył się czas świąteczny w naszym domu.

### **Magdalena Dembińska**

Słyszac państwa opowieści, które są nam bardzo bliskie, docho-  
dzą do wniosku, że nasze doświadczenia są bardzo podobne. Oboje  
z mężem wywodzimy się z podobnych rodzin i łączenie naszych do-  
mowych tradycji było naturalne. Kultywujemy je dalej. Mamy  
cztery córki i chciałabym, żeby miały podobne wspomnienia, jak  
my mamy z naszych rodzin. Nasze wigilie były spędzane zawsze w  
dużym gronie, bo moja mama ma troje rodzeństwa, i wspólnie gro-  
madziliśmy się na wigilie u mojej babci w jej małym mieszkaniu.  
Stoły musiały być sztukowane, żeby wszyscy się zmieścili. Były one  
różnej wielkości. Najstarsi siedzieli przy największym stole, kolejno  
młodzi dorośli byli sadzani przy stole niższym, dzieciarnia, a było  
nas wnuków piętnaścioro, trzeba było pomieścić przy dokładanych  
stoliczkach. Jedzenia było tak na styk albo za mało, mimo że każdy  
przynosił swoją część. Wigilia była przeposzczona, choć podjadało  
się co nieco podczas robienia, ale w ciągu dnia nie jedliśmy żadnego  
konkretnego posiłku. Jak już przychodziła wigilia, to jedzenie zni-  
kało bardzo szybko. Ja i moje siostry byłyśmy bardzo zaangażowane  
w pomoc przy zbieraniu talerzy, a potem w zmywanie naczyń.

Najważniejszy był początek wigilii: czytanie Ewangelii, co nale-  
żało do najstarszej osoby w rodzinie, którą była moja babcia (dzia-  
dek zmarł, gdy miałam 5 lat). Był to moment skupienia i  
zatrzymania się. Potem dzielenie się opłatkiem. Był to ważny mo-  
ment, choć dla dzieci dosyć rozwlekły. One były głodne i chciały  
przejsć do konkretów. Potem było jedzenie potraw. Niestety, po-  
magając w zmywaniu naczyń, często niewiele co zjadłam. Potem  
przychodził czas śpiewania kolęd. Bardzo lubiliśmy śpiewać, grać



Magdalena i Mateusz Dembiński

na instrumentach i potem, w okresie poświętecznym, to kolędowanie odbywało się prawie codziennie, a przynajmniej w soboty i niedziele aż do 2 lutego.

W wigilię śpiewanie kolęd odbywało się przed prezentami. Gdy stoły były już dość opustoszałe, to padało hasło, że dzieci wychodzą do drugiego pokoju. Tam odbywało się wielkie oczekiwanie. W tym czasie starsi rozkładali na krzeselkach prezenty, a potem był dzwonek, który oznaczał, że dzieci już mogą wejść. Stawało się w wejściu i śpiewało kolędy. Pamiętam, że te kolędy były przepelnione radością, bo były połączone z oczekiwaniem na prezenty, choć te w latach 1980. były bardzo skromne. Wtedy była ogromna bieda. Gdy patrzę na nasze dziewczynki obdarowywane i cieszące się prezentami, to myślę, że na pewno nasza radość z prezentów nie była mniejsza.

### **Mateusz Dembiński**

Moje doświadczenie, jeśli chodzi o święta Bożego Narodzenia, mógłbym podzielić na trzy etapy. Jeden etap to jest moje dzieciństwo – lata 1970. i początek lat 1980. W tym czasie święta spędza-

liśmy u moich dziadków, gdzie najważniejszą osobą była moja babcia. Była to osoba wychowana w rodzinie katolickiej i w domu moich dziadków posiłek wigilijny był naprawdę wyjątkowy. Ja jako małe dziecko czekałem, można powiedzieć, niemal równie niecierpliwie na posiłek wigilijny, jak i na prezenty. W szczególności samego przebiegu wieczoru nie będę wchodził, ponieważ w dużej mierze był podobny do wcześniej opisywanych. Natomiast szczególnie w drugiej połowie lat 1970. i na początku lat 1980. przebieg wigilii był mocno zdominowany przez dyskusje o charakterze politycznym, o sytuacji w Polsce i w Europie, a także o sytuacji również naszej rodziny. Coraz więcej osób wyjeżdżało za granicę. Kiedy przed stanem wojennym kilkanaście osób siadało do wspólnej wigilii, to już w czasie stanu wojennego było nas poniżej dziesiątki.

Drugi etap dla mnie ważny i wyjątkowy był po stanie wojennym, kiedy wyjechaliśmy z Polski i moi rodzice zostali w Szwecji, a ja byłem we Francji. Miałem wtedy 17 lat i był to początek dość długiego okresu, kiedy święta Bożego Narodzenia były dla mnie pielgrzymką. Jechałem do rodziców na Boże Narodzenie. Różnie bywało, raz samolotem, raz autobusem i nawet autostopem. Trzej Królowie są mi szczególnie bliscy, ponieważ ja również pielgrzymo-



Mateusz Dembiński

wałem do mojej rodziny, a można powiedzieć, że również na spotkanie z Panem Jezusem nowo narodzonym.

I trzeci etap – to kiedy już wróciłem do Polski i ożeniłem się. Tradycje naszych rodzin są bardzo podobne i nie było problemu połączenia naszych doświadczeń i tradycji, natomiast święta Bożego Narodzenia są jak dotychczas pielgrzymką między dwoma dużymi rodzinami. Aby spotkać się z najbliższymi, musimy „zaliczyć” dwie wigilie. W tym roku, kiedy już całe rodzeństwo mojej żony zakładało rodziny, to my spróbujemy rodziców zaprosić do nas.

Z okresu mojego pobytu we Francji pamiętam święta, kiedy przyjechali do Paryża moi dziadkowie i wigilia była u kuzynki mojej babci. Moja babcia zapytała ją, co będzie na wigilię, co będziemy jeść. Odpowiedziała, że przygotowuje kapłona (wykastrowanego i specjalnie utuczonego koguta). Moja babcia była tym mocno zbulwersowana. W wigilię obowiązuje przecież post. Ciotka, która od czterdziestu lat mieszka w Paryżu, była zdziwiona tą sprawą i chyba nawet się trochę pokłóciły. Babcia, mając znajome siostry wizytki w Paryżu, poszła do nich, aby zapytać je, jak jest z postem w wigilię. Zakonnice były bardzo zakłopotane. „Post w wigilię? Może był przed wojną”. Były bardzo zaskoczone tą sprawą i nie rozwiały wątpliwości mojej babci.

## Dyskusja

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

W majątku moich dziadków pod Krakowem, gdzie spędziliśmy całą wojnę, była taka tradycja, że pod obrusem kładło się sianko i w czasie trwania wigilii wszystkie osoby niezamężne i nieżonate siedzące przy stole wyciągały pojedyncze źdźbła, z których się wróżyło, jaki będzie przyszły ich mąż czy żona: krzywy, wysoki, kulawy, chudy czy gruby – oczywiście było przy tym mnóstwo śmiechu.

Druga tradycja, która istniała zarówno w naszych domach rodzinnych, jak i u nas, było puste nakrycie przy stole. Na ogół jest ono

traktowane jako symbol, choć czasem jest taka możliwość, żeby przyjąć naprawdę obcego człowieka. Kiedyś nasza córka, kupując w Tesco przed świętami, widziała tam znanego jej z widzenia Ukraińca, który grał na akordeonie. Spytała się go, gdzie będzie spędzał święta. „W letnim domku na działkach, gdzie mieszkam” – powiedział. A było wtedy 19 stopni mrozu. Córka zaprosiła go do nich, do domu, na naszą wspólną, rodzinną wigilię. Wszyscy bardzo miło wspominamy ten wieczór. Nasz gość grał nam kolędy na akordeonie, było bardzo sympatycznie. Od tego czasu często nas odwiedza i z moim mężem prowadzi długie rozmowy. Połączyło nas to puste nakrycie.

Trzecie wspomnienie, o którym chciałam powiedzieć, to święta Bożego Narodzenia spędzane w Algierze, gdzie mój mąż był na dwuletnim kontrakcie. Polecałyśmy do niego z naszą młodszą córką. Wiozłyśmy ze sobą prawdziwą choinkę. W Polsce nie budziło to sensacji, natomiast gdy wysiadłyśmy w Algierze, nie było Algierczyka, który by nas nie spytał, co to jest. Nasza choinka była główną atrakcją wspólnej wigilii wszystkich zaprzyjaźnionych rodzin, które tam były na kontraktach. Przywiozłyśmy z nią zapach polskich lasów.

Ta wspólna wigilia była też niesłychana pod względem bogactwa różnych regionalnych potraw. Byli tam Polacy z różnych stron Polski. Myśmy też zaskoczyli uczestników makiem z bakaliami pod przykryciem bitej śmietany. To była tradycja mojego domu rodzinnego, choć nie wiem, skąd ona pochodzi. Czy jest związana z Galicją mojego ojca czy z Wielkopolską mojej matki? Może ktoś z państwa mi powie.

### **Tomasz Przesławski**

Nawiązując do pytania pani profesor, odpowiem, że w moim domu rodzinnym w Gnieźnie, czyli w Wielkopolsce, była tradycja maku z bakaliami ze śmietaną.

Prezenty dzieciom rozdawał Gwiazdor, za którego przebierał się ojciec lub któryś z sąsiadów. Pytał nas o pacierz i kazał śpiewać kolędy. Na choince nie było światełek, tylko prawdziwe świeczki. Przed świętami, my dzieci, pomagaliśmy w robieniu pierników, które się potem wieszało na choince. W moim własnym domu kul-



Tomasz Przesławski (z mikrofonem) obok Marcin Borzęcki

tywowałem swoją tradycję wielkopolską. Gdy zamieszkaliśmy w Warszawie, przebierałem się tak jak mój ojciec za Gwiazdora. Gdy dzieci były starsze, podejrzewały, że to tatuś, bo miał podobne buty.

### **Karol Przewłocki**

Pochodzę z rodziny ziemiańskiej. Była liczna rodzina i miałem dużo rodzeństwa. Z wigilii w moim domu rodzinnym wspomnę tylko o dwóch szczegółach. Wśród dwunastu potraw był zawsze wielki uwędzony karp, z własnych stawów rybnych, o wadze 4-5 kilogramów, podawany na ogromnej tacy. W czterech kątach jadalni zaś stały cztery snopki czterech zbóż.

Opowiem jeszcze o jednym zdarzeniu z czasów okupacji, które miało miejsce w wieczór wigilijny. Pewna kobieta mieszkająca na Pradze trochę za późno wyszła od krewnych, tuż przed godziną policyjną. Tramwaj długo nie przyjeżdżał, więc bała się, że nie zdąży do domu przed godziną policyjną. W tramwaju było mało Polaków. Byli też niemieccy oficerowie. W pewnej chwili ktoś za-



### Karol i Jadwiga Przewłoccy

nucił kolędę „Cicha noc”. Niemieccy oficerowie razem z Polakami zaczęli ją śpiewać. Gdy kobieta musiała już wysiąść, a przekroczona była godzina policyjna, jeden z Niemców wysiadł z nią razem i odprowadził ją bezpiecznie do domu.

### Krystyna Kenig

Dla mnie świąteczne klimaty łączą się z powtarzalnością zwyczajów, czyli z tradycją mojej rodziny. Mam już dorosłe dzieci i wnuki, a wigilia zawsze jest taka sama. Tradycyjnie u nas na wigilii jest kisiel żurawinowy. Kiedyś spytałam naszych młodych, czy im się nie znudził kisiel. A oni – że kisiel musi być.

U mnie też na wigilii jest mak z bakaliami i ze śmietaną. Przyszedł on do mojej rodziny ze strony mojego męża, który pochodzi z okolic Poznania, a kisiel z kresów, od rodziny mojego ojca. Cudowna dla mnie jest ta powtarzalność i ciągłość tradycji.

### Salomea Wize

Z dzieciństwa pamiętam, że wieczór wigilijny był przeżywany bardzo uroczyście, skromnie i nie był zakłócany prezentami. Jeśli



Krystyna Kenig

się pojawiły, to dopiero pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia pod choinką i było wtedy mówione, że w nocy przyniósł je święty Mikołaj.



Salomea Wize

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Niezależnie od prezentów otrzymywanych w dzień wigilijny była u nas tradycja, że dzieci otrzymywały prezenty na świętego Mikołaja. W wigilię święta, czyli piątego grudnia, wieszaliśmy na łózkach pończochy, w których rano znajdowaliśmy różnego rodzaju słodycze i zawsze pięknie posrebrzane różgi. Kiedy byliśmy trochę starsi, to staraliśmy się doczekać świętego Mikołaja, ale nigdy nam się to nie udało. Nasz „święty Mikołaj” był od nas sprytniejszy.

Bardzo ciekawa i piękna jest tradycja, o której Pani wspomniała, że prezenty znajdowało się pod choinką dopiero w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, a wieczór wigilijny był czasem wyciszenia i oczekiwania na przyjście Jezusa. Nigdy się z taką tradycją nie spotkałam.

W czasach, kiedy nasze dzieci były małe, to w przedszkolach były zawsze organizowane „przyjścia świętego Mikołaja”. W przedszkolu, do którego chodziły nasze dziewczynki, świętym Mikołajem był przeważnie mój mąż, aż do momentu, kiedy nasza młodsza córka, bardzo spostrzegawcza, zorientowała się, że święty Mikołaj nosi obrączkę tak samo jak jej tato, na lewej ręce.

### **Tomasz Przesławski**

W Wielkopolsce istniało rozróżnienie. Kim innym był święty Mikołaj 6 grudnia, a kim innym Gwiazdor w dzień wigilii. W dniu wigilijnymi w południe były podawane pyry (czyli ziemniaki) w mundurkach, z gzikiem (czyli twarogiem) i śledziem. Oczywiście obowiązywał post.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Wspomnę jeszcze o tradycji postu w Polsce. Post w dzień wigilijny, podobnie jak w Wielki Piątek i Środę Popielcową, obowiązuje od zawsze i tu nic się nie zmieniło. Natomiast post w piątki każdego tygodnia obowiązuje lub nie w zależności od diecezji. Decyduje o tym biskup danej diecezji.

### **Jan Żaryn**

Nawiąże jeszcze do francuskich zwyczajów. Tam jest inna kolejność. Najpierw jest Msza Święta wigilijna (odpowiednik Pasterki), a potem, po powrocie do domu, już po północy je się wieczerzę, czyli już bez obowiązującego postu.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Uważam, że wszystkie przedstawione tu wspomnienia pokazują niezwykłość i barwność naszej polskiej tradycji obchodzenia świąt Bożego Narodzenia i Trzech Króli, unikalną w skali świata. Tradycja ta łączy nie tylko rodziny, ale też wszystkich Polaków, którzy z różnych stron świata jadą do Polski, aby w tych dniach być z bliskimi. Widać to szczególnie przy rezerwacji w liniach lotniczych, którą należy zrobić ze znacznym wyprzedzeniem, żeby dotrzeć na święta do rodzinnego domu, jak też w kolejkach na przejściach granicznych.

Dziękuję ogromnie panelistom i dyskutantom za dzisiejsze spotkanie. Mam nadzieję, że młodzi ludzie, obecni na naszym Konwersatorium, gdy założą własne rodziny, będą mogli wzbogacić tradycję wyniesioną z własnych rodzin zwyczajami, o których dzisiaj usłyszeli.

Z okazji nadchodzących świąt Bożego Narodzenia życzę wszystkim błogosławieństwa Bożego i aby nikt nie był w tych dniach samotny. Pamiętajmy, aby puste nakrycia w naszych domach nie były tylko symbolem.

*Spisał z nagrania Marcin Borzęcki*

## **C.d. wypowiedzi otrzymane drogą korespondencyjną**

**Marianna Łacek** (Australia)

### **Nasza pierwsza australijska wigilia**

Jeden z najdłuższych dni, 24 grudnia 1972 roku. Z bezchmurnego nieba leje się prawdziwy żar. W sklepach przedświąteczny ruch, bo wigilia to już dzień wolny od pracy. Zamykane są fabryki

i większość biur na obowiązkową przerwę letnią. Ci, którzy pracowali cały rok, otrzymują płatne urlopy, inni wynagrodzenie proporcjonalnie mniejsze.

Na wigilię zaprosiliśmy pięć samotnych osób: poznaną tutaj Polkę ze Szczecina, która przyjechała w odwiedziny do samotnego brata – kombatanta z armii Andersa; przedwojennego harcerza, uczestnika Powstania Warszawskiego; przedwojennego buchaltera, który w pierwszych tygodniach wojny został wzięty do niewoli, oraz panią, która po wybuchu wojny uciekała z tajnymi dokumentami Polskiego Rządu przez Rumunię i Francję do Anglii.

Nikt z nich nie miał od bardzo dawna prawdziwej, polskiej wigilii. Nawet ta niewiele starsza od nas szczecinianka, aby nie spędzać samotnie wigilii, od lat podejmowała na tę Świętą Noc dyżury w szpitalu.

Obydwoje z mężem pochodziliśmy z katolickich rodzin o głęboko zakorzenionych tradycjach. Żadne z nas jednak osobiście nie uczestniczyło w przygotowaniu wigilii. W moim domu rodzinnym do mnie należało posprzątanie domu i ubranie choinki, natomiast w kuchni przygotowywali wszystko oboje rodzice.

Na naszą pierwszą wigilię postanowiłam ugotować zupę grzybową z łazankami. Niestety nikt tutaj nie słyszał o suszonych grzybach. Były tylko pieczarki. Rozłożyłam więc na ściereczce kilkanaście dorodnych pieczarek i przez jeden dzień wyschły na przysłowiowy pieprz. Nawet zapachniało w kuchni po polsku. Łazanek też w sklepach nie było, ale umiałam je zrobić sama. Udusiłam także kapustę z grzybami (z pieczarkami) jako farsz do pierogów. Małe pieczarki zamarynowałam w occie.

Ryba w sklepach było mnóstwo – ale nie miałam pojęcia, co to za ryby. Nazwy nic mi nie mówiły. Szukałam karpia. W końcu w jednym sklepie był – i to o wiele, wiele tańszy niż inne ryby. Poprosiłam o zważenie jednej dorodnej sztuki. Ekspedientka zapytała, czy to dla kotów. Myślałam, że źle zrozumiałam pytanie. Dopiero o wiele później dowiedziałam się, że karp w Australii nie jest smaczny. Uważany jest za rybę bardzo pośledniego gatunku.

Bałam się eksperymentować i zrobiłam po prostu karpia w galarecie. To umiałam. Z przyprawami wyszedł nawet smaczny. Są

siadka Greczynka napisała mi po angielsku wszystko, co jest potrzebne do przygotowania ryby po grecku. Uzbrojona w tę kartkę poszłam najpierw do sklepu warzywnego, gdzie uczynny sprzedawca odfajkował wszystkie po kolei składniki, a potem do sklepu rybnego po tę właśnie rybę, jaką ona napisała (była wielokrotnie droższa od karpia).

Jak może być wigilia bez maku? Udało nam się wypatrzeć mak między przyprawami, w torebeczkach po 50 gramów. Kupiliśmy wszystkie, ile było na półce. Na szczęście nie było żadnego problemu z przyprawami korzennymi, z rodzynkami, migdałami, a także z suszonymi owocami. Aha! Greczynka dała nam jeszcze adres delikatesów, gdzie można było kupić śledzie – solone, z beczki.

Został jeszcze jeden problem do rozwiązania. W żadnym sklepie nie można było kupić białego obrusa. Były różne, piękne, kolorowe – ze trzy nawet dostaliśmy w prezencie ślubnym. Ale biały? – „A cóż ty się tak upierasz z tym białym obrusem, jakby kolorowy nie wystarczył. Nawet ładniej wygląda” – strofowali mnie niektórzy. Ale jak położyć sianko (ścięty z ogródka, wysuszony pęczek trawy) na kolorowym obrusie? Kupiłam białe prześcieradło. Obciąłam obręby, by powstały małe frędzelki, wyciągnęłam parę nitok, żeby zrobić mreżkę – i piękny, śnieżnobiały obrus nakrył zsunięte dwa stoły. Opłatki dostaliśmy z Polski w listach od Rodziców.

Choinkę stanowiła gałązka ucięta z rosnącego przed domem cyprysa – pachniała choinkowo. W sklepach warzywnych stało po kilka prawdziwych choinek – były to sosenki ze smętnie opuszczonymi z gorąca gałązkami. Ich cena jednak przekraczała nasze skromne wówczas możliwości. Sztucznej choinki nie chcieliśmy.

Do wieczery wigilijnej zasiedliśmy o godzinie 18.00, kiedy słońce było jeszcze wysoko. Na szczęście popołudniowa bryza oceaniczna docierała do nas, przynosząc nieco orzeźwiającego chłodu. Podzieliśmy się opłatkiem, odmówiliśmy modlitwę, z trudem hamując łzy.

Najpierw podałam śledzie w śmietanie, marynowane pieczarki i karpia w galarecie. Potem zupę grzybową z łazankami, rybę po grecku oraz pierogi z kapustą i grzybami. Do tego czerwony barszcyk w filiżance. Na deser była kutia – jadłam ją po raz pierwszy w

życiu, bo to nie była potrawa z naszego regionu, a przygotowałam na gorącą prośbę jednego z naszych gości. Przepis dostałam od starszej Polki pochodzącej z Kresów (pszenicę znalazłam w sklepie z karmą dla ptaków). Do popicia oczywiście kompot z suszonych owoców. Na koniec podałam mrożoną kawę z piernikiem, który sama upiekłam. Zdaniem moich gości wigilia była nadzwyczaj udana. Po posiłku zostało dużo czasu na wspomnienia i opowieści.

Około 22.00 nasi goście zaczęli się żegnać, bo my od początku mówiliśmy, że będziemy chcieli pójść na Pasterkę. Była tylko jedna, w oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów polskim kościele, na krańcach sydneyjskiej metropolii. Odradzali nam. „Teraz w nocy? Jak wy się tam dostaniecie? A jak wrócicie? (Samochodu jeszcze nie mieliśmy). Przecież będzie tu jutro polska Msza Święta w kościele obok”. – „Jutro też pójdziemy, ale ukoronowaniem wigilii jest zawsze Pasterka”.

Pojechaliśmy pociągiem. Czekala nas ponad godzinna podróż do stacji Blacktown, a potem... około 5 kilometrów, zobaczymy. Może uda nam się złapać taksówkę. A jak nie, to pójdziemy pieszo. Pociągu bezpośredniego nie było. Wysiedliśmy na jednej z węzłowych stacji (Lidcombe), aby poczekać na połączenie. Na stacji ciemno, pusto, ani żywego ducha. Tylko olbrzymie, podobne wielkością do myszy, karaluchy, przemykały tu i tam, zbierając resztki pożywienia. Było parno...przygnębiająco.

Wspominaliśmy Polskę. Rozświetlone stacyjki kolejowe ze skrzącymi na mrozie choinkami – a nawet gdyby był deszcz ze śniegiem, to i tak było pięknie, świątecznie... I jak my w tym kraju wychowamy nasze Dzieciątko, które już z nami jedzie na tę daleką Pasterkę?...

Taksówkę udało nam się złapać. Zaczęliśmy tłumaczyć, gdzie chcemy jechać. „Aha – powiedział australijski taksówkarz – to tam, gdzie jest taki pięknie oświetlony kościół? Wiem, wiem”. Ucieszyliśmy się, że zdążymy i że będziemy na Pasterce. Ten kościół jest nam szczególnie bliski. Tam braliśmy ślub.

I rzeczywiście. Na tle rozgwieżdżonego nieba wyraźnie zarysowały się ciemne wieże kościoła, na kształt sześciu par złożonych do

modlitwy dłoni. Symbolizują one 6 milionów Polaków poległych w czasie II wojny światowej. Nad szeroko otwartymi drzwiami jarząca się kolorowymi światłami „Gloria ...” Wewnątrz piękna, tak jak w Polsce, szopka. Kościół wypełniony wiernymi. Wiele osób stoi na obszernym placu przed kościołem. Niektórzy przynieśli składane krzeselka. Do północy jeszcze paręnaście minut. Przez megafony płyną piękne polskie kolędy. Jest naprawdę świątecznie. Jak to dobrze, że udało nam się tutaj dotrzeć. Ogarnia nas wielki spokój i wewnętrzna radość. Wszystko zależy od nas. Musi być dobrze.

Spotkaliśmy znajomych, którzy zaproponowali, że nas podwieżą do domu po Pasterce. Jechali w naszym kierunku. Starsze, bezdzietne małżeństwo. Zaprosili nas na drugi dzień świąt do siebie.

Od tamtej pory upłynęło wiele lat. Ani razu nie zdarzyło się, żebyśmy wigilię spędzali sami. Zawsze są wokół ludzie, którzy z wdzięcznością przyjmują zaproszenie. Do potraw wigilijnych dołączamy jeszcze krewetki, podane w połówkach awokado oraz roladki z wędzonego łososia i ogórka kiszzonego. Robię też uszka do barszczu oraz malutkie w formie paluszków gołąbki w liściach winogron. Ponieważ jest to pełnia lata, wieczerza wigilijna wzbogacona jest podawanymi na deser czarnymi jagodami, które właśnie dojrzewają na Tasmanii. W sklepach można teraz dostać wszystko. Nawet suszone borowiki. W lasach sosnowych, które sady się na drewno, jest zatrzęsienie rydzów i maślaków – można je marynować i suszyć. Jest polski mak w puszkach, już przygotowany do użycia.

W wazonach, oprócz pachnących gałązek cyprysa, mamy także bukiety australijskiego „Christmas Bush” – krzewu, który rozkwita właśnie na święta, obsypany drobnymi koralowymi gwiazdeczkami. Kolorowe światła wokół werandy dają wszystkim znać, że tutaj obchodzi się Boże Narodzenie.

Kiedy na wigilię zasiada u nas do stołu większa liczba osób, a zdarzało się ponad dwadzieścia, wówczas stoły nakrywamy na zewnątrz, pod baldachimem winnej latorośli, ze świecami na stole i kolorowymi lampkami nad głową. Pierwszej gwiazdki nie wypatrujemy, ponieważ pojawia się zbyt późno, tuż przed 21.00 – nie zdążylibyśmy na Pasterkę.



W naszym lokalnym kościele mamy polską Pasterkę, o godz. 22.00, ponieważ o północy mają swoją Australijczycy, po angielsku. Przez wiele lat nasze dzieci, urodzone i wychowane w Australii, przygotowywały oprawę muzyczną i liturgiczną Pasterki. Grali na instrumentach, prowadzili śpiew kolęd, służyli do Mszy Świętej i byli lektorami. Teraz, jako dorośli już ludzie, mieszkający w różnych zakątkach świata, kontynuują wyniesione z domu tradycje. Jak zwykle najmniej uwagi poświęcaliśmy i poświęcamy prezentom. Ot, coś symbolicznego, żeby było wiadomo, że pamiętamy.







*Czy sumienie w zawodzie uważam  
za zbędny balast czy czynnik rozwoju?*



## Cytaty

### **Maciej Górnicki – Klauzula sumienia dla opornych (fragmenty)**

W dyskusjach z pogranicza prawa i bioetyki jak bumerang wraca pojęcie „klauzuli sumienia”. Wydawałoby się, że sprawa jest tak oczywista, że każdy przeciętnie inteligentny człowiek powinien w mig zrozumieć, co oznacza i dlaczego jej zagwarantowanie w systemach prawnych odróżnia państwo demokratyczne od totalitarnego. Niestety, śledząc rozmaite wypowiedzi – czy to w tradycyjnych mediach, czy na forach internetowych, ma się wrażenie, że ta prosta kwestia przekracza możliwości poznawcze większości dyskutantów.

Na czym polega klauzula sumienia? Obecnie pojęcie to stosowane jest niemal wyłącznie w kontekście bioetycznym, niemniej jednak jego podstawa etyczna jest szersza i odnosi się do wielu sfer życia. Zasada ta stanowi, że państwo lub inna instytucja społeczna nie może zmuszać nikogo do działania wbrew jego sumieniu. Jednym z praktycznych jej zastosowań jest możliwość odmowy służby wojskowej ze względu na własne sumienie lub światopogląd. Zasada ta, choć odnosi się do wielu sfer życia, nie może być jednak rozszerzana w nieskończoność, w przeciwnym razie stałaby się własną karykaturą – gdyby na przykład, powołując się na własne sumienie ktoś stwierdzał, że płacenie podatków jest niegodziwe, wobec tego w ogóle nie będzie ich płacił.

Niemal każda rzecz etycznie dobra doprowadzona do skrajności czy przesady staje się własną karykaturą i czymś złym. Oszczędność doprowadzona do skrajności zamienia się w skąpstwo. Męstwo, które przekracza właściwą miarę, staje się brawurą. Podobnie jest z wolnością sumienia, która nie jest wprawdzie cnotą w sensie indywidualnym, ale jest swego rodzaju „cnotą społeczeństwa”. Jest wiele kwestii związanych z życiem społecznym, których charakter etyczny nie jest oczywisty. Do takich kwestii, które próbowali rozwiązać najwybitniejsi myśliciele, należy np. godziwość prowadzenia wojny, granice obrony koniecznej, kwestia kiedy zaczyna się i kończy życie

ludzkie, a w związku z tym – dopuszczalność aborcji i eutanazji. Nie trudno zrozumieć, że dla sumienia uformowanego w etyce utylitarystycznej eutanazja wydaje się rozwiązaniem godziwym – skoro nie przynosi ono szkody innym, a sam zainteresowany świadomie wybiera zakończenie swojego życia wobec alternatywy na jaką jest nieuleczalna choroba i cierpienie. Równie sensowne jest dla sumienia uformowanego w etyce opartej na prawie naturalnym odrzucenie eutanazji. Prawo natury – czy to objawione w religii, czy zinterpretowane przez filozoficzną refleksję nad światem pokazuje, że życie jest jedną z najwyższych wartości, dlatego należy je chronić, nawet za cenę cierpienia.

### **Tomasz Duszczyk, OFM Cap – Sumienie, instrukcja obsługi (fragmenty)**

**Opis.** Sumienie to intuicyjna zdolność, dzięki której człowiek jest w stanie osądzać wartość czynów, zarówno już dokonanych, jak i przyszłych. Jest to nie tyle wiedza teoretyczna o dobru i złu, co praktyczna umiejętność stwierdzenia, że coś było, jest lub będzie dobre albo złe.

Tak rozumiane sumienie należy do istotnych elementów ludzkiej natury. Jego wskazania mają decydujący wpływ na dokonywane wybory, stanowi ono podstawę osobowości człowieka i jest motorem jego dążenia do doskonałości.

**Użytkowanie w życiu codziennym.** Sumieniem możemy posługiwać się na co dzień, dokonując małych i dużych wyborów, podejmując takie czy inne działania. Nierzadko bywa tak, że po dokonaniu jakiegoś spontanicznego wyboru, w toku jego realizacji sumienie odzywa się, wzywając nas do zatrzymania się i zmiany postępowania. Dobrym przykładem może być tutaj ewangeliczna przypowieść Jezusa o dwóch braciach, których ojciec poprosił, by poszli pracować w winnicy. Drugi z braci, który w pierwszym odruchu powiedział „nie”, po chwili zastanowienia, powodowany właśnie głosem sumienia, zmienił swoje nastawienie i poszedł za wolą ojca.

**Konserwacja i czyszczenie.** Sumienie nie jest samo w sobie doskonałe, niezmiennie i nieomyślne. Jest ono formowane już od dzie-

ciństwa. Ma na nie wpływ wychowanie, szkoła, wzrastanie w relacjach w rodzinie i w gronie rówieśników. Tego, co jest dobre, a co złe, uczymy się najpierw od innych, ale też od razu „włącza” się w nas osobisty ośrodek sumienia, w którym odkrywamy naszą wolność i zdolność do samodzielnego osądzania i dokonywania wyborów, a także brania za nie odpowiedzialności.

**Benedykt XVI – Gdy człowiek postępuje wbrew sumieniu, rani samego siebie. 26.02.2011 r. (fragment)**

Sumienie moralne – jak uczy Katechizm Kościoła Katolickiego – jest owym „sądem rozumu, przez który osoba ludzka rozpoznaje jakość moralną konkretnego czynu, który zamierza wykonać, którego właśnie dokonuje lub którego dokonała” (n. 1778). W istocie zadaniem sumienia moralnego jest odróżnianie dobra od zła w rozmaitych sytuacjach życia, ażeby, kierując się tym osądem, istota ludzka mogła w sposób wolny zmierzać ku dobru. Tym, którzy chcieliby zaprzeczyć istnieniu sumienia moralnego u człowieka, uznając jego głos za efekt jedynie uwarunkowań zewnętrznych czy zjawisko czysto emocjonalne, trzeba wyraźnie powiedzieć, że jakość moralna postępowania człowieka nie jest wartością niezależną czy opcjonalną, ani też nie jest prerogatywą chrześcijan czy wierzących, lecz jest wspólna wszystkim istotom ludzkim. W sumieniu moralnym Bóg przemawia do każdego i wzywa do obrony życia ludzkiego w każdej chwili. W tej osobistej więzi ze Stwórcą tkwi wielka godność sumienia moralnego i powód jego nienaruszalności.

## KONWERSATORIUM LXXVI

(17 stycznia 2015)

### **Czy sumienie w zawodzie uważam za zbędny balast czy czynnik rozwoju?**

**Prowadzący:** ks. **Adam Zelga**, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; **Bogdan Chazan**, nauczyciel akademicki, profesor, w latach 2004-2014 dyrektor szpitala ginekologiczno-położniczego im. Świętej Rodziny w Warszawie, przewodniczący Rady MaterCare International; gen. **Michał Otrębski**, nadinspektor policji w stanie spoczynku, były Komendant Stołeczny Policji i Przedstawiciel RP w Europolu, **Witold Kołodziej-ski**, zastępca burmistrza Ursynowa.

#### **Ks. Adam Zelga**

Zacznę dzisiejsze spotkanie wstępem dość przewrotnym, który będzie zarazem głosem tej dyskusji. Jest to cytat ze znanego utworu poetyckiego, który dziś wydaje się być bardzo aktualny:

„Ach, ja pamiętam czasy, kiedy do Ojczyzny  
Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny!  
Gdy raptem paniczki młode z cudzych krajów  
Wtargnęły do nas hordą gorszą od Nogajów,  
Prześladując w Ojczyźnie Boga, przodków wiarę,  
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.  
Żałośnie było widzieć wyśódkłych młokosów,  
Gadających przez nosy, a często bez nosów,  
Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,

Głoszących nowe wiary, mody, toalety.  
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszczka;  
Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród przepuszcza,  
Odbiera naprzód rozum od obywateli.  
I tak mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli,  
I zląkł się ich jak dżumy jakiej cały naród,  
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród;  
Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;  
Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory.  
Była to maszkarada, zapustna swawola,  
Po której miał przyjść wkrótce wielki post – niewola!”<sup>1</sup>

Tyle wstępu. Oddaję głos panom. Temat dzisiejszego spotkania brzmi: „Czy sumienie w zawodzie uważam za zbędny balast, czy czynnik rozwoju?”



Ksiądz Adam Zelga

---

<sup>1</sup> Adam Mickiewicz „Pan Tadeusz”



Paneliści. Od lewej: ks. Adam Zelga, Witold Kołodziejski, Bogdan Chazan, Michał Otrebski

### **Witold Kołodziejski**

Są różne definicje sumienia. Pamiętam, jak kiedyś spotkany na przystanku autobusowym człowiek powiedział mi, że sumienie to jest wolność rozumu decydująca o moralności czynu. Jest wiele różnych definicji, ale tę jedną usłyszaną na przystanku zapamiętałem do dziś, bo ona rzeczywiście oddaje sedno sprawy. Trzeba mieć wolny osąd – po to, żeby umiejętnie wybrać dobro i mieć wolę, żeby wybrane dobro realizować.

W tym gronie wystarczyłoby powiedzieć, że sumienie nie jest balastem, jest podstawą rozwoju zawodowego, ale to byłoby zbyt proste, gdyż oczywiście na co dzień spotykamy się z wyzwaniem, które sprawdzają stan naszego sumienia. Ja jestem z wykształcenia filozofem, więc sumieniem zajmowałem się już w ramach studiów. Później pracowałem jako dziennikarz, kiedy sumienie moje było wystawiane na próbę. Pracowałem też w Radzie Warszawy, gdzie miałem do czynienia z największym polskim samorządem, byłem

przewodniczącym Rady Warszawy, gdzie podejmowało się codziennie najrozmaitsze decyzje. To również była próba sumienia. Później Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji – organ, który zajmuje się regulacją mediów elektronicznych, czyli jest w pewnym sensie „nadzorczą” dziennikarzy. Ustawa o radiofonii i telewizji nakłada określone obowiązki na nadawców telewizyjnych i radiofonicznych, a przewodniczący Rady decyduje, czy zasady zawarte w ustawie, konstytucji, prawie nie zostały przez tę czy inną stację złamane i czy nie należy nałożyć kary. Sumienie ma mi podpowiedzieć, jak interpretować dane zdarzenie. Równocześnie muszę się liczyć z tym, że jeżeli taka kara zostanie nałożona, to przez kolejne tygodnie czy miesiące będą wysyłane gromy na moją głowę, bo media nie są pokornymi owieczkami, które przyjmą karę. Zawsze atak będzie przypuszczony i wiele kwestii bardzo drażliwych trzeba będzie rozstrzygać.



Witold Kołodziejski (z mikrofonem)

Wcześniej, jak wspomniałem, pracowałem wiele lat jako dziennikarz, najpierw w radiu, potem w telewizji, w redakcji katolickiej. Dziennikarz z jednej strony walczy o atrakcyjność swego materiału, z drugiej zaś ma do czynienia ze ścierającymi się racjami jego sumienia. Od wolności jego decyzji i od determinacji, żeby wybrać najlepsze rozwiązanie, zależy, jak przedstawi później w swoim materiale daną sprawę. Jeżeli dotyczy ona konkretnej osoby, to musi mieć na uwadze, żeby jej nie skrzywdzić. Z drugiej strony – musi postępować zgodnie z prawdą.

Jako dziennikarz identyfikuję dobro, szukając prawdy, i nie mogę kierować się tym, że czasami wygodniej jest czegoś nie napisać, albo ulec konkretnym, łatwym do zidentyfikowania poglądom po to, żeby się komuś przypodobać i awansować w redakcji, bo na przykład redaktor naczelny tego by oczekiwał. Dziennikarz musi bezwzględnie kierować się sumieniem. Czy jest to przeszkoda, czy balast? Przypuszczam, że dzisiaj pojęcie prawdy nie jest wartością w zawodzie dziennikarskim. Dzisiejsze dziennikarstwo, media, to jest świat pieniędzy, biznesu, popularności, czyli jakość pracy dziennikarza mierzy się efektywnością, poczytnością, oglądalnością, tym, ile ktoś zbierze odbiorców. Jeśli zbierze ich dużo, to sprzeda się gazeta i wszyscy będą zadowoleni. Dzisiejsze dziennikarstwo jest trudną sztuką wyważania, na ile jeszcze możemy sobie pozwolić, a na ile już nie. Okazuje się, że ta granica coraz bardziej jest posuwana w celu, żeby zdobyć klienta. Miejsce na prawdę stale się kurczy. Czy to jest balast, przeszkoda? W tak rozumianym dziennikarstwie sumienie jest balastem i wyrzuty są niepotrzebne. Z drugiej jednak strony – ci dziennikarze, których najbardziej szanujemy, którzy przetrwali próbę czasu, którzy nie gonią ciągle za nowymi wydarzeniami, to są właśnie ci, do których mamy zaufanie. Krótko mówiąc, na dłuższą metę w dziennikarstwie, jak spojrzymy z perspektywy dziesięciu lat, to wygrywają ci dziennikarze, którzy postępują zgodnie z sumieniem i z prawdą, ale tych, niestety jest niewiele.

W czasie gdy pracowałem w Krajowej Radzie, miałem wiele przykrych sytuacji, gdy chodziło o łamanie ustawy o radiofonii i te-

lewizji. Trzeba było wtedy nakładać kary nawet na duże stacje telewizyjne, takie jak TVN czy Polsat, za to, że na przykład w sposób niewybredny i niewyszukany były obrażane uczucia religijne w programie satyrycznym czy też znieważana polska flaga. To jest rzecz niewdzięczna. Czasami miałem wątpliwość, czy takie kroki podejmować, bo gdy stacja dostaje karę 500 tysięcy złotych, to później robi się piekielna awantura. Stacje występowały do sądu i często pierwsze instancje uważały, że Krajowa Rada nie ma racji, bo jest wolność wypowiedzi, a to, co nam się nie podobało, było tłumaczone „ekspresją artystyczną”. Zastanawialiśmy się, gdzie jest sumienie tych ludzi. Organy, które odpowiadają za osąd, co jest prawne i etyczne, dobre albo złe, mówiły, że nie mamy racji. Ale na szczęście wszystkie te wyroki przechodziły do kolejnych wyższych instancji, gdzie całkowicie wygrywaliśmy, co potwierdzało, że jeżeli człowiek będzie miał niezachwianą wiarę w swoje osądy i w swoje sumienie, to wygra. Oczywiście poczucie krzywdy i niesprawiedliwości tkwi w nas dalej, bo co z tego, że za trzy czy cztery lata wygramy w sądzie, kiedy już nikt tego nie będzie pamiętał. Jednak człowiek kierujący się swoim sumieniem musi wierzyć, że ten sukces nadejdzie i trzeba to wytrzymać.

Jeszcze parę słów na temat pracy w samorządzie dzielnicowym. Tutaj o podejmowanie decyzji jest stosunkowo łatwiej. W pracy burmistrza człowiek styka się z człowiekiem bezpośrednio i tu już nie ma miejsca na polityczne dywagacje czy na jakieś dziennikarsko pseudointelektualne rozważania, gdyż mamy do czynienia z realną rzeczywistością drugiego człowieka, który siedzi przed nami. Obowiązuje nas normalna decyzja urzędnika, która jednak czasem wymaga heroizmu, tak aby była prawidłowa nie tylko z urzędowego, ale i z ludzkiego punktu widzenia. Aby przepisy i paragrafy nie zasłoniły nam sensu naszej pracy, jakim jest przecież dobro człowieka. Procedury urzędowe nigdy nie zwolnią nas z moralnej odpowiedzialności za podejmowane decyzje, dlatego na każdym kroku musimy odwoływać się do własnego sumienia.

Na koniec chciałem powiedzieć w ramach poruszanego tematu o pracy polityka. Tak u nas, jak i na całym świecie króluje pogląd,

że skuteczność jest miarą sprawności polityka, a więc nie ma tu miejsca na sumienie. Musimy tak działać, żeby osiągnąć polityczny sukces. Dobro wspólne jest traktowane jako narzędzie. Polityk działa tak, żeby działać skutecznie. Jest to oczywiście wielkie nieporozumienie, które niestety jest związane z naszą cywilizacją i coraz bardziej się umacnia. Ponieważ polityka jest troską o nasze wspólne dobro, powinniśmy myśleć kategoriami moralnymi i polityka powinna być podporządkowana etyce. Tymczasem od Machiavellego nastąpiło przewartościowanie i został podkreślony aspekt praktyczny, pragmatyczny, a więc polityka stała się dziedziną sztuki. To jest sztuka utrzymania i zdobywania władzy.

Musimy sobie uświadomić, że w polityce chodzi o nasze wspólne dobro, a nie o utrzymanie władzy. Władza nie jest dobrem samym w sobie. Władza jest tylko środkiem, który służy dobru. Dzisiaj w polityce wielokrotnie jest to powtarzane przy okazji różnych afer. Mamy szacunek dla tych polityków, o których sądzimy, że działają zgodnie z własnym sumieniem. Możemy im zaufać. Dzisiaj w polityce króluje marketing – tak samo jak wszędzie. Wszystko jest towarem, wszystko sprzedajemy. W polityce powstają różne dziwne twory, które potem są hitem jednego sezonu. Zdobędą ileś tam procent w jednych wyborach, ale to nie jest działanie na dłuższą metę. Na dłuższą metę liczy się to, czy będziemy politykowi ufać. A będziemy mu ufać, jeśli przekonamy się, że jego system wartości jest stały i zbieżny z naszym.

### **Bogdan Chazan**

Wystąpienie pana radnego zasmuciło mnie, zwłaszcza ten ostatni fragment, kiedy mówił pan o tym, jaka jest dzisiejsza polityka i ile Machiaveli wniósł w dzisiejsze styl uprawiania polityki. Jest to tragiczna sytuacja i trudno dziwić się ludziom, którzy uważają, że polityka jest brudna. Mam jednak nadzieję, że przyjdzie taki czas, kiedy ludzie, którzy w polityce zachowują się niewłaściwie, nie posługują się sumieniem, którzy manipulują, bo liczy się skuteczność – zostaną wyeliminowani i to jak najprędzej. Nie może być tak, żeby w polityce nie dominowały wartości, nie dominowało

dobro wspólne jako cel, a nie narzędzie. To jest nieporozumienie. Jeśli chodzi o dziennikarstwo, to tutaj poziom manipulacji przekracza wszelkie możliwe granice.



Bogdan Chazan

Słuchając mowy podkomorzego z Pierwszej Księgi „Pana Tadeusza”, który książkę przytoczył na wstępie, miałem wrażenie, że słyszymy opis czasów dzisiejszych i że problemy są te same. Nam się wydaje, że idziemy do przodu, że to, co było przedtem, staje się nieaktualne. W rzeczywistości jest to spirala. Ciągłe wracamy do tego, co było. Obecnie jest tak, jak było w przeszłości, przychodzą nowe trendy, przychodzą nowi ludzie, którzy to, co było w tradycji, niszczą, a chcą zastąpić czymś nowym, ale mało wartościowym, czymś płytkim i wtórnym, nieautentycznym.

Wracając do tematu Konwersatorium, mamy zastanowić się, czy sumienie jest balastem czy czymś korzystnym. Sumienie ma każdy człowiek. Jest budowane od wczesnego dzieciństwa. Jest wbudowane w konstrukcję osoby, tam, w głębi naszego serca, jest oparte na prawie naturalnym, które jest w każdym z nas. Każda społecz-

ność, niezależnie czy w Europie Zachodniej, w Polsce, czy gdzieś w buszu, ma wizję dobra i zła i wie, co jest dobre, a co złe, że nie wolno zabijać czy okradać drugiego. Natomiast sumienie człowieka dotyczące wykonywanego zawodu ujawnia się tam, gdzie ma się bezpośrednio do czynienia z ludźmi. Oczywiście budowniczy mostów też musi działać w zgodzie z sumieniem, żeby budowany most się nie zawalił, ale on pracuje na desce kreślarskiej, a użytkowników tego mostu ma dopiero na drugim planie. Natomiast w takich zawodach jak ksiądz, lekarz, nauczyciel czy policjant, jest bezpośredni kontakt z człowiekiem. W tych zawodach służymy drugiemu człowiekowi i tam wrażliwe sumienie albo jego brak natychmiast wpływa na relacje między ludźmi.

Na pewno powołanie pomaga w dobrym wykonywaniu zawodu. Powołanie do zawodu może pojawić się wcześniej, na przykład ktoś już od dziecka wie, że będzie lekarzem albo nauczycielem, czasem jednak pojawia się później. Czasem może wcale się nie pojawić. Lekarz może nie zdawać sobie sprawy, że zawód, który wykonuje, nie jest jego powołaniem. Wykonuje go z przyzwyczajenia, bez emocji. Cierpią pacjenci, ale on (ona) niekoniecznie. Jak rozpoznać lekarza, który jest lekarzem z powołania i człowiekiem prawego sumienia? Człowiek może rozpoznać samego siebie, ale ta ocena jest subiektywna. Nam się wydaje, że jesteśmy uczciwi i dobrzy, ale inni ludzie mogą nas inaczej osądzać. W swojej pracy każdy lekarz spotyka się z problemami, które angażują jego sumienie jako lekarza, ale też jako człowieka, osoby. Czy lekarz może odmówić wykonania procedury, która nie jest zgodna z jego sumieniem, systemem wartości? Powinien mieć taką możliwość, zapewnia ją Konstytucja, prawa człowieka. Do realizacji tego prawa służy klauzula sumienia, czyli konstrukcja prawna, która umożliwia odmowę wykonania danej czynności. W mojej dziedzinie medycyny – położnictwie i ginekologii klauzula sumienia może dotyczyć na przykład aborcji, zapłodnienia pozaustrojowego czy wypisanie recept na środki antykoncepcyjne, które, jak wiadomo, mają też działanie poronne. Przełożony powinien te zastrzeżenie uznać. Nie zawsze jednak tak się dzieje. Prawnicy zwracają uwagę na to, że

klauzula sumienia nie może iść za daleko, aby nie ograniczać możliwości uzyskania przez pacjenta świadczeń medycznych. Lekarz nie może odmówić udzielenia pomocy w sytuacji zagrożenia zdrowia czy życia. Dzielimy czynności lekarskie na te, które służą bezpośrednio zdrowiu lub życiu, jak np. diagnostyka czy leczenie chorób, oraz inne, niesłużące zachowaniu zdrowia czy życia, które nie łączą się z istotą zawodu (aborcja, antykoncepcja, IVF, eutanazja). Tak się składa, że to ich najczęściej dotyczy klauzula sumienia. Oczywiście w ich przypadku odmowa wykonania nie łączy się z zagrożeniem dla życia lub zdrowia. Przeciwnie – to ich wykonanie oznacza często śmierć człowieka.

Komitet Etyczny Polskiej Akademii Nauk wydał niedawno instrukcję, w której stwierdził, że klauzula sumienia lekarza może dotyczyć jedynie wykonywania aborcji, a źródłem klauzuli sumienia jest prawo stanowione. Profesor Zoll słusznie uważa, że to nie jest tak. Możliwość odwołania się do klauzuli sumienia nie wynika z prawa stanowionego – jej źródłem są prawa człowieka i Konstytucja. Zastanówmy się, do czego prowadzi zastosowanie w praktyce zaleceń Komisji PAN, gdyby tę klauzulę sumienia ograniczyć, gdyby powiedzieć, że na przykład nie dotyczy ona takich czynności, jak wypisywanie środków antykoncepcyjnych, ubezpłodnienie, wykonywanie zabiegu *in vitro*. Wtedy lekarz stałby się urzędnikiem zdrowia, straciłby swoją autonomię. Jego sumienie byłoby wielokrotnie łamane. Nie jest w interesie społeczeństwa, żeby opiekowali się nim lekarze, którzy mają przetrącone sumienie, którzy przeżyli to, że ktoś im to sumienie złamał. Taki lekarz będzie miał w przyszłości problem z relacją z drugim człowiekiem, nie będzie pewny siebie, swoich wartości, może mieć potem problemy z samym sobą. Pacjentowi jest potrzebny lekarz z czystym sumieniem. Lekarz powinien postępować według zasad etyki zawodowej, nie powinien tracić z pola widzenia instynktu moralnego, swojego, dobrze uformowanego sumienia, które podpowie mu, co należy zrobić w konkretnej sytuacji.

Zostałem zwolniony z pracy za odmowę wykonania aborcji w Szpitalu Św. Rodziny, chociaż powoływałem się na przysługującą mi, jako lekarzowi, klauzulę sumienia. Okazuje się, że zdaniem

Pani Prezydent m.st. Warszawy klauzula w przypadku lekarza, który jest jednocześnie dyrektorem szpitala, nie przysługuje. Klauzula sumienia może dotyczyć osoby, ale nie całego szpitala. Zapomniano o istnieniu Rezolucji Nr 1763 Rady Europy z 2010 roku, w której jako niewłaściwe określa się nie tylko zmuszanie lekarzy do wykonywania aborcji, ale również szpitali. Czy można podzielić sumienie człowieka na sumienie lekarza i sumienie dyrektora, czy w ogóle lekarz katolik może być dyrektorem szpitala w naszej ojczyźnie? Czy może być tak, że lekarz, który wyznaje pewne zasady i ich przestrzega w wykonywaniu zawodu, kiedy staje się dyrektorem, ma kierować się sumieniem nr 2, czyli zgadzać się, by w kierowanym przez niego szpitalu pewne procedury polegające na zabijaniu nienarodzonych dzieci były wykonywane? Zderzenie sumienia i prawa w wykonywaniu każdego zawodu jest ważne i trudne, a w wykonywaniu zawodu lekarza jest nadzwyczaj trudne.

Na zakończenie może pozwolę sobie przytoczyć fragment dokumentu Stolicy Apostolskiej zawierającego spis nieakceptowanych przez Ojca Świętego Franciszka wad współpracowników z Kurii Rzymskiej. Choroba numer trzy to „Choroba umysłowego i duchowego skamienienia. Chodzi o tych, którzy mają skamieniałe serce i są twardego karku, o tych, którzy po drodze stracili pogodę ducha, stracili żywotność, a zasłaniając się papierami, stali się maszynami od procedur, a nie ludźmi Boga. Utrata wszelkiej możliwości, aby płakać z płaczącymi i radować się z radującymi, jest niebezpieczna!” Te słowa mają bezpośrednie odniesienie do zawodu, który wykonuje. Lekarz powinien potrafić cieszyć się z tymi, którzy radują się z powodu urodzin pięknego dziecka, a także płakać z płaczącymi, mieć zdolność do współczucia. Nie stawać się ludźmi bez czucia. Dalej Ojciec Święty pisze: „To jest choroba tych, którzy tracą >>dążenia Jezusa<<, ponieważ ich serce, wraz z upływającym czasem, twardnieje i staje się niezdolne do bezwarunkowej miłości Ojca i bliźniego. Bycie chrześcijaninem tak naprawdę oznacza posiadanie tych samych dążeń, które miał Jezus Chrystus, tzn. pokory i ofiarowania się, oderwania od siebie i hojności”.

### **Gen. Michał Otrębski**

Czynnym policjantem byłem 30 lat i nikt mnie nigdy o sumienie nie pytał. Nastąpiło to dopiero teraz na emeryturze. Pytanie, które mi zadano przy okazji zaproszenia na Konwersatorium, jest bardzo ciekawe i sprowokowało mnie do dość głębokich przemyśleń. Jest pytanie, czy sumienie jest dla mnie wartością rozwojową czy balastem. Proszę państwa, oczywiście jest balastem. Dla każdego sumienie jest balastem. Ale chwała Bogu, że jest, bo wyobraźmy sobie świat bez sumienia, wyobraźmy sobie świat, w którym nie ma ograniczeń moralnych, nawet swoistej, wewnętrznej samokontroli, którą człowiek ma w sobie. Była tutaj mowa o polityce. Na tym wolnym krześle na pewno moglibyśmy posadzić komornika i pytać go o sumienie. Nie sądzę, aby istniała taka kategoria, jak sumienie zbiorowe. Szczerze mówiąc, jestem głęboko przeciwny ustanawianiu głębokich klauzul, sugerujących ludziom wykonującym odpowiedni zawód, jakie powinno być ich sumienie. Człowiek podejmując jakąś działalność, podejmując jakiś zawód, powinien mieć sumienie odpowiednio wykształcone.



Michał Otrębski

Teraz wyjaśnię, jak to jest w przypadku policjanta. Zapewne każdy z nas marzy o świecie, gdzie sumienie każdy ma, ale nie musi go na co dzień używać (w sensie rozpoznania dobra od zła). Na przykład, wyprowadzamy dzieci z płonących budynków, przeprowadzamy staruszki przez ulicę, jesteśmy z siebie zadowoleni i wszystko, co robimy, nie budzi naszych wątpliwości, jest zgodne z naszym sumieniem. O takim świecie każdy z nas marzy. Ale takiego świata nie ma. Świat policjanta to jest wieczny konflikt sumienia z tym, co on musi zrobić. Jest nad nami jeszcze prawo. To prawo jest elementem sumienia dla ludzi, którzy mają to prawo stosować. Jest to trudne dlatego, że to prawo niestety nie potrafi opisać sumienia. Nie potrafi człowiekowi powiedzieć, co jest dobre, a co złe. Prawo ustala tylko pewną normę, która obowiązuje dlatego, że zapewne większość ludzi uważa tę normę za właściwą, za dobrą. Prawo nie potrafi wkraczać w materię sumienia. Jest wszystko w porządku, jeżeli rozmawiamy o czynach bezsprzecznie moralnie właściwych, na przykład ratowanie życia człowieka, udzielanie mu pomocy. Problem zaczyna się wtedy, gdy aby wykonać swoje czynności, trzeba być na granicy tego prawa. Granica między zachowaniem zgodnym z prawem a niezgodnym jest bardzo cienka. Ja jestem pełen podziwu dla tych policjantów, którzy zgodnie ze swoim sumieniem poruszają się po tej cienkiej linii. Z takiego czysto ludzkiego punktu widzenia oni robią same złe rzeczy. Oni angażują się w działalność grup przestępczych, oni na co dzień mówią ludziom nieprawdę, oni prowokują pewne sytuacje, w których trudno doszukiwać się postępowania zgodnego z prawem. Był tu już dwa razy przywoływany Machiavelli. Pytanie, jakie są granice uświęcania celu środkami. Bardzo wielu jest takich ludzi, którzy przekroczyli tę granicę, ale w dalszym ciągu są zgodni ze swoim sumieniem. Uznali, że to dobro, które poświęcili, było tego warte i cel, który osiągnęli, był wart poświęcenia tych wartości. Są wreszcie tacy, którzy popełnili na tej drodze błąd i to spowodowało załamanie ich kariery zawodowej, życia osobistego, często również pozbawienie wolności. Wiercie mi państwo, że nie potrafiłbym zdefiniować tego, co powinien czynić każdy z nas, żeby się uchronić przed tymi ekstremiz-

mami z pomocą sumienia. Uważam, że sumienie jest dane człowiekowi jako jednostce przez rodziców, przez otoczenie, przez religię, przez warunki, w jakich on żyje. To jest bardzo istotne, że człowiek musi pokonywać przeciwności losu, aby żyć. To wszystko kształtuje, buduje sumienie, którego my używamy później przez całe życie. Ale nie zapominajmy, że sumienie ma również notoryczny przebieg. Jego sumienie również zostało ukształtowane przez określone warunki. Zatem jestem zwolennikiem traktowania tego sumienia bardzo indywidualnie. Na pytanie, które mi zadano, odpowiadam, że sumienie jest balastem, ale chwała Bogu, że jest.

## Dyskusja

### Jan Zmysłony

Chciałbym odnieść się do paru z poruszonych tematów. Po pierwsze – do polityków. Warto wiedzieć, że artykuł 104 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej brzmi: „Przed rozpoczęciem sprawowania mandatu posłowie składają przed Sejmem następujące ślubowanie: »Uroczyście ślubuję rzetelnie i sumiennie wykonywać obowiązki wobec Narodu, strzec suwerenności i interesów Państwa, czynić wszystko dla pomyślności Ojczyzny i dobra obywateli, przestrzegać Konstytucji i innych praw Rzeczypospolitej Polskiej«. Ślubowanie może być złożone z dodaniem zdania »Tak mi dopomóż Bóg«. Odmowa złożenia ślubowania oznacza zrzeczenie się mandatu”.

Obserwując działanie większości obecnych posłów, można dojść do wniosku, że po złożeniu ślubowania natychmiast o nim zapominają. Zupełnie nie stosują się do tego, co jest podane w Konstytucji, a to jest ich naczelnym obowiązkiem.

Teraz parę słów o policjantach. Prawo w Polsce zawiera dzisiaj 100 tysięcy aktów prawnych i ciągle są tworzone nowe. Nikt nad tym nie panuje. W gąszczu przepisów podstawową rolę odgrywa jego interpretacja. Na manifestacjach pytam policjantów, co oni tu robią. Mówią mi, że wypełniają rozkaz i nic ich więcej nie obowiązuje. No

właśnie. Czy to wystarczy? Czy to usprawiedliwia w pełni działanie człowieka? Za co sądzono zbrodniarzy hitlerowskich? Oni też opowiadali, że działali na rozkaz. Ale okazało się, że to ich wcale nie usprawiedliwiało. Oni byli sądzeni za to, że przekroczyli normy sumienia.



Słuchacze Konwersatorium

**Gen. Michał Otrębski**

Jeżeli rozkaz jest sprzeczny z prawem, można go nie wykonać.

**Jan Zmysłony**

Ale co to znaczy rozkaz sprzeczny z prawem? Kto jest w stanie podczas manifestacji ocenić, że jest naruszone prawo?

**Gen. Michał Otrębski**

Podczas manifestacji nie ma stu tysięcy aktów prawnych. Przemoc albo brak przemocy i proste przepisy kodeksu karnego lub kodeksu wykroczeń.

**Jan Zmysłony**

Namawiam do tego, aby być odważnym i gdy nam się coś nie podoba, to głośno o tym mówić. 10 stycznia uczestniczyłem w pi-

kiecie pod pałacem prezydenta, gdzie odbywał się protest przeciwko wprowadzeniu GMO. Przygotowywana jest przez rząd nowelizacja ustawy, która może dopuścić stosowanie w Polsce GMO. Czyli mało tego, że już się handluje nasionami GMO, to jeszcze być może dopuści się do stosowania i wysiewu zmodyfikowanych nasion na terenie Polski, a to jest pogwałcenie również Konstytucji i odbywa się to bez konsultacji.

Inny przykład. Pracowałem w firmie, która została w brutalny sposób zlikwidowana. Nie wystawiono mi świadectwa pracy. Mając 64 lata, zostałem bez pracy. Z powodu braku świadectwa pracy nie chciano mnie zarejestrować w Urzędzie Pracy jako bezrobotnego z prawem do zasiłku. Nie poddałem się jednak, udowodniłem, że pracowałem, że płaciłem podatki, że płaciłem składki ZUS. Odwołałem się do wojewody i po około dwóch miesiącach uznano moje racje. Czyli jeżeli człowiek wie, o co mu chodzi, i jest odważny, nie boi się, to może wygrać. Do tego namawiam.

Jeszcze parę słów o sumieniu. Sumienie kształtuje się w człowieku przez całe życie, ale najważniejszy jest początek tego życia. Mam troje wnucząt. Najstarsza wnuczka ma sześć lat. Często z nią rozmawiam, mówiąc jej, że w życiu trzeba postępować uczciwie. Nie kłamać, nie oszukiwać, a wtedy będzie odważna i nie będzie się bała. Bo człowiek, który zaczyna oszukiwać, mówi nieprawdę, to się zaczyna bać, że się wyda. Sumienie każdy ma i tak jak to dziecko dobrze wie, kiedy postępuje dobrze, a kiedy źle. Warto dbać o sumienie. Warto się rozwijać, warto walczyć o pewne zasady, bo trudno jest żyć w dzisiejszym świecie bez zasad. Życie bez zasad jest życiem byle jakim.

### **Jarosław Jordan**

Czy są na to jakieś procedury? Sytuacja wygląda następująco: jest dwóch snajperów i jest dowódca tych snajperów. Jest też dwóch złoczyńców i jeden z nich chce zastrzelić mężczyznę, który jest ojcem dwumiesięcznego dziecka, a drugi to dwumiesięczne dziecko. Dowódca ma tylko jeden komunikat, może tylko raz powiedzieć i tylko do jednego snajpera. Którego złoczyńcę każe za-

strzelić: tego, który strzela do ojca, czy tego, który strzela do dwumiesięcznego dziecka?

### **Gen. Michał Otrębski**

U nas, w polskim prawie nie istnieje instytucja strzału do człowieka na rozkaz, poza jedną sytuacją, kiedy występuje pododdział policji podczas zamieszek, rewolucji. Natomiast jeśli chodzi o snajpera, o strzelca wyborowego, to nie ma takiej procedury, która pozwalałaby dowódcy powiedzieć „zabij go”. Strzelec wyborowy działa w takich samych warunkach jak każdy inny policjant, który ma przy pasie pistolet. Jeżeli osoba, która narusza prawo, kwalifikuje się do użycia broni palnej, to decyzję podejmuje wyłącznie snajper. Powiem o zajściach w Magdalence. Chodziło tam o dwóch niebezpiecznych przestępców, którzy zabarykadowali się w jednym z domów mieszkalnych i policja wiedząc o tym, że oni są wewnątrz, zorganizowała szturm pododdziału antyterrorystycznego, który zakończył się tragicznie. Zabito niebezpiecznych przestępców, ale również zginęli policjanci. I później była dyskusja na temat, czy nie należało użyć tam strzelca wyborowego. Oczywiście należało, ale on musiałby działać na rozkaz, gdyż nie było takiej sytuacji, w której on byłby w stanie ocenić, czy przestępcy zagrażają życiu ludzi. Wtedy powstał pomysł, aby wprowadzić do polskiego prawa kategorię strzału na rozkaz, żeby strzelec był tylko narzędziem. On nie musiałby rozpoznawać sytuacji, bo byłby tylko narzędziem, patrzeć przez lunetę i wypracowywać sobie najlepszą pozycję do strzału. Natomiast ktoś, kto potrafiłby ocenić tę sytuację, powinien wydawać mu rozkazy. Niestety tego przepisu nie wprowadzono. Moim zdaniem niesłusznie, ponieważ choćby z punktu widzenia kategorii sumienia ten snajper nie jest w stanie podjąć właściwej decyzji.

Już na koniec tej sprawy chciałbym przypomnieć o pewnym zdarzeniu, które rzeczywiście miało miejsce. Człowiek niezrównoważony psychicznie wziął swoją rodzinę na zakładników i groził, że ich zabije. Strzelec wyborowy oddał strzał, nie zastrzelił tego człowieka, tylko go zranił. Byłem wtedy komendantem stołecznym policji, zaprosiłem tego człowieka do siebie i spytałem go, czy on się

z tym dobrze czuje, czy nie jest mu potrzebna jakaś pomoc psychologiczna czy urlop, w końcu strzelał do człowieka. On mi odpowiedział, że nie, tylko uważa, że strzelił centymetr za wysoko. Jeżeli człowiek działa zgodnie ze swoim sumieniem, zgodnie z przepisami prawa, broni wartości, którą rozumie jako wartość również dla siebie, to działa moralnie, wykonując nawet taki zawód ekstremalny, jak zawód strzelca wyborowego. Gorzej jeśli mielibyśmy do czynienia z sytuacją, że stoi kordon policji i strzela w tłum tylko dlatego, że ten tłum chce jeść. To też jest strzał, ale w jak innych warunkach, w jak innych okolicznościach.

### **Krzysztof Haman**

Chcę się odnieść się do wypowiedzi pierwszego z panelistów. Moim zdaniem nie należy przeciwstawiać polityki rozumianej jako działanie dla dobra wspólnego polityce skutecznej. Polityka zmierzająca do dobra wspólnego, która jest nieskuteczna, jest bezwartościowa. Musimy o tym pamiętać, zwłaszcza w naszych polskich warunkach, gdyż mamy w naszej historii wiele przykładów działań, w których polityka nastawiona na dobro wspólne była nieskuteczna lub wręcz przeciwnie, na przykład Powstanie Warszawskie – daleko nie szukając. Skuteczność polityki nie powinna być jednak osiągnięta środkami niemoralnymi. A środki są niemoralne na ogół wtedy, gdy mają skutki uboczne, które są sprzeczne z jakimiś wartościami moralnymi. Czasem zresztą okazują się nawet sprzeczne z celami, do których dane środki miały prowadzić. Na przykład, oszustwo w pertraktacjach może dawać chwilowy sukces, ale w dalszej perspektywie prowadzi do większych od niego strat w wyniku utraty zaufania kontrahentów. I dlatego potrzebne jest sumienie polityka, żeby te konflikty między skutecznością a etyką w jakiś rozsądny sposób wyważać i rozwiązywać.

Mam też uwagę do mojego przedmówcy. Jego przykład, wprawdzie trochę sztuczny i wydumany, odnosi się jednak do bardzo ważnego ogólnego problemu, gdy mamy do czynienia z sytuacją, z której nie ma dobrego wyjścia, a trzeba podjąć jakąś decyzję. To bywają sprawy naprawdę bardzo trudne i boję się, że sumienie będzie zawsze



Krzysztof Haman

jakoś obciążone niezależnie od tego, jaką decyzję by się podjęło.

### **Gen. Michał Otrębski**

Tym bardziej, że często decyzje są podejmowane w ciągu kilku sekund. A wymogi są w stosunku do odpowiedzialności człowieka i ciąży latami.

### **Ewa Nitecka**

Korzystając z obecności pana profesora, chciałabym się dowiedzieć, czy były podejmowane działania przez odpowiednie władze, organy, zmierzające do ograniczenia cesarskich cięć w czasie porodów? Ilość cesarskich cięć zbliża się do 40%, co jest naprawdę dramatyczne. Do 1962 roku rodzice mogli wybrać, gdzie chcą przyjąć swoje dziecko, gdzie ono ma się urodzić – w domu czy w szpitalu. Wtedy cesarskich cięć było 5% , a i tak lekarze mówili, że o 5% za dużo. Od wielu lat, od tego 1962 roku, kiedy zaczęto niszczyć prywatne praktyki położnych, ilość cesarskich cięć ciągle wzrasta. Wiele kobiet ma nierozpoznaną tokofobię, czyli lęk przed macierzyństwem, przed ciążą, przed rodzeniem. Wybierają wtedy cesarskie cięcie.



Ewa Nitecka (z mikrofonem)

### **Bogdan Chazan**

Problem jest rzeczywiście ogromny. Co trzecia kobieta wychodząca ze szpitala położniczego ma szwy na brzuchu i nie może karmić, i nie może opiekować się właściwie dzieckiem, a potem boi się następnych ciąż. Oczywiście, że w pewnych sytuacjach cesarskie cięcie ratuje zdrowie, życie kobiety oraz dziecka, ale jest ono nadużywane. W prywatnych szpitalach osiąga 100%. Polska należy do tych krajów, w którym jest jeden z wyższych udziałów cesarskich cięć i stale rośnie. Moim zdaniem należy z tym walczyć, bo cesarskie cięcie nie jest dobre dla dziecka. Mają one częściej zaburzenia oddychania, częściej są hospitalizowane w oddziałach intensywnej opieki noworodkowej. Kobiety po cięciach cesarskich też nie są w dobrej formie. Traci na tym i ich zdrowie, i zdrowie ich dzieci. Potrzeby noworodka nie są wypełniane we właściwy sposób.

Cesarskie cięcie jest elementem panującego trendu, że wszystko musi być łatwe, przyjemne i natychmiast. Realizujemy najważniejszy cel w bliskiej perspektywie, pozbywamy się kłopotu, natomiast nie patrzymy, jakie będą tego konsekwencje. Badania wykazują, że kobiety, które miały wykonane cesarskie cięcia, mają mniej dzieci niż poprzednio planowały. W ich małżeństwach liczba następnych uro-

dzeń jest mniejsza. Jest tak z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że cięcie cesarskie zmniejsza płodność kobiet i w efekcie rodzina nie może realizować planów prokreacyjnych, dzieci jest mniej, niż planowano, a po drugie, kobiety boją się następnych cięć cesarskich i świadomie ograniczają liczbę dzieci, dając wiarę przesadzonym informacjom, że następne cesarskie cięcia mogą być dla nich groźne, zagrażające zdrowiu i życiu. Podsumowując – cięcie cesarskie wpływa źle na zdrowie kobiet i źle na realizację planów prokreacyjnych. A cięcia cesarskie wykonywane tak często i niejednokrotnie niepotrzebnie są jednym z ważniejszych elementów kryzysu demograficznego. To czynnik, który będzie niekorzystnie wpływał na liczbę Polaków w przyszłości.

Zwykle to kobiety proszą o wykonanie cięcia cesarskiego bez wskazań medycznych, ale moim zdaniem wina po stronie lekarzy też jest dość duża. Lekarz bardzo często mówi: „co będzie się pani męczyć. Załatwimy to szybko. Idę na urlop, to zrobimy cięcie”.

### **Witold Kołodziejski**

Może odpowiem na to drugie pytanie – społeczeństwo, polityka, dobro wspólne a skuteczność. Zarówno w policji, w korporacjach, w służbie zdrowia, jak i w każdej innej sferze naszego życia są procedury, według których postępujemy. Mają one nam zorganizować i ułatwić życie, ale jednocześnie łatwo usprawiedliwiają nasze decyzje, uwalniają nas od własnego sumienia. Bez wyrzutów sumienia sprawniej działamy jako elementy wielkiej maszyny. Proszę zobaczyć, jak działa korporacja, czyli instytucja zarządzająca dużą liczbą ludzi. Powstała cała nauka zarządzania zasobami ludzkimi. Na wszystko mamy tutaj konkretne procedury i, na przykład, stosując je, muszę zwolnić podwładnego. Jeżeli nie wykonam obowiązującej mnie procedury, to mnie zwolnią. Takie są zasady. Procedury są takie, żeby nam było łatwiej żyć bez sumienia, żebyśmy mogli funkcjonować jak maszyny, gdyż w takich sytuacjach nasze sumienie byłoby tylko balastem. Trzeba tutaj dodać, że ogólne zasady, które pozwalają nam na odejście od osądu własnego sumienia, są podstawą każdego totalitaryzmu.

Jesteśmy przecież społecznością osób i nie chcemy być redukowani do roli bezwolnych części wielkiego mechanizmu. Dlatego jeżeli chcemy być wolni, to każda nasza decyzja musi być indywidualna i każdorazowo poddana osądowi naszego sumienia.

Z drugiej strony, szukając własnej wolności, nie możemy całkowicie odrzucić zasad i reguł życia społecznego. Prowadziłoby to do anarchii. To nie jest tak, że możemy powiedzieć, że procedury są złe i możemy polegać tylko na własnym sumieniu. Procedury są tworzone, aby pomagać nam w podejmowaniu decyzji, organizują nasze życie, od pewnego poziomu złożoności struktury społeczeństwa są niezbędne do jego funkcjonowania. Musimy jednak pamiętać, że nie są celem, tylko środkiem do celu, jakim jest nasze dobro.

Celem człowieka jest szczęście. Żeby je osiągnąć, musi wiedzieć, co jest dla niego dobre i jak do tego dążyć, i w ramach swoich osobistych dylematów moralnych może sobie dobrze radzić. Oczywiście i prawo naturalne, religia i nauka, szczególnie filozofia w tych procesach pomagają. Polityka jest takim tworem, gdzie wspólne dobro bardzo często jest trudno zidentyfikować, jeżeli ono nie ma być na wysokim poziomie ogólności. Sztuka dążenia do wspólnego dobra wymaga wielu umiejętności. Polityk teoretyk, przepelniony szczytnymi ideami, niepotrafiący jednak ich zrealizować, nie jest wiele wart. Skuteczność jest bardzo ważnym elementem polityki, nie jest jednak jej celem. Można powiedzieć, że dobry polityk to człowiek potrafiący skutecznie zabiegać o nasze wspólne dobro.

### **Bogdan Chazan**

Ja myślę, że to jednak nie jest tak, że procedury w jakichś sposób uwalniają od sumienia i że przede wszystkim liczy się skuteczność. Minister zdrowia w odniesieniu do mojej sprawy powiedział, że trzeba sumienie zostawić za drzwiami szpitala. Nie mogę się z tym zgodzić. Sumienia nie możemy się pozbyć. Sumienie nam towarzyszy. Nie możemy się usprawiedliwiać, że takie są procedury, że mamy być skuteczni i że Machiavelli miał rację – i sumienie zostawiamy na boku. Jeżeli takie mają być i takie są zasady funkcjonowania naszego społeczeństwa, to zmierzamy do bardzo niedobrego

i niebezpiecznego finału. Pan generał powiedział, że prawo jest elementem sumienia. W 1993 roku sędziowie Trybunału Konstytucyjnego zastanawiali się, jaka jest relacja między etyką lekarską a prawem i doszli do wniosku, że o ile etyka nie potrzebuje uzasadnienia prawnego, to prawo jednak nie powinno wyprzedzać etyki. Powinno być zgodne z prawem naturalnym i ze zwyczajami. Potrzebna jest harmonia etyki i prawa pod warunkiem, że jedna i druga strona uzna nawzajem swoją niezależność. Obszary prawa i obszary etyki, mimo że dotyczą tych samych spraw, nie pokrywają się. Nasuwa się pytanie, czy w zawodzie lekarskim my mamy kierować się etyką czy prawem. Profesor Tadeusz Tołłoczko mówił, że lekarz powinien postępować zgodnie z zasadami etyki, ale równocześnie musi liczyć się z tym, że poniesie konsekwencje prawne. Klauzula sumienia jest właśnie po to, żeby w jakiś sposób godzić obszar etyki z obszarem prawa.

### **Siostra Jolanta Głapka**

Mam pytanie do pana Witolda. Czy pan uważa, że osoby pracujące w mediach są w stanie bronić ogólnoludzkich wartości? Czy mamy szansę na prawdziwe media?, czy wyłącznie na media niepubliczne, które sami sobie organizujemy?

### **Witold Kołodziejski**

Naczelną zasadą działania dziennikarza powinno być poszukiwanie prawdy. Niestety „prawda” w redakcjach jest często taka, jakiej chce redaktor naczelny i ten przykład idzie z góry. To są pewne sugestie i ludzie sami nie wiedzą, co robić. Czy pisać, czy wylecieć z redakcji i nie być zatrudnionym. Jest kolegium redakcyjne, dzielenie tematów. To jest ustalone przez wydawców, z kim się robi wywiad, kogo się zaprasza do studia. Tu nie ma przypadku, tu nie ma powołania dziennikarskiego.

Przyszłość widzę w mediach niezależnych. Niestety, największe znaczenie mają te media, które trafiają do odbiorców trochę mimochodem. To jest taka papka, która się sący od rana do wieczora przy włączonym telewizorze, przy przeglądaniu gazety. Celowo

opracowywane są mechanizmy, jak z ludzi robić niewolników i jak ich uwolnić od własnego sumienia.

### **Krystyna Różga**

Chciałabym prosić profesora Chazana o wyjaśnienie pewnej kwestii. W szpitalach położniczych w Warszawie jest podobno dość powszechny proceder „żonglowania” miejscami. Podobno mówi się kobietom, że aby dostać się na porodówkę, trzeba wykupić usługi położnej, która pracuje w tym szpitalu. Wtedy kobieta będzie miała pewność, że zostanie przyjęta.

### **Bogdan Chazan**

To przykre, że do niektórych bardzo renomowanych szpitali położniczych pacjentka „z ulicy” nie ma szans na dostanie się. Przyjęcie do szpitala jest uzależnione od wykupienia dodatkowych usług medycznych. Tak być nie powinno. Szpitale, które są bardzo popularne, które są z takich czy innych powodów cenione, gdzie kobiety chcą rodzić, na przykład ze względu na wysoki poziom usług i bezpieczeństwo, preferują kobiety, które korzystają z procedur dodatkowo opłacanych. Oznacza to nierówny dostęp do pomocy medycznej, etycznie nie do przyjęcia. Nie może być tak, żeby szpital był tylko dla specjalnych pacjentek o szczególnych potrzebach i z grubym portfelem.



Słuchacze Konwersatorium

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Postępowanie zgodnie z sumieniem w każdym zawodzie, czy to będzie lekarz, nauczyciel, burmistrz, prezydent, czy ktokolwiek inny, to się mu opłaca. Mimo że człowiek czasem traci pracę. Ma on poczucie i satysfakcję, że postępował zgodnie z sumieniem i nie ma sobie nic do zarzucenia, a w wymiarze czysto ludzkim często okazuje się potem, że dostaje propozycję znacznie lepszej i ciekawszej pracy.

Powiem tutaj o konkretnym przykładzie z korporacji. Korporacja na ogół jest taką instytucją, która ma swój cel, pieniądze, zyski i nie zwraca uwagi na sumienie. Nasz zięć pracował w jednej z korporacji od samego początku jej tworzenia i doszedł do najwyższych jej władz. W pewnym momencie stwierdził, że dalsze żądania tej korporacji są niezgodne z jego sumieniem i on nie może ich wykonać. Równocześnie jego sytuacja rodzinna była taka, że jego żona (a nasza córka) oczekiwała wtedy dziecka i nie pracowała. Nasz zięć zdawał sobie sprawę, że jeśli zrezygnuje z pracy w tej korporacji, to zostaną bez środków do życia. W porozumieniu z żoną z dnia na dzień podjął decyzję o rezygnacji z pracy, po prostu zgodnie z własnym sumieniem. Przez jakiś czas nie miał pracy i chwycił się doraźnych zajęć, ale po jakimś czasie założył własną firmę i wyszli na prostą. Uważam, że my na każdym polu musimy zawsze działać zgodnie z sumieniem, bo to nam daje spokój życia, a wszystko inne będzie nam „przydane”.

Jeszcze odniosę się do tego, co było mówione o polityce i politykach. Gdy prawie dziesięć lat temu rozpoczynaliśmy nasze Konwersatoria, pierwsze było poświęcone polityce, czy mamy się w nią angażować. W tekście cytatów poświęconych temu Konwersatorium zamieściliśmy apel papieża Jana Pawła II, aby ludzie sumienia angażowali się w politykę. Jednym z naszych panelistów był Jacek Cichocki, wtedy dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich, który opowiadał bardzo ciekawe rzeczy o negocjacjach prezydenta Kwaśniewskiego z Kuczmą. Dzięki dobremu doradztwu ekspertów z Ośrodka Studiów Wschodnich (a trwała wtedy Pomarańczowa Rewolucja na Ukrainie) udało się odwieść Kuczmę od decyzji wprowadzenia wojsk na ulicę Kijowa.

Pomyślmy jeszcze i o tym, że jeżeli do polityki pójdą wyłącznie ludzie bez sumienia, to nie będziemy mieli na kogo głosować w wyborach parlamentarnych.

*Spisał z nagrania Marcin Borzęcki*

## **C.d. wypowiedzi otrzymane drogą korespondencyjną**

**Marianna Łacek** (Australia)

### **Sumienie**

Ileż to razy w zawodzie nauczycielskim odmieniamy ten rzeczownik, używając również jego przymiotnikowej formy. To jest sumienny nauczyciel. Przygotowuje się sumiennie do lekcji. Trudno znaleźć bardziej sumiennego nauczyciela. Z sumiennością ocenia swoich uczniów itd.

Skutki braku sumienności czy działania niezgodnie z własnym sumieniem nie są, tak jak w wielu innych zawodach, dostrzegane natychmiast. Nieraz w ogóle mogą ujść niezauważone. Ale to przez innych. Natomiast sam właściciel swojego sumienia nie może uchronić się od jego głosu.

W naszej sytuacji emigracyjnej, którą można byłoby jedynie porównać do niewielkiej polskiej osady, gdzie właściwie wszyscy się znają, nauczyciel języka polskiego w sobotniej szkole narażony jest na pokusy, którym musi się nieustannie opierać. Uczniowie wybierający język polski jako przedmiot maturalny to często dzieci naszych przyjaciół lub bliskich znajomych. W ciągu ostatniego roku nauki przygotowuję, przeprowadzam i oceniam testy, których wynik nie tylko pozwala ustawić uczniów w kolejności, ale stanowi 50% ich ostatecznego wyniku maturalnego (drugie 50% to egzamin). Ma to oczywiście ogromny wpływ na punktację determinującą przyjęcie na wyższe studia.

Tylko postępowanie w całkowitej zgodzie z sumieniem pozwala mi przez ponad 30 lat nie tylko egzystować w środowisku, ale odważnie patrzeć w oczy rodzicom, byłym uczniom i ostatnio już dzieciom tych uczniów. Nawet jeśli od czasu do czasu zdarzy się pani, która jest święcie przekonana, że jej inteligentny syn powinien mieć lepszy wynik od tamtego, co to pochodzi – „pani wie, jaka to rodzina?” A jednak liczą się fakty i moja uczciwość, czyli działanie zgodne z własnym sumieniem.





*Jak rozumiem odpowiedzialne  
rodzicielstwo?*



## Cytaty

### **Jan Paweł II – Kultura odpowiedzialnego rodzicielstwa (fragment)**

W naszych czasach utrwała się mentalność, która z jednej strony wyraża niejako lęk przed odpowiedzialnością za prokreację, a z drugiej dążenie jakby do tego, by panować nad życiem i nim manipulować. Pałca jest zatem potrzeba kształtowania kultury, która pomoże przezwyciężyć panujące w tej dziedzinie stereotypy i mistyfikacje, tak często rozpowszechniane przez pewien rodzaj propagandy. Jednocześnie konieczne jest prowadzenie działalności wychowawczej i formacyjnej, obejmującej małżonków, narzeczonych i wszystkich młodych ludzi, jak również pracowników socjalnych i współpracowników duszpasterstwa, mającej na celu odpowiednie przedstawienie wszystkich aspektów odpowiedzialnego rodzicielstwa, jego podstaw oraz motywacji, a także sposobów realizowania w praktyce.

Jest oczywiste, że odpowiedzialne rodzicielstwo nie polega tylko na dostosowaniu się do rytmu biologicznego. Chodzi raczej o wyrażenie pełnej prawdy o osobie, która jest głęboką jednością ducha, psychiki i ciała. Jedności tej nie da się nigdy sprowadzić do zespołu mechanizmów biologicznych. Tylko w kontekście wzajemnej miłości małżonków, całkowitej i bezwarunkowej, może być przeżywane w całej swej godności poczęcie – owo wydarzenie, które dotyczy przyszłości ludzkości.

### **Krystyna Kucerow – Małżeństwo – wspólnota życia i miłości (fragmenty)**

Akty miłosnego zjednoczenia małżonków niosą w sobie dwa potężne znaczenia – rozwijają więź poprzez okazywanie miłości, czułości, jedności i oddania oraz służą nowemu życiu. Sztuczne rozdzielanie tych dwóch znaczeń sprzeciwia się naturze małżeństwa. Ślubowana przed Bogiem uczciwość małżeńska istnieje wtedy, gdy we współżyciu jest zachowane to podwójne zadanie – rozwój

miłości i potencjalnej prokreacji. Jednak wartość współżycia nie zależy od tego, czy doprowadzi ono do poczęcia nowego życia czy nie, ale od postawy etycznej małżonków i ich woli. Jeśli nie planują dziecka i oddają się sobie w okresie niepłodnym, to taki akt spełnia swoje łączące zadanie. Natomiast jeśli działają tak, aby siebie lub stosunek uczynić niepłodnym, wtedy można mówić o rozdzieleniu wymowy małżeńskiego aktu, czyli o nieuczciwości moralnej.

Jaka jest różnica pomiędzy życiem według rytmu płodności a stosowaniem antykoncepcji, gdy cel, odłożenie poczęcia, jest ten sam? Jeśli małżonkowie sięgają po antykoncepcję, to, w odniesieniu do własnej seksualności, rezygnują z władania sobą. Jakaś ich część – popęd płciowy – okazuje się silniejszy niż oni sami. Biernie podporządkowują się temu i próbują „panować” nad niechcianymi konsekwencjami za pomocą substancji chemicznych czy środków fizycznych. Przy stosowaniu naturalnych metod małżonkowie wykorzystują swoją świadomość i wolność oraz potwierdzają, że miłość i odpowiedzialność jest dla nich ważniejsza niż rozładowanie popędu czy osiągnięcie doraźnej przyjemności fizycznej. Panując nad własnym zachowaniem żona i mąż otrzymują konkretne dary zaspokajające ich wyższe potrzeby emocjonalne. Dojrzewają oni we wzajemnej miłości, pogłębia się ich przyjaźń, wzajemny szacunek i zrozumienie, łączy ich coraz silniejsze poczucie więzi i większa dbałość o siebie nawzajem. Seksualne szczęście jest tego owocem.

### **Liga Małżeństwo Małżeństwu – Wasz wspólny wybór – wspólnota życia i miłości (fragment)**

Jeśli mąż i żona wspólnie i świadomie praktykują naturalne planowanie rodziny, to wkrótce zauważają, że potrafią lepiej się porozumieć, że ich współżycie nabiera nowego blasku, a przeżywając okresy wstrzemięźliwości, uczą się odkrywać całe bogactwo form wyrażania wzajemnej miłości w codziennych relacjach, doświadczając przy tym budującego ich związek spokoju sumienia. Taki styl życia ma także bardzo korzystny wpływ na atmosferę panującą w rodzinie.

### **Papież Franciszek – W rodzinie uczymy się kochać i bronić życia (25 X 2013)**

Jak napisał bł. Jan Paweł II w adhortacji apostołskiej *Familiaris consortio*, rodzina nie jest sumą osób, które ją tworzą, lecz „wspólnotą osób”. A wspólnota jest czymś więcej niż sumą osób. Jest miejscem, w którym człowiek uczy się kochać, naturalnym centrum ludzkiego życia. Złożona jest z twarzy, osób, które kochają, dialogują, poświęcają się dla innych i bronią życia, zwłaszcza najwrażliwszego, najsłabszego. Można by powiedzieć, nie przesadzając, że rodzina jest motorem świata i historii. Każdy z nas buduje swoją osobowość w rodzinie, wzrastając z mamą i tatą, z rodzeństwem, oddychając domowym ciepłem. Rodzina jest miejscem, gdzie otrzymujemy imię, jest miejscem uczuć, przestrzenią zażyłości, gdzie człowiek uczy się sztuki dialogu i komunikacji międzyosobowej. W rodzinie osoba nabiera świadomości swojej godności i, zwłaszcza wtedy gdy wychowanie jest chrześcijańskie, uznaje godność każdej osoby, a w sposób szczególny osoby chorej, słabej, zepchniętej na margines.

Chciałbym wspomnieć o dwóch fazach życia rodzinnego: *o dzieciństwie i o starości*. Dzieci i osoby starsze stanowią dwa bieguny życia i również najwrażliwsze, często najbardziej zapomniane. Kiedy spowiadam żonatego mężczyznę lub zamężną kobietę, młodych, i podczas spowiedzi dochodzi do wzmianki o synu lub córce, pytam: ile dzieci ma pan lub pani? Oni odpowiadają, czekają być może na następne pytanie. A ja zadaję potem zawsze takie drugie pytanie: Proszę mi powiedzieć, czy pan lub pani bawi się ze swoimi dziećmi? – Słucham, ojcze? – Czy pan lub pani traci czas ze swoimi dziećmi? Czy pan lub pani bawi się ze swoimi dziećmi? – Ależ nie, no wie ojciec, kiedy rano wychodzę z domu – mówi mężczyzna – jeszcze śpią, a kiedy wracam, już są w łóżku. Również darmowość, ta bezinteresowność taty i mamy w stosunku do dzieci jest bardzo ważna: „tracenie czasu” dla dzieci, zabawa z dziećmi. Społeczeństwo, które opuszcza dzieci i spycha na margines osoby starsze, podcina swoje korzenie i zaciemnia swoją przyszłość. A wy oceniajcie to, co robi ta nasza kultura dzisiaj, nieprawdaż? A więc... Za każdym razem, gdy dziecko jest opuszczane, a osoba starsza spy-

chana na margines, nie tylko dzieje się niesprawiedliwość, lecz jest to potwierdzenie porażki społeczeństwa. Otaczanie opieką dzieci i osób starszych jest wyborem na rzecz cywilizacji. I jest to również przyszłość, ponieważ mali, dzieci, młodzież będą budowali to społeczeństwo swoją siłą, swoją młodością, a starsi będą je budowali swoją mądrością, pamięcią, którą muszą obdarować nas wszystkich.

### **Ks. dr Marek Studenski – Wychowujemy do wartości**

Wychowanie to coś więcej niż tylko opieka nad dzieckiem, zapewnienie jedzenia czy mieszkania. To jedna z ważniejszych dziedzin naszego życia. Egzamin z wychowania przyszło nam zdawać w niełatwych czasach. Dziecko potrzebuje obecności ojca i matki, którzy od najwcześniejszych lat zapewnią mu realizację najistotniejszej, podstawowej potrzeby: poczucia bezpieczeństwa. Tymczasem dziś troska o to, żeby utrzymać rodzinę, każe wielu młodym małżeństwom wybierać inne priorytety. Przy okazji rekolekcji odwiedzam parafie w różnych częściach Polski. Niemal wszędzie widzę puste domy – wielu młodych ludzi wyjechało za granicę. Praca za granicą dzieli rodziny. Rodzice są często nieobecni w najbardziej wrażliwym momencie życia dziecka. Trzeba im uświadomić, że spowodowane tym straty są nie do nadrobienia. Coraz częściej mówi się też o „społeczeństwie bez ojca”, który po przyjeździe do domu włącza telewizor, a jedyne, co mówi do dziecka, to: „nie przeszkadzaj”. Godzina intensywnie spędzona z dzieckiem jest czasem lepsza niż sześć samej tylko niemej obecności.

### **List pasterski (15-21 IX 2013)**

Wychowanie do wartości rozpoczyna się w rodzinie. Ceńmy zatem czas wspólnych rodzinnych spotkań, rozmów, posiłku, wspólnego wypoczyniania. Codzienne bycie razem uczy bowiem wzajemnego zrozumienia, zaufania, ofiarnej miłości i prawdziwej przyjaźni. Wspólne przebywanie kształtuje ponadto postawę służby i dobroci gotowej na dzielenie się radością, a jednocześnie odpornej na trudne problemy i emocje. W rodzinie powinniśmy uczyć się zwracania do siebie z miłością, szacunkiem i serdecznością.

**Ks. Marek Dziewiecki – Rodzice, dzieci i te... sprawy (fragment)**

Najważniejszym dobrem, jakim rodzice mogą obdarzyć swoje dzieci, jest solidne wychowanie. To właśnie od mądrego wychowania w największym stopniu zależy przyszłość dzieci i młodzieży. Niedojrzali są ci rodzice, którzy swoim synom i córkom dają dużo wolności czy pieniędzy, ale nie dają im równie dużo wychowania. Wtedy przegrywają obie strony: nie tylko dzieci, ale też rodzice, których los związany jest przecież nierozdzielnie z losem ich potomstwa.

## KONWERSATORIUM LXXVII

(21 lutego 2015)

### Jak rozumiem odpowiedzialne rodzicielstwo?

**Prowadzący: Ks. Tadeusz Bożełko**, kapelan Centrum Onkologii na Ursynowie, były dyrektor Wydziału Duszpasterstwa Rodzin Warszawskiej Kurii Metropolitalnej; **Marta i Andrzej Witeccy**, od 17 lat małżeństwo, piątka dzieci (czwórka biologicznych i syn w rodzinie zastępczej); **Joanna i Mariusz Dzieciątko**, od 18 lat małżeństwo, trójka dzieci, zaangażowani w pracę Fundacji Misja Służby Rodzinie i współzałożyciele Stowarzyszenia Edukacji w Rodzinie, Mariusz – nauczyciel akademicki Szkoły Głównej Handlowej; **Barbara i Grzegorz Cieślikowie**, od 17 lat małżeństwo, siódemka dzieci, Barbara – nauczyciel akademicki Szkoły Głównej Handlowej, Grzegorz – inżynier, przedsiębiorca; **Maria i Lech Łubowiczowie**, od 33 lat małżeństwo, trójka dzieci, Maria – współzałożyciel i dyrektor szkoły specjalnej „Krok po kroku” im. Bł. E. Bojanowskiego dla dzieci z autyzmem; Lech – inżynier, zaangażowany w pracę fundacji edukacyjno-oświatowej NON VERBA.

#### **Ks. Tadeusz Bożełko**

Dzisiejszy temat „Jak rozumiem odpowiedzialne rodzicielstwo” jest fundamentalny dla naszej przyszłości. Miarą życia ludzkiego jest dzisiaj lat siedemdziesiąt, osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt, w zależności od zdrowia. Każdy człowiek pojawia się na świecie tylko dzięki temu, że mężczyzna i niewiasta (jego rodzice) spotkali się, pokochali i przekazali mu życie. Jeżeli szykujemy się do 1050. rocznicy Chrztu Polski, to znaczy, że nasi przodkowie pamiętali o obowiązku przekazywania życia z pokolenia na pokolenie. Pamiętali o tym, co jest napisane w Księdze Rodzaju: „Stworzył Bóg człowieka

na swój obraz, na obraz Boży go stworzył. Stworzył mężczyznę i niewiastę. Po czym Bóg im błogosławił, mówiąc do nich: bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną. Abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszelkim zwierzęciem pełzającym po ziemi”. Pierwszy nakaz Stwórcy, który Bóg kieruje do mężczyzny i niewiasty, to przykazanie, aby byli dla siebie darem, aby tworzyli wspólnotę życia i miłości i aby przekazywali życie.



Paneliści. Od lewej: Grzegorz i Barbara Cieślikowie, Mariusz i Joanna Dzieciątko, Ks. Tadeusz Bożełko, Maria i Lech Łubowiczowie, Marta i Andrzej Witeccy

A jak to wygląda dzisiaj? Sytuacja jest dramatyczna. Niedawno nasza ojczyzna, nasz kraj przeszedł z drugiej do trzeciej setki krajów świata, gdy chodzi o zastępowalność pokoleń, czyli wskaźnika mówiącego, ile dzieci rodzi statystyczna kobieta. Co to znaczy? To znaczy, że stoimy wobec niebezpieczeństwa zagłady naszej kultury, naszej europejskiej cywilizacji i naszej ojczyzny. Sytuacja przypomina tę z

Imperium Rzymskiego, gdzie upadek tego wielkiego państwa poprzedziła wcześniejsza depopulacja. Ludzie utracili instynkt samozachowawczy, bo przestali się zastanawiać, kto będzie płacił podatki, kto będzie bronił ojczyzny za kilkadziesiąt lat. A statystyka jest bezlitosna i pokazuje nam, że jesteśmy w zapaści demograficznej.

W jednym z ostatnich numerów Gościa Niedzielnego ukazał się artykuł „Adam i Ewa po pigułce”. Jest to omówienie książki amerykańskiej badaczki Mary Eberstadt, która pokazuje sytuację w świecie przez pryzmat Stanów Zjednoczonych – w pięćdziesiąt lat po wprowadzeniu pigułki antykoncepcyjnej.

Jak wspominałem, temat jest szeroki, bo należałoby powiedzieć wcześniej o encyklice *Humanae Vitae*, o sprzeciwie Pawła VI wobec kierunku, w którym poszedł świat, jak i o jego przewidywaniu sytuacji, która nastąpi po upowszechnieniu się pigułki antykoncepcyjnej i wprowadzeniu rewolucji seksualnej. Papież mówił tak: „rozpowszechni się niewierność małżeńska, nastąpi ogólny upadek obyczajów, zdeprawuje się młode pokolenie. Mężczyźni zatracą szacunek dla kobiet i lekceważąc ich psychofizyczną równowagę, sprowadzą je do roli narzędzia służącego zaspokajaniu swej żądzy, a w końcu przestaną je uważać za godne szacunku i miłości towarzyszyki życia”. Dalej pisze papież o tym, że państwo zacznie ingerować w sferę intymną małżonków. To, co przewidywał papież Paweł VI, dzieje się dzisiaj na świecie i u nas także. Ostatnie decyzje podejmowane w Sejmie RP potwierdzają to.

Chrześcijaństwo jest religią nadziei i religią młodości. Zawsze tłumaczę, że chrześcijanin to człowiek, który to co najlepsze ma zawsze przed sobą, a to jest przecież wyznacznik młodości. Młodym jest ten, kto jeszcze nie przeżył najważniejszego, a my podążając do Królestwa Niebieskiego, to co najpiękniejsze mamy jeszcze przed sobą.

Chrześcijaństwo przypomina nam, że życie jest darem Boga, a my mamy czuć się odpowiedzialni, żeby to życie przyjąć i przekazać następnemu pokoleniu. Niestety obecnie mamy a Polsce sytuację trudną. Decydenci i politycy interesują się głównie następnymi wyborami i rzadko uwzględniają perspektywę idącą dalej. Procesy demograficzne są ze swej natury wielopokoleniowe, a bezwładność depopulacji trudno jest przewyciężyć.



Ksiądz Tadeusz Bożełko

Mówimy dzisiaj o odpowiedzialnym rodzicielstwie. Dotyka to spraw małżeńskich, bo tam właśnie podejmuje się decyzje o przyjęciu lub nieprzyjęciu życia ludzkiego i nie ma sprawy bardziej naglącej dla ojczyzny, dla Kościoła, dla Europy, dla naszej cywilizacji to, czy w tej dziedzinie społeczeństwo obudzi się i otwartym sercem przyjmie dar nowego życia, czy też da się ponieść tym wszystkim nihilistycznym działaniom, które prowadzą do umacniania się cywilizacji śmierci, o której mówił papież Jan Paweł II. Ukazywał współczesny świat jako miejsce konfrontacji cywilizacji życia i miłości z cywilizacją śmierci i nienawiści. To prorockie spojrzenie Jana Pawła II pokazuje nam arenę, na której podejmowane są decyzje, na której toczy się walka o przyszłość naszej ojczyzny, Kościoła, naszej kultury. Musimy pamiętać, że były już w historii świata cywilizacje, po których nie ma ani śladu. Trzeba uświadomić sobie, że również i my możemy sprowadzić na naszą europejską kulturę unicestwienie, jeżeli nie przebudzimy się do większej odpowiedzialności za przyjmowanie Bożego daru życia.

Jestem szóstym dzieckiem moich rodziców i to takim, które nie było planowane. Wiem to od rodziców, że byłem dla nich dużym zaskoczeniem. Moje pojawienie się na świecie, a był to początek lat

sześćdziesiątych, kilka lat po wprowadzeniu w naszym kraju ustawy aborcyjnej, wypadło na czas, kiedy lansowano tezę, że takie problemy rozwiązuje się u ginekologa. Moi rodzice nigdy tego nie brali pod uwagę. Przyjęli otrzymany dar, a Pan Bóg pozwolił, że wyrosłem, wychowałem się i na starsze lata dla moich rodziców, a teraz dla mojej mamy jestem źródłem radości, przedłużam jej młodość. Mama ma 92 lata. Byłem najmłodszym dzieckiem w naszej rodzinie. Wiem z własnego doświadczenia, że nie ma lepszego miejsca na socjalizację człowieka, jak w rodzina wielodzietna. Nie każdy ma taki przywilej, nie każdy ma taką możliwość, aby tego osobiście doświadczyć. Wtedy, kiedy płynie to z uwarunkowań niezależnych od rodziców, to należy to zrozumieć, ale kiedy jest to wynikiem małoduszności w przyjmowaniu i przekazywaniu życia, to musimy się upominać i przypominać plan Boży, według którego Stwórca powołał mężczyznę i niewiastę, aby zaludniali ziemię.

### **Grzegorz Cieślik**

Proszę państwa, czy wiedzą państwo, co to za liczby napisałem na tablicy? (27 904; 83 199; ~1mln) Pierwsza liczba to jest dług publiczny na jednego obywatela w naszym kraju. Druga liczba to jest dług ukryty na jednego obywatela w naszym kraju. Na chwilę obecną po zsumowaniu dług w naszej dziewięcioosobowej rodzinie wynosi około 1 mln zł. Czy w świetle tych liczb decyzja o przyjęciu kolejnego dziecka może być uznana za odpowiedzialną? Kolejne dziecko to jest kolejne 100 tysięcy złotych długu, które pojawi się w naszej rodzinie. Proszę państwa, od długu publicznego można uciec i w tym momencie robi to Grecja, odmawiając spłaty swych zobowiązań wobec innych państw (zwrotu pożyczek), ale od długu ukrytego uciec jest o wiele trudniej. Dług ukryty to są emerytury naszych rodziców, naszych dziadków oraz nas za dwadzieścia, trzydzieści lat.

Co to znaczy „odpowiedzialne rodzicielstwo”? Odpowiedzialne rodzicielstwo to takie, w którym my przekazemy nasze wartości naszym dzieciom – tak, żeby one kierowały się w swoim życiu tymi wartościami. A zatem niezależnie od tego, jaka tutaj będzie liczba, naszym rodzicom należy się opieka i nam kiedyś też będzie należała



Grzegorz Cieślik

się opieka. I my jako społeczeństwo chcemy, żeby nasze dzieci się nami zajęły. I tutaj już nie chodzi o te liczby, gdyż wartość tego zadłużenia może być jeszcze wyższa ze względu na rosnący koszt ludzkiej pracy przy malejącej liczbie osób pracujących (starzenie się społeczeństwa, emigracja młodych), natomiast chodzi o moralny obowiązek, jaki stanie przed naszymi dziećmi. Proszę państwa, jeszcze raz wrócę do tego pytania – czy decyzja o posiadaniu dzieci może być odpowiedzialna? Ekonomicznie odpowiedzialna?

To jest rodzaj „dylematu więźnia” (pojęcie z teorii gier) – społeczeństwu opłaca się mieć dużo dzieci, żeby zagwarantować stabilność systemu emerytalnego w przyszłości. Dla konkretnej rodziny jednak koszty posiadania dużej liczby dzieci są bardzo wysokie (wydatki na jedzenie, ubranie, edukację), a świadomość tego, jakimi zobowiązaniami zostają obarczone nasze dzieci już w momencie urodzenia, może być przygniatająca.

### **Barbara Cieślik**

Pobraliśmy się, kiedy ja byłam jeszcze na studiach. Na ślubie widziałam spojrzenia wśród naszych znajomych – „musieli, czy jak?” Pierwsze nasze dziecko pojawiło się od razu po ślubie. Dzie-

więc miesięcy bez tygodnia. Drugie dziecko też przyszło bardzo szybko, po półtora roku. I znów te komentarze, że „parka (dziewczynka i chłopiec) – to już wszystkie dzieci w domu”. Nie minęło półtora roku i pojawiło się trzecie dziecko. Znowu słyszeliśmy komentarze: „nie wiedzą, jak to się robi, żeby tych dzieci nie mieć jedno za drugim?” „Jak króliki się rozmnażają”. Tak jest do dzisiaj, choć między kolejnymi dziećmi przerwy są już dłuższe – jak ktoś się dowiaduje, ile mamy dzieci, to od razu pojawiają się pytania, czy tak planowaliśmy. Odpowiadam, że zanim się pobraliśmy, umówiliśmy się z mężem, że chcemy mieć dużo dzieci i że nie definiujemy z góry, ile to jest dużo. Tego się nie da zdefiniować, bo zdarza się, że ludzie mają jedno dziecko czy dwoje, z którymi są często poważne problemy zdrowotne czy inne, i z różnych powodów już to jedno dziecko może być „dużo” dla tej rodziny. To, co o nas ludzie mówili czy mówią, dla mnie zawsze było ważne, bo jestem wrażliwa na krytykę innych, na to, jak jestem przez innych postrzegana i nie było mi łatwo w pewnych momentach się od tego odciąć. Sądzę, że aspekt emocjonalny, poza aspektami finansowymi i tym, jaka jest sytuacja na rynku pracy i jakie są koszty wychowywania dzieci, ma również duże znaczenie. Myślę, że duży wpływ ma także akceptowany społecznie model rodziny 2+1, 2+2. Mało jest osób, które potrafią wyjść poza ten model. Trudno jest młodej kobiecie, gdy słyszy od swojej matki czy teściowej: „ale już nie będziecie mieli więcej dzieci?” albo jakieś inne „dobre rady”. Natomiast jak pojechaliliśmy ze wszystkimi naszymi dziećmi do Ziemi Świętej, to tam byliśmy normalną rodziną. Pobożni Żydzi czy Muzułmanie mają minimum sześcioro czy siedmioro dzieci, a normą jest około 12. Moja znajoma była na konferencji o systemie ubezpieczeń społecznych. Wystąpił tam przedstawiciel jednego z państw arabskich i jako problem przedstawił to, że w ich państwie kobiety się wyemancypowały i nie chcą rodzić więcej niż szóstkę czy siódmkę dzieci i przez to oni nie będą mogli odchodzić na emeryturę w wieku około 40 lat. Aby spiąć klamrą to, co powiedziałam, i to, o czym mówił mój mąż, powiem: nie można myśleć tylko o aspektach ekonomicznych, nie można patrzeć na to, co ludzie powiedzą, trzeba zawierzyć Bogu i

przyjmować każde dziecko jako dar od Niego. Trzeba pamiętać o tym, co jest w Piśmie Świętym: „Twoi synowie będą jak gałązki oliwne”. Dziecko jest błogosławieństwem, jest darem Boga. Zupełnie inną sprawą jest to, jak ten dar mamy przyjąć i wychować, ale o tym kiedy indziej.



Barbara Cieślik

Mam jeszcze jedną prośbę. Nie lubię być nazywana dzielną matką, bo się nią nie czuję. I uważam, że jest to zdanie, które potwierdza tylko ten stereotyp, że nie jesteśmy normalną rodziną, że jest to heroizm lub że jest to nieodpowiedzialne. Nie chcę być dzielna, chcę, żeby wszyscy byli tacy.

### **Andrzej Witecki**

Mamy piątkę dzieci. Na początek urodziło nam się trzech synów. Jako drugi urodził się nam Szymon z zespołem Downa. Ma teraz 13 lat. Po jego urodzeniu pytaliśmy się Boga, co chce, żebyśmy jako rodzina zrobili w tej sytuacji, i co jest Jego wolą dla nas. Pojawił się pomysł, żeby wziąć jeszcze jedno dziecko z zespołem Downa. W taki sposób pojawił się u nas Kuba, który ma obecnie 8 lat, a gdy go przyjęliśmy do rodziny zastępczej, miał rok i cztery miesiące.

On był z rodzeństwa bliźniaków. Jego matka wiedziała, że jedno dziecko będzie z zespołem Downa i chciała je usunąć. Lekarze powiedzieli, że nie są w stanie zagwarantować, że usuną to dziecko, które ona sobie wybierze „do kasacji”. Wtedy zdecydowała się je urodzić, ale powiedziała, że nie chce tego jednego znać. A my wiedzieliśmy, że takiego chłopca szukamy. Kiedy pojawiliśmy się w ośrodku adopcyjnym, na początku obiecywano nam dziewczynkę z zespołem Downa, ale potem dano nam teczkę z imieniem i nazwiskiem naszego Kuby. Rok i cztery miesiące czekał na nas, abyśmy mogli go przyjąć. Potem urodziła się nam jeszcze córka. To była kolejna odmiana. Żeby zagonić chłopców do prac domowych, zrobiliśmy tabelkę, dotyczącą dyżurów przy wyrzucaniu śmieci i innych obowiązków, natomiast nasza córka w wieku dwóch-trzech lat po zmywaniu naczyń pytała „może bym jeszcze błaty przetała?”



Andrzej Witecki

### **Marta Witecka**

Wierzyliśmy, że Bóg nas wzywa do tego, co robimy. Kuba w Domu Dziecka wydawał się być chłopcem bardzo spokojnym i radosnym. Po trzech tygodniach pobytu w naszym domu okazało się jednak, że wcale nie jest taki spokojny i w bardzo brutalny sposób okazywał swój ból, który w nim był. To był ból dziecka, które zostało porzucone przez biologiczną mamę. Niespodziewanie bił mnie, gryzł, krzyczał. On, jako dziecko wychowywane głównie przez panie w Domu Dziecka, bardzo potrzebował mężczyzny. Uwielbiał Andrzeja, natomiast ból swój okazywał wobec mnie, ale głównie wtedy, gdy Andrzej był w pracy i dlatego jemu ciężko było w to uwierzyć. Kiedy do nas przyjechał, nie stał nawet na czworakach, wymagał znacznej rehabilitacji. To głównie były powody naszych konfliktów. Gdyby nie Bóg i nasi przyjaciele, którzy się z nami modlili i postawili nas na nogi, nie wyznałabym przed Bogiem, co czuję wobec tego dziecka, że to jest dla mnie trudne, ale pomimo to chcę pozostać jego mamą. Mimo że oboje z mężem sprawialiśmy sobie wiele bólu, decyzja była taka, że skoro zdecydowaliśmy się na małżeństwo, to musimy znaleźć rozwiązanie i dojść do porozumienia. I dzięki modlitwie i pracy, ciężkiej pracy, bo to nie było jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zdecydowaliśmy, że idziemy dalej i walczymy z przeciwnościami. Kuba okazywał nam swoje trudne emocje jeszcze przez półtora roku. Dzisiaj możemy powiedzieć, że kochamy go tak samo jak nasze biologiczne dzieci. Gdyby nie to doświadczenie, to nie byłoby naszego małżeństwa, nie byłoby Kuby, bo on musiałby wrócić do Domu Dziecka. I aż strach pomyśleć, co by się stało z naszymi biologicznymi dziećmi. Wiemy, że bez Boga byłoby to niemożliwe.

Prowadzimy jedno ze spotkań małżeńskich w parafii Wniebowstąpienia na Ursynowie i mówimy młodym ludziom, że jeżeli uważają, że w świecie, w którym funkcjonują, dadzą sobie radę bez Boga, to są naiwni. Statystyka wskazuje jednoznacznie. Młode małżeństwa rozstają się coraz szybciej, coraz częściej w czasie pierwszego roku, bo nie dają rady. Świat mówi „Masz problem, pozbadź się go. Nie rozwiązuj go, tylko pozbadź się go”.



Marta Witecka

Obserwując Kubę i Szymona, doszliśmy do wniosku, że myślenie nasze i intelekt jest czymś oddzielnym niż nasz Duch i Wiara. W jaki sposób ci dwaj nasi chłopcy, intelektualnie niepełnosprawni, dotykani są przez Ducha Świętego? Byliśmy kiedyś na wyjeździe, gdzie była wspólna modlitwa. Był tam młody człowiek, który wrócił do Boga. Wcześniej Go znał, ale poszedł w świat. On przez cały dzień przebywał w wielkim namiocie i uwielbiał Boga. Czuliśmy Ducha Świętego, który unosił się nad całym obozem. Zwyczaj był taki, że dzieci kładliśmy przed dwudziestą i potem dorośli szli na wspólną wieczorną modlitwę. Szymon stwierdził, że on nie może iść spać, tylko chce do Jezusa. Wzięliśmy go na tę modlitwę i okazało się, że przez dwie godziny modlił się za człowieka, który palił papierosy i nie mógł porzucić tego nałogu. I wtedy właśnie został z niego uwolniony. Było też wiele takich sytuacji w domu, gdzie nasi chłopcy pokazywali, jak rozumieją cuda, jakie Jezus dla nas robi. Szymon w czasie wizytacji księdza, nic nie mówiąc, pokazał, jak Jezus umarł na krzyżu. Zastanawiałam się, jak on to zakończy, nie był w stanie powiedzieć, że Jezus zmartwychwstał, ale dodał: I żyje!

## Andrzej Witecki

Ostatnio obserwujemy kryzys męskości, kryzys ojcostwa, a to przecież Bóg ustanowił nas tymi, którzy prą do przodu, którzy dają swojej rodzinie światło i przewodnictwo i za takimi ludźmi chcą podążać nasze żony i dzieci. Było dla mnie zaskoczeniem, że koledzy, z którymi pracuję od wielu lat, nie słyszeli nigdy o takim modelu mężczyzny. Czytałem książkę „Wrażliwy wojownik” o człowieku, który był w armii amerykańskiej, w formacji podobnej do naszego BOR-u, który opisuje otrzymane sygnały od Boga, jak ma zmienić swoje życie. Większość mężczyzn wyobraża sobie, że jeśli potrafi zaspokoić byt ekonomiczny domu, ma poukładane życie w domu, odkłada i zarabia pieniądze i składa na emeryturę, to jest wszystko, czego życie i świat może od niego oczekiwać. A to jest zdecydowanie nie wszystko. Równie ważna jest strona duchowa. Nasze żony oczekują od nas, żebyśmy byli przykładem i tymi, którzy pokazują rodzinie przez swoją silną wiarę i stabilne życie przykład, jakim jest Bóg.

Mieliśmy niedawno takie doświadczenie. Staramy się modlić razem całą rodziną, a wtedy ta modlitwa wcale nam nie szła. Jakieś kłótnie, wrzaski, mieliśmy dziękować Bogu, a to w ogóle nie szło. W pewnym momencie Bóg mnie przekonał, żebym to przerwał i przeprosił przy dzieciach Martę. Następnie wróciliśmy do przerwanej modlitwy. Była to prawdziwa modlitwa z serca. Wszyscy zaczęli się przeproszać. Naprawdę poczuliśmy, jak Duch Święty przychodzi i porusza nasze serca.

Jeszcze jeden przykład. Gdy jeżdżę do pracy, wożę dzieci do szkoły. Był to czas, kiedy wiele rozmawialiśmy o dzieleniu się i wychodzeniu z miłością do drugiego człowieka. Zarówno Szymon, jak i Kuba uwielbiają kanapkę, która jest z początku chleba i zawsze jest ściganie, kto pierwszy ją chwyci. Szymon tym razem wylosował tę „piętkę”. Ponieważ wcześniej rozmawialiśmy o dzieleniu się i jak to możemy praktycznie zastosować, powiedziałem Szymonowi, żeby to spróbował zastosować, dzieląc się tą kanapką z Kubą. Szymon był tym zaskoczony, więc ja mu wytłumaczyłem, że to jest właśnie ta praktyczna miłość, że fajnie jest tak się dzielić. Widziałam

jego długie zmaganie ze sobą. Dla mnie było ogromną radością, gdy on w pewnym momencie powiedział „to masz, Kuba” i było to przekazanie tej kanapki z miłością.

### **Marta Witecka**

Chciałam jeszcze dodać, że pilnujemy i praktykujemy to, żeby uczyć się wersetów Biblii na pamięć i uczymy naszych chłopców np. o zbroi Bożej. W modlitwie prosimy Boga o różne rzeczy, na przykład o ratunek dla prześladowanych chrześcijan czy za Żydów, a na koniec Kuba przypomina „zespołu nie było”, czyli że nie modliliśmy się o ich uzdrowienie. On jest przekonany, że Bóg jest w stanie ich uzdrowić, chociaż medycznie jest to niemożliwe. Ta jego prosta wiara powoduje, że my bardzo często wracamy do Boga.

### **Ks. Tadeusz Bożełko**

Zanim oddam głos kolejnemu małżeństwu, pomyślałem sobie, że zrobię mały przerywnik. Autorka książki „Adam i Ewa po pigułce” uważa, że jednym z dramatycznych wpływów rewolucji seksualnej jest zmiana kodów, to znaczy, że kiedyś kobiety z pokolenia naszych dziadków żyły według schematu, że w dziedzinie odżywiania nie ma sztywnych reguł, ale w dziedzinie prokreacji i spraw seksualnych obowiązują normy moralne, których nie wolno przekraczać, obowiązuje przyzwoitość, której nie wolno od siebie odsuwać. Okazuje się, że wnuczki tych kobiet żyjące dzisiaj te kody przenoszą ze spraw seksualnych na żywienie. Są wegetariankami, wegankami itp., uważając, że w dziedzinie odżywiania są rozliczne zasady, których należy bezwzględnie przestrzegać, natomiast w dziedzinie spraw związanych z seksualnością to każdy ma prawo robić to, co uważa za słuszne i na co ma ochotę. Człowiek potrzebuje określonych reguł życia, tylko przeniósł je ze spraw związanych z seksualnością na żywienie. Znalazłem w dzisiejszej codziennej gazecie znamienne słowa: „w świecie, którym filozofów zastąpili kucharze, dietetycy i rośnie grupa ludzi uważających, że jedzenie to deklaracja światopoglądowa”. *O tempora, o mores!*

### Mariusz Dzieciątko

Jesteśmy małżeństwem od 18 lat. Mamy trójkę nastoletnich dzieci (17, 14 i 11 lat). Nasze dzieci nie chodzą do szkoły tak jak ich rówieśnicy, ale uczą się w domu. Edukacja domowa jest w Polsce stosunkowo świeżym zjawiskiem, jednak coraz bardziej popularnym. Jesteśmy także współzałożycielami Stowarzyszenia Edukacji w Rodzinie. Pomagamy rodzicom takim jak my.



Mariusz Dzieciątko (z mikrofonem)

Parę słów o tym, jak to się zaczęło. Otóż nasz drugi syn, Mateusz, urodził się za wcześnie, z dużymi problemami zdrowotnymi, włącznie z zagrożeniem życia. Nasza sytuacja była wtedy bardzo trudna. Otrzymaliśmy duże wsparcie od ludzi z naszej wspólnoty, którzy niemal nieustannie modlili się za nasze dziecko i za nas. Teraz możemy dziękować Bogu, że nie pozostały żadne ślady po tych wcześniaczych dolegliwościach. Jedyne ślad to jest niedomykalność jednej zastawki w sercu, ale wada ta nie daje żadnych objawów i syn może normalnie funkcjonować.

### **Joanna Dzieciątko**

Kiedy w drugim miesiącu jego życia poszłam do pani neurolog, ta stwierdziła, że pomyłono dokumentację. Mateusz wyglądał tak dobrze! W dokumentacji medycznej miał fatalną historię (łącznie z tym, że nie oddychał, kiedy się urodził, długo leżał pod respiratorem i ważył niewiele ponad 1,5 kg). Pani neurolog powiedziała, że to jest jakiś cud, że on tak wygląda. Zupełnie odbiegało to od historii choroby, którą miała przed sobą.



Joanna Dzieciątko

### **Mariusz Dzieciątko**

Gdy Mateusz osiągnął wiek, w którym poszedł do szkoły, do zerówki, już po tygodniu zaczęły się problemy z jego funkcjonowaniem. Zaczął się jękać i budzić w nocy z krzykiem i bólem brzucha. Pierwszym pomysłem, jaki nam przyszedł go głowy, było odroczenie edukacji, tak aby poszedł do szkoły z następnym rocznikiem. To się niestety nie udało. Chcieliśmy znaleźć jakiś sposób, żeby syn nie tracił możliwości edukacji, a z drugiej strony, żeby ta edukacja była dostosowana do poziomu jego dojrzałości. Wtedy dowiedzie-

liśmy się o możliwości edukacji domowej i zabraliśmy go ze szkoły. Mateusz był pierwszym naszym dzieckiem, które uczyło się w domu. Widzieliśmy, że to mu bardzo służy.

Ponieważ były to początki *home-schoolingu*, było wiele problemów formalnych. Obowiązywała rejonizacja, a pani dyrektor szkoły, do której on przynależał, niespecjalnie widziała w swoich planach coś takiego, jak uczenie dziecka w domu przez rodziców. Wiedzieliśmy, że są w Polsce rodziny, które omijając prawo, przemeldowują dziecko do innego rejonu, gdzie dyrektorzy szkół są bardziej przychylni. My tego nie chcieliśmy robić. Spotkaliśmy się z grupą rodziców, którzy mieli podobne przekonania i podjęliśmy wspólną decyzję o założeniu stowarzyszenia po to, żeby móc rozmawiać z politykami, z rządem, żeby doprowadzić do zmiany niekorzystnej ustawy. Czuliśmy, że jeżeli jest złe prawo, to spróbujemy to prawo zmienić, a nie go unikać czy obchodzić w jakiś sposób. Wyraźnie widzieliśmy tu działanie Boże, ponieważ zaczęły otwierać się przed nami drzwi, które do tej pory były zamknięte. Mogliśmy rozmawiać i mieć wpływ na ludzi, którzy decydowali o kształcie tej ustawy.

Opowiem pewną anegdotę, która nam się zdarzyła. W czasie kiedy staraliśmy się o edukację domową, pisaliśmy w domu wiele urzędowych pism, próśb, odwołań, wniosków itd. W pewnym momencie otrzymaliśmy od naszych dzieci podanie, z zachowaniem pełnej prawnej formy, o kieszonkowe. To był dla nich taki element edukacyjny.

### **Joanna Dzieciątko**

Kiedy widzieliśmy, że nasze dziecko nie zafunkcjonowało dobrze w szkole, zdecydowaliśmy się rozpocząć edukację domową. I chociaż byłam na sto procent przekonana do tego rozwiązania i wiedziałam, że jest to nasze powołanie, nachodziły mnie wątpliwości, czy na pewno poradzę sobie z dzieckiem, które jest wcześniakiem i które może mieć trudności w nauce. Czy moje dziecko nie potrzebuje raczej ekspertów od edukacji? Czy nie potrzebuje ludzi, którzy są należycie wykształceni w tym zakresie, żeby mogli przedstawić mojemu dziecku potrzebną wiedzę w taki sposób, żeby była ona najbardziej właściwie podana?

Pamiętam, że na jednym ze spotkań z innymi rodzicami jedna z mam, która miała szóstkę dzieci, rozwiązała moje obawy. Powiedziała mi, że jestem najbardziej kompetentną osobą do tego, żeby wychowywać swoje dziecko – dlatego, że jestem jego matką. To ja najlepiej znam swoje dziecko, jestem z nim na co dzień, obserwuję je i wspieram. Żaden ekspert nie będzie wiedział tak dobrze jak ja, co mojemu dziecku jest potrzebne. Żaden fachowiec nie zastąpi mnie jako matki w bliskiej i wymagającej relacji z dzieckiem. Po tej rozmowie oczywiście nie zrezygnowałam całkowicie z pomocy fachowców (wiedza naukowa bardzo nam pomogła), ale zyskałam pewność siebie, że robię to, co właściwe. Musiałam się doksztacić w wielu dziedzinach: w jaki sposób reedukować moje dziecko, jak nauczyć je, żeby pisało poprawnie, nie robiło błędów ortograficznych. Musiałam wiedzieć, jak radzić sobie z dysleksją, jak ćwiczyć rączkę, jakie ćwiczenia ogólnorozwojowe i z integracji sensorycznej u niego stosować, jak ćwiczyć synchronizację oczu i ręki i wiele innych. Rodzic, jeśli będzie potrzebował, zawsze znajdzie rozwiązanie lub pomoc. Natomiast zapadło głęboko w moje serce to, że rodzic jest najbardziej kompetentną osobą, żeby podejmować decyzje co do wychowania własnego dziecka. I to był przełom w moim myśleniu. Musiałam się tego uczyć.

Dzisiaj widzę, że wiele matek, które mają małe dzieci, jest nie pewne, co jest dobre dla ich dzieci. Część rodziców po prostu nie wie, jak radzić sobie z dziećmi. Obecnie matki i ojcowie są pozbawieni tej pewności. Obawiają się, czy są dostatecznie kompetentni, odpowiedzialni. Mają większe zaufanie do różnego rodzaju ideologii niż samych siebie. Dlatego chciałabym powiedzieć wszystkim rodzicom, że zaangażowanie w rodzicielstwo jest wystarczające do tego, aby być dobrym rodzicem. I nie chodzi o to, żeby nie korzystać z fachowej wiedzy, nie radzić się wykształconych ludzi, nie szukać pomocy, ale zawsze pamiętać, że to my, rodzice, w pierwszej kolejności mamy autorytet wobec dziecka. Dobrze pojęty autorytet, pełen miłości. Ten autorytet to dar od Boga. Kiedy dziecko jest małe, to ma serce zwrócone w kierunku rodzica. To od niego uczy się pierwszych słów, to rodzic towarzyszy dziecku w poznawaniu

świata, tego co dobre i co złe. Rodzic uczy relacji z innymi, wymaga, towarzyszy. To, co zaszczepimy w sercu dziecka, pozostanie tam na długo. Nikt nas w tym nie zastąpi.

### **Mariusz Dzieciątko**

Wróćę jeszcze na chwilę do czasu, kiedy staraliśmy się o zmianę kształtu prawa, aby rodzice podejmujący edukację domową nie musieli chować się gdzieś po kątach i przemeldowywać dzieci, zmieniać miejsca zamieszkania i tak dalej. Wydawało się to abstrakcją, szczególnie że była nas wtedy zaledwie garstka rodziców. Jednak najpierw modliliśmy się i dostaliśmy takie przekonanie w sercu, że Bóg stanie za nami. Wierzyliśmy w to. I rzeczywiście udało się w trybie ekspresowym! W ciągu półtora roku doprowadziliśmy do zmiany ustawy. Została zniesiona rejonizacja. Rodzice mają w tej chwili swobodę wyboru szkoły, gdzie mogą uzyskać zgodę na edukację domową. Po jakimś czasie także zniesiono ograniczenie, że tylko raz w roku można ubiegać się o taką zgodę. Teraz jest swoboda i można zabrać dziecko ze szkoły w każdym momencie roku i przejść na edukację domową dzięki staraniom garstki rodziców. Jesteśmy naprawdę wdzięczni Bogu, że mogliśmy mieć wpływ na kształt tej ustawy.

### **Joanna Dzieciątko**

Wielu rodziców pyta nas, jak wygląda edukacja domowa. Są na ten temat różne wyobrażenia. Niektórzy myślą, że to bardzo trudne, innym wydaje się, że jak dzieci nie chodzą do szkoły, to mają „wolne” przez cały czas i mogą nic nie robić. Jeszcze innym wydaje się, że chowamy dzieci pod kloszem i otaczamy z każdej strony rodzicielskim ciepłem.

Kiedyś musiałam zmienić termin lekcji muzyki dla mojego dziecka i zapytałam nauczycielkę, czy uczy w ferie, bo my uczymy się w domu, więc nas te urzędowe ferie nie obowiązują. Nauczycielka odpowiadając, wtrąciła – wy macie ferie przez cały rok.

Edukacja domowa nie oznacza, że dzieci nic nie robią, że mają cały czas ferie. Nie oznacza także, że mają nadopiekuńczych rodziców. Nasze dzieciaki ciężko pracują i stawiamy im wymagania i

wyzwania na ich miarę. Ponieważ czują się w warunkach domowych bezpiecznie i komfortowo, możemy stawiać przed nimi wyzwania, podnosić poprzeczkę i zachęcać do wyczerpanego wysiłku. Kształtujemy ich charakter, a nie tylko nappełniamy głowę wiedzą.

Każde nasze dziecko jest inne i dzięki edukacji domowej może rozwijać się w dziedzinach swoich zainteresowań i talentów. Nasz najstarszy syn Jakub ma teraz 17 lat. Pan Bóg obdarował go wyjątkową wrażliwością na innych ludzi. Jeżeli ktoś w jakimś środowisku jest wykluczony albo przyjeżdża z innego kraju i jest mu trudno porozumieć się z innymi, to nasz syn od razu to wyłapuje i troszczy się o taką osobę. Chodzi z tą osobą, tłumaczy jej, zajmuje się nią, pokazuje różne rzeczy, opiekuje się o nią. Są to cechy, które nie są oceniane w szkole, bo nie ma przedmiotu „przyjaźń”, natomiast my w domu je dostrzegamy i wzmacniamy. Chcemy, aby dzieci знаły swoje mocne strony. Drugi nasz syn Mateusz jest osobą, która jest bardzo wytrwała. Jeśli on coś postanowi, na przykład, że coś skonstruuje, to będzie przychodził do mnie wielokrotnie i będzie tak długo drażył temat, aż doprowadzi sprawę do końca. To też nie jest cechą ocenianą i premiowaną w szkole. Teraz stoi przed nami zadanie, aby tę wytrwałość przenieść także na inne dziedziny życia, a nie tylko te, które go pasjonują.

### **Mariusz Dzieciątko**

Ucząc dzieci w domu, mamy możliwość, aby rozwijały się w takich dziedzinach, które normalnie na tym etapie są w szkole pomijane. Na przykład, Kuba od ładnych kilku lat programuje w kilku językach, a Mateusz, czyli nasz czternastolatek, zainteresował się ostatnio giełdą i sam kupił książkę z tego zakresu i stara się studiować, jak giełda funkcjonuje, jak działa. Stawia pierwsze kroki. Przebywanie dzieci w domu daje nam szansę rozwijania w nich pasji. Dzieje się to często w sposób spontaniczny, ale i bardzo skuteczny. Wynika to z dostrzegania zainteresowań dziecka na danym etapie i wykorzystywania ich do dalszego rozwoju. Nie są narzucane przez system, który przecież jest jednakowy dla wszystkich, niezależnie od predyspozycji i cech indywidualnych.

Żeby jednak państwo nie nabrali błędnego przekonania, chcę wyjaśnić, że program szkolny nas oczywiście obowiązuje i dzieci muszą go realizować, niezależnie od tego, czy im się to podoba czy nie. Oznacza to, że rodzice w edukacji domowej muszą wiele wymagać od swoich dzieci. Dzieci tak naprawdę w domu pracują więcej niż w normalnej szkole. Edukacja domowa przypomina studiowanie, tylko że na takim znacznie wcześniejszym etapie. Dużą część pracy dzieci wykonują same, pod nadzorem rodziców albo z pomocą rodziców.

Dzięki indywidualnemu podejściu możemy dostrzec i wydobyć na światło dzienne to, czym obdarzył je Bóg. To nasze największe zadanie, aby nasze dzieci weszły w swoje powołanie i chciały iść w wierze i zaufaniu do Pana Boga.

### **Joanna Dzieciątko**

Wróć jeszcze do naszej córeczki. Przed wyjściem poprosiłam dzieci, aby na karteczce napisały mi swoje mocne strony i Ania mi napisała: „Bardzo lubię jeździć konno i lepić z plasteliny. Bardzo lubię odkrywać różne rzeczy. Lubię mieć przyjaciół (ona jest tak otwarta, że chciałaby wszystkich zaprosić do domu) i bardzo kocham Boga”.

Jest to dla nas potwierdzenie, że cała inwestycja w nasze dzieciaki, to staranie się ma sens. Jako rodzice wkładamy w to dużo pracy i wysiłku. Nie tylko stale się doksztalcamy, czytając różne książki, ale opieramy się również na opinii innych zaufanych ludzi z naszej wspólnoty. Pozwalamy i prosimy, żeby ktoś inny spojrział na nasze dzieci i powiedział nam, co robimy źle, a co dobrze. Taką konfrontację uważamy za coś bardzo wartościowego.

Kiedy patrzę na moje dzieciaki, jak one przychodzą do Boga w różnych sprawach, to nas buduje. Widzimy efekty wielu lat naszej pracy i tego, że zawsze staramy się być przed nimi autentyczni. Nie tylko to, że w niedzielę idziemy do Kościoła, ale też to, że stajemy razem i modlimy się. Dzieci nasze widzą, że jak się pokłócimy, to się przepraszamy i przebaczamy sobie nawzajem i że w praktyczny sposób okazujemy sobie miłość.

Byliśmy przed Świętami Bożego Narodzenia z naszą córką, która nauczyła się ledwo co grać na flecie, u kobiet, które leżały na oddziale onkologii (na ogół wypisuje się chorych przed różnymi świętami, ale niestety są chorzy, których stan jest na tyle zły, że nie mogą iść do domu). I nasza córka grała tym paniom kolędy na flecie, a my czytaliśmy im fragmenty z Pisma Świętego. Modliliśmy się o ich uzdrowienie. Dla mnie jest cudowne to, że mogę być z moim dzieckiem i pokazywać mu, jaki jest Bóg, jak działa i jak możemy okazywać miłość Bożą innym ludziom. To procentuje z naszymi nastolatkami, z którymi nie zawsze jest łatwo. Jest to ogromne błogosławieństwo, że można inwestować w nowe pokolenie i czuje wielką wdzięczność Bogu za to wszystko.

### **Lech Łubowicz**

Mamy trochę dłuższy staż, bo jesteśmy już 33 lata po ślubie. Nasze dzieci są już dorosłe. Pozakładały swoje rodziny. W tym roku spodziewamy się narodzin trójki wnucząt, a to oznacza, że będziemy mieli w sumie czwórkę. Początki naszego małżeństwa były trudne. Były to lata siedemdziesiąte. Puste półki, kartki. Mieszkaliśmy w wynajętej kawalerce, na trzydziestu metrach. Żona była w ciąży z trzecim dzieckiem. Słyszeliśmy różne komentarze, ale my cieszyliśmy się na nasze trzecie dziecko. Przystawiliśmy trochę meble. Z dwóch łóżek zrobiłem jedno piętrowe, żeby można było wstawić trzecie. Na szczęście mieszkanie było w starym budownictwie, więc nie było z tym problemu. Przez myśl nam nawet nie przyszło, żeby pozbyć się tego dziecka, bo za trudno, bo za ciężko, bo żona jest na wychowawczym, więc żyjemy z jednej pensji. W krótkim okresie po urodzeniu się trzeciego dziecka okazało się, że musimy zmienić mieszkanie i znaleźliśmy jeszcze mniejszą kawalerkę. Mimo to ten okres wspominamy bardzo miło. Dzieci się śmieją, że w tamtym czasie dostawały najwięcej prezentów, bo podwiesiliśmy choinkę pod sufitem, więc cała podłoga była do dyspozycji na prezenty. To co sprawiało, że przeżyliśmy te wszystkie trudne chwile, choć nie zawsze było łatwo, to opieka Pana Boga, jak i wsparcie różnych grup i wspólnot, i udział w corocznych rekolekcjach, któ-

rym zawdzięczamy formację duchową. To wszystko powodowało, że mogliśmy dzieciom przekazać fundament, który jest prawdziwą wartością.



Lech i Maria Łubowiczowie

### **Maria Łubowicz**

Kiedy patrzę na nasze życie z perspektywy ponad trzydziestu lat i zastanawiam się nad odpowiedzialnością rodzicielską, to nabieram pewności, że taka odpowiedzialność ciąży na człowieku od dzieciństwa do samego końca jego życia. Od dzieciństwa przygotowujemy się do odpowiedzialnego rodzicielstwa. Od tego, jak wychowamy swoje dzieci, jakie wartości im prześlemy, czy nauczymy ich zauważania potrzeb drugiego, służby innym, wyrzeczenia, rezygnowania ze swoich zachcianek, będzie zależała ich przyszłość, ich życie, małżeństwo, właściwie wszystko. Staraliśmy się tak wychowywać nasze dzieci, żeby fundamentem i największym dobrem, jakie chcemy im przekazać, była więź z Bogiem, osadzenie ich życia na przyjaźni z Chrystusem.

Mąż wspominał o naszych trudnościach mieszkaniowych. To rzeczywiście nie był łatwy czas. Jednak kiedy w końcu, po kilku latach, mogliśmy przenieść się do większego mieszkania, w którym każde z dzieci mogło mieć swój własny, oddzielny pokój, stwierdziliśmy, że chłopcy powinni jednak mieszkać razem, we dwóch, żeby nie było takiego wyobcowania, żeby ich egoizmy miały możliwość ścierania się, żeby mieli możliwość ustępowania sobie, uzgadniania pewnych ważnych kwestii wspólnie. Wiele osób dziwiło się, że stoi pusty pokój, a nasi synowie muszą mieszkać razem. Ich pokój był mały, więc nie było za wygodnie. Muszę przyznać, że nigdy nie żałowałam tego kroku. Wydaje mi się, że to była dobra decyzja, gdyż oni uczyli się właśnie tego, co może potem owocować w małżeństwie.

Tutaj wcześniej była mowa o nauczaniu domowym i wydaje mi się, że kwestia wyboru środowiska dla dzieci, wyboru szkoły, zapewnienia im odpowiednich kolegów i koleżanek na tym etapie, kiedy mamy na to jeszcze wpływ, jest bardzo ważna. Bardzo długo zastanawialiśmy się, do jakiego liceum posłać najstarszego syna. Dobrze się uczył, więc nie było problemów, żeby dostał się do którejś z renomowanych szkół. Uznaliśmy jednak, że trzeba mu zaproponować taką placówkę, do której będziemy mieli zaufanie. I tak obydwaj chłopcy skończyli szkoły męskie katolickie i znowu to była decyzja, której nigdy nie żalowaliśmy, bo oni w takim własnym męskim środowisku uczyli się niezwykłego szacunku do kobiet, odpowiedzialności, podejmowania właśnie męskich decyzji, więc jestem Bogu wdzięczna za te szkoły. Córka natomiast skończyła szkołę publiczną, ale też szukaliśmy takiego liceum, w którym wydawało się nam, że będzie bezpieczna, gdzie nie będzie panował „wyścig szczurów” i gdzie nie będzie nastawienia przede wszystkim na sukces. Szukaliśmy szkoły, która będzie mogła dać jej coś więcej. I rzeczywiście tak się stało.

To, czego doświadczamy dziś jako rodzice dorosłych już dzieci, zaczęło się, kiedy były one jeszcze małe. Uczyliśmy je życia w prawdzie, przyznawania się, jeśli coś przeskrobia, dzielenia się z nami tym, co trudne, co im nie wyszło. Wracając do lat, kiedy dzieci były młod-

sze: kiedyś zauważyliśmy, że nasza córka bardzo źle śpi, często płacze, budzi się w nocy. Skojarzyliśmy to z dobranockami, które oglądała i w ciągu jednego dnia wynieśliśmy telewizor z domu. Ponieważ dzieci miały świadomość, że coś im zostało zabrane, uzgodniliśmy, że w zamian za programy telewizyjne będą miały rekompensatę w postaci wspólnych wyjść do teatru, do kina, na jakąś wycieczkę, wystawę, muzeum i obowiązkowo zamiast dobranocki, codzienne czytanie im książek. Ta lektura ciągnęła się długo, nawet najstarszy syn lubił przysiąść się do nas, kiedy czytaliśmy tym młodszym i słuchać. Może to dzięki temu nasze dzieci uwielbiają czytanie do dzisiaj.

Odpowiedzialne rodzicielstwo to również świadectwo życia. To nie jest takie proste, aby żyć w taki sposób, żeby dziecko było przeświadczone, że to co robimy, jest rzeczywiście autentyczne. Jeśli dziecko widzi jakiś nasz brak autentyczności, jakiś fałsz, zakłamanie, neguje to, co wydaje się nam, że jest naszą wartością, a w rzeczywistości może nie do końca nią być. Wtedy nie zawsze jest łatwo powiedzieć dziecku, co jest dobre, a co złe. Ono ma już swoje zdanie i zaczyna dyskutować. Dorosłe dziecko chce żyć po swojemu i jeśli jest przekonane, że rodzice żyją tak, jak chcą tego wymagać od niego, to jest w stanie przyjąć prawdę z naszych ust, jeśli nie – będzie to trudne. Jako rodzice stajemy często przed takim dylematem, czy zdecydować się na powiedzenie dziecku prawdy o nim, prawdy, która często jest trudna, skoro wiemy, że zaneguje albo odrzuci nasze słowa, czy udać, że nie widzimy jakiegoś zła, albo że je akceptujemy tylko dlatego, że boimy się stracić kontakt z dzieckiem. Warto od początku rozmawiać z dzieckiem w ten sposób, żeby wiedziało, że rodzice nie przymkną oka na jego złe wybory czy ograniczenia. Wtedy gdy staje się starsze, takie rozmowy są prostsze.

## Dyskusja

### Elżbieta Mycielska-Dowgiało

Chciałabym nawiązać do sprawy poruszonej przez państwa Wi-teckich, że gdy przyjmuje się do domu dziecko z domu dziecka, pierwszy okres może być bardzo trudny.

Chcieliśmy mieć z moim mężem dużo dzieci. Nie określaliśmy, ile ich miałyby być. Niestety Pan Bóg dał nam tylko dwie córki. Ale potem wybrał nas sobie chłopiec właśnie z domu dziecka, który był już wcześniej trzykrotnie odrzucany przez ludzi, którzy mieli go adoptować. On nie wierzył, że zdecydujemy się nim opiekować jako rodzina zaprzyjaźniona. Sądził, że podobnie jak pozostali w pewnym momencie go odrzucimy. W związku z tym pierwszy rok to była katorga. Całym sercem chciał przychodzić do nas, ale równocześnie chciał, żeby to jak najszybciej się skończyło, bo nie wierzył, że to jest w ogóle możliwe. Dzisiaj ma przeszło 40 lat i jest bardzo do nas przywiązany.

Niezależnie od chęci i planów są małżeństwa, które mają mało dzieci. Jedno albo dwoje. Niesłuchanie jednak ważne jest to, żeby być otwartym na dzieci, żeby dom był otwarty, żeby każde dziecko było mile przez nas widziane. Doświadczaliśmy tego. Zawsze miło witaliśmy dzieci w naszym domu. Jest to też jakaś forma odpowiedzialnego rodzicielstwa.

I ostatnia rzecz, o której chciałam powiedzieć. Niesłuchanie ważna w wychowaniu jest wiara w swoje dzieci. Szczególnie dzieci nieśmiałe potrzebują dowartościowania. Niestety często rodzice hołdują zasadzie, że ważniejsze jest wytykać błędy dzieciom, niż dostrzegać ich dobre czyny. „To przecież jest ich obowiązek” – można usłyszeć. Podam dwa przykłady. Mam młodszego brata, który powtarzał klasę przed maturą. Był już pełnoletni, więc rodzice mogliby go wysłać do pracy, jednak cały czas wierzyli w niego i mówili mu, że on z tego wyjdzie, pozbiera się. Zdał maturę i poszedł na studia. Dzisiaj jest jednym z bardziej znanych w Polsce profesorów fizyki doświadczalnej z zakresu półprzewodników. Drugi przykład

dotyczy znanego nam przypadku. Młody człowiek, wychowywany przez matkę, skończył średnią szkołę, ale nie zdał matury. Trudno powiedzieć, jaki wpływ miała na to jego matka, która uważała go za mało zdolnego. Przez ożenek wszedł w rodzinę, gdzie opinia o nim była diametralnie inna. Był uznany za człowieka inteligentnego i zdolnego. W efekcie zdał maturę, skończył studia i zrobił karierę w swoim zawodzie. I gdyby nie ta wiara, może by „marchewkę” sprzedawał. Warto o tym pamiętać.

### **Zbigniew Witecki**

Rozpoczywałem swój staż małżeński w latach siedemdziesiątych i już grubo wcześniej wiedziałem, że chcę mieć dużo dzieci. Minimum trójkę, gdyż miałem tylko młodszego brata i sam doświadczyłem, jak to jest. Wiadomo – starszy silniejszy, młodszy słabszy. Starszy mądrzejszy, młodszy głupszy. Byłem bardzo złym bratem i stwierdziłem, że to chyba najgorszy układ, jaki może być, żeby mieć dwoje dzieci, a szczególnie dwóch chłopców. Szukałem więc dziewczyny, która zgodzi się ze mną co do modelu naszej przyszłej rodziny. No i taką znalazłem. Potem znalazłem potwierdzenie w literaturze pedagogicznej i psychologii dziecięcej, że to, co wymyśliłem na podstawie własnego życia, jest właściwe i mądre.

Lata siedemdziesiąte to był okres, kiedy zaczynało się mówić o naturalnych metodach planowania poczęć. Wkrótce stałem się nauczycielem tych naturalnych metod. W tym czasie polski lekarz, ginekolog z Płońska, na podstawie badań udowodnił, że można planować płeć dziecka. Zgodnie z tym zaplanowaliśmy, że najpierw będzie chłopak, potem dziewczyna, chłopak, dziewczyna. Łącznie mamy pięćcioro dzieci i w tej chwili już dziesięcioro wnuków. Kiedy mieliśmy już trójkę dzieci, Pan Bóg zdecydował, że trzeba nam dołożyć następne i w rok po urodzeniu trzeciego dziecka urodziła się nam dziewczynka. Okazało się, że metody naturalne mają pewien margines ograniczeń (tzw. dzień trzeciego miesiąca po porodzie), w który akurat trafiliśmy. Gdy żona poszła prywatnie do znanej ginekolog, ta spytała „to kiedy robimy skrobankę?” Żona z płaczem wybiegła z gabinetu. Pan Bóg dołożył nam jeszcze następne

dziecko. Wychodziliśmy z założenia, że odpowiedzialne rodzicielstwo to nie tylko naturalne metody planowania poczęć i płci dzieci, ale ich wychowywanie w miłości w sposób mądry i konsekwentny.



Zbigniew Witecki

Przez 9 lat musieliśmy mieszkać u rodziców. Trochę u moich, trochę u żony. Niestety, babcie chciały koniecznie nosić dzieci na rękach, a ja nie pozwalałem, bo uważałem, że dziecko ma się zająć sobą, kiedy ma sucho i jest nakarmione. Nasz najstarszy syn Andrzej był właśnie w ten sposób nauczony, że jak się budził i nas nie było, to siedział i się bawił. Kiedy miał rok, pojechaliliśmy do Ustronia na wczasy w prywatnym domu. Poszliśmy na cztery godziny w góry i wiedzieliśmy, że ponad dwie godziny powinien spać, a potem ma się spokojnie bawić. Wracamy, a pani, która nam wynajmowała pokój, zarzuciła nam, że zostawiliśmy dziecko samo. „Czy coś się stało?” spytałem. „Nie, wszystko w porządku, siedział i się bawił w łóżeczku, tylko jak można było dziecko zostawić?” Na tym polega wychowanie, że dziecko ma się zajmować sobą, a nie żeby absorbować wszystkich na życzenie i natychmiast.

Jedną z cech naszego małżeństwa była żelazna konsekwencja. Jeżeli mnie nie było parę tygodni w domu, bo na przykład prowadziłem rekolekcje gdzieś poza Warszawą, i żona zostawała sama z dziećmi, to kiedy wracałem i widziałem, że dzieci rozrabiają, pytałem, co się stało. Wszystkich zwoływałem i było rozliczenie, ale nigdy nie kwestionowałem tego, co żona powiedziała, i tak samo żona w stosunku do mnie. Dopiero po pewnym czasie następowała korekta. Podobnie konsekwentnie trzymaliśmy się zasad nagradzania i karania. Kiedy nasze dzieci były małe, bardzo modne było bezstresowe wychowanie. Nie stosowaliśmy go i wszędzie w nauczaniach wykazywaliśmy błędy, jakie ono niesie. Opieraliśmy się na wierze i zaufaniu Panu Bogu, że On wie, jak powinna wyglądać rodzina i byliśmy prowadzeni przez wspólnoty i duszpasterstwo, które nam pomagały we właściwym wychowywaniu dzieci.

### **Ks. Tadeusz Bożełko**

Od roku jestem na Ursynowie. Ursynów wyobrażałem sobie jako dzielnicę pełną dzieci. Dzisiaj wiem, że jest trochę inaczej i rodzin wielodzietnych jest tu niewiele. Trzeba więc dziękować Bogu za każde dziecko, które przychodzi na świat, i prosić, żeby ci, którzy wchodzi w wiek, gdy człowiek się zakochuje, pobiera i przekazuje życie, byli wielkoduszni i hojni w przyjmowaniu od Boga daru życia. Pamiętajmy, że miłość ze swej natury chce się dzielić i trzeba, żebyśmy tę świadomość zaszczepili młodemu pokoleniu rozpoczynającemu dojrzały etap życia. Niestety odpowiedzialne rodzicielstwo w odbiorze powszechnym oznacza głównie to, aby dzieci nie było za wiele. Zadzwoiła do mnie kiedyś dziewczyna z duszpasterstwa akademickiego, która odkryła, że nosi pod sercem czwarte dziecko i powiedziała, że powiadomienie dziadków o trzecim dziecku było bardzo trudne i teraz jest przerażona, wyobrażając sobie ich reakcją na czwarte. Zadzwoiła do mnie, gdyż była pewna, że się ucieszę. Dodałem jej otuchy, że Pan Bóg jak daje dziecko, to również daje i na dziecko. Powtarzałem często maksymę, że Pan Bóg daje rodzinie mieszkanie przy trzecim dziecku. Kiedyś pocieszałem tymi słowami zaprzyjaźnione małżeństwo,

które mieszkało w maleńkim mieszkanku na Ochocie. Pojawiło się u nich pierwsze, drugie, potem trzecie dziecko, a ja na kolanach modliłem się: „Panie Boże, spraw, by słowo twego sługi nie padło na ziemię”. I znalazło się mieszkanie w Pruszkowie. Można na to patrzeć z humorem, ale Bóg jest hojny i wynagradza tym, którzy potrafią hojnie i wielkodusznie odpowiedzieć na Jego wołanie o przyjęcie nowego życia. Bóg wynagradza swoim błogosławieństwem i swoją łaską. Przecież każdy człowiek więcej wnosi w świat niż kosztuje.

Jeszcze jedno świadectwo. Posługuję w parafii św. Tomasza i pewnej niedzieli widzę, że do chrztu jest niesiony chłopiec, a w ławce siedzi babcia dziecka, znana mi z raszyńskiej parafii, gdzie pracowałem zaraz po święceniach. Po Mszy świętej wyszedłem do nich. Okazało się, że to jest rodzina z dwanaściorciem dzieci. Kiedy pracowałem w Raszynie, na świat przychodziło właśnie to ostatnie, najmłodsze z rodzeństwa. Dzisiaj to dziecko to młody mężczyzna, z którego cała rodzina jest dumna. Ponieważ zna się na komputerach – to w rodzinie pełni funkcję nadwornego informatyka. Ktośkolwiek ma jakiś problem z tej dziedziny, to zwraca się do niego. Tak to Pan Bóg kreśli i wypełnia ludzkie losy. Trzeba się cieszyć z każdego nowego życia. Módlmy się, by dzieci było wśród nas jak najwięcej i by wzrastały, będąc świadectwem Bożej hojności, która przez rodziców ubogaca świat.

*Spisał z nagrania Marcin Borzęcki*

## **C.d. wypowiedzi otrzymane drogą korespondencyjną**

**Marcin Borzęcki** (Warszawa)

Ja niestety nie mam dużej rodziny. Moi rodzice nie mogli mieć więcej dzieci. Szybko też się niestety rozstali, więc mogę powiedzieć, że pochodzę z rodziny rozbitej. Wychowywała mnie mama i babcia. Ale dzięki temu, że działałam aktywnie we wspólnotach neokatechumenalnych, mam możliwość przebywać wśród rodzin wie-

łodzietnych, bo otwartość na życie i przyjmowanie go jako Dar Boży jest jedną z cech małżeństw wywodzących się z tych wspólnot. Takie rodziny, jak również świadectwa małżeństw zaproszonych na to konwersatorium są dla mnie znaczącym przykładem, że można żyć inaczej, niż każe świat, że można być otwartym na życie, nawet gdy to niesie ze sobą konsekwencje, choćby zmiany mieszkania, pracy czy nawet, co gorsza, choroby.

Chciałbym też odnieść się do tego, co pani profesor powiedziała o znaczeniu wiary we własne dzieci. Ja niestety w szkole byłem tak zwaną ofiarą. Często mi dokuczano, przezywano, poniżano. W liceum słabo się uczyłem i w tym czasie nieszczęśliwie się zakochałem. Wszystko to spowodowało, że musiałem powtarzać drugą klasę aż z ośmiu przedmiotów. Wysyłano mnie do psychologów, co niby miało mi pomóc. Stało się jednak inaczej, gdyż pani psycholog stwierdziła, że się nie nadaję do normalnego liceum, że ze mnie nic nie będzie, że powinienem iść co najwyżej do zawodówki, a najlepiej do jakiejś szkoły specjalnej. Tak się jednak nie stało, ale z powodu tych opinii ciężko było mi uwierzyć we własne możliwości i z trudem zdałem maturę. Wziąłem się za siebie na studiach. Udało mi się je dobrze skończyć.

Od dłuższego czasu nie mogę znaleźć stałej pracy. Widzę, jak ważna jest dla mnie, jako już dorosłego, trzydziestoletniego mężczyzny, wiara innych ludzi we mnie. Jak w moim otoczeniu jest ktoś, kto mówi mi, że się nie nadaję, że nic ze mnie nie będzie, to niestety ja się szybko poddaję, załamuję i sam nie wierzę we własne możliwości. Natomiast jak ktoś pokazuje mi, że się mną interesuje, że wierzy we mnie, to wtedy i ja czuję się lepiej i moje poczucie własnej wartości wzrasta. Mogę powiedzieć, że to właśnie dzięki wierze i mojemu oparciu w Boga, dzięki temu, że doświadczam Jego obecności i opieki, jest mi łatwiej żyć.

*Jakie są moje uzależnienia  
i jak z nimi walczyć?*

## Cytaty

Istnieją najróżnorodniejsze uzależnienia (m.in. od jedzenia, papierosów, alkoholu, leków, narkotyków, pracy, gier komputerowych, hazardu, seksu itp.). Często nie widzimy, nie zdajemy sobie sprawy, że jesteśmy uzależnieni.

### **Katarzyna Dobrowolska. Gdy chory jest cały człowiek (fragmenty)**

Siedzimy w pokoju u Maćka. Zwyczajny, młody człowiek. Ciemne, ostrzyżone na języka włosy, ufne spojrzenie, sympatyczny uśmiech, na palcu skromny różaniec.

– Pamiętam ten dzień w sierpniu tamtego roku. Przywiozła mnie tutaj ciocia (wychowuję się w rodzinie zastępczej). Oświadczyłem wszystkim, że nie zostanę, przecież nikt mi nic nie może kazać na siłę. Ona jednak wystawiła mi rzeczy, zatrzęsnęła drzwi swojego samochodu i odjechała. To był pierwszy zimny prysznic. Przespałem się tutaj i wyjechałem z ośrodka do domu. Ciocia nie przyjęła mnie, wróciłem na drugi dzień do Pałęg, na szczęście – mówi.

– Brałem przez 5 lat, od 14. roku życia. Nie wiedziałem, jak to jest żyć na trzeźwo, poznawać siebie i innych ludzi, przeżywać emocje. Na początku było picie imprezowe. Nie akceptowałem siebie, więc kiedy się napiłem, pokazywałem się wśród kolegów z innej, lepszej strony. W klasie bardzo dużo osób brało. Pewnego dnia spróbowałem marihuany, potem sięgnąłem po amfetaminę, metamfetaminę, dopalacze i popłynąłem. Kiedy ktoś w telewizji mówi, że są „miękkie” i „twarde” narkotyki, to plecie bzdury. Niczym się nie różnią, wszystkie te substancje uzależniają. Bierzesz i zwiększa się na nie tolerancja, potrzebujesz więcej i więcej, a potem staczasz się w dół. Narkotyki odebrały mi bardzo wiele: prawdziwe życie, uczucia i emocje, relacje z najbliższymi, zawałem szkołę. Narkoman żyje w iluzji, bez emocji i uczuć czy jakichkolwiek wartości. Oszukiwałem, kłamałem, bo liczyły się tylko narkotyki i pieniądze, aby je zdobyć.

– Tutaj zetknąłem się z zupełnie innymi wartościami, przede wszystkim z wiarą. Moja zanikała, nic nie znaczyła. Szufladkowałem księży, bliźnich, nawet bluźniłem. To nie było dobre. Żałuję. Moja terapeutka Kasia pokazała mi wiarę i to, kim jest Bóg. Zaczęła ze mną pracować. Mówiłem jej o swoich problemach, powoli odnowiłem wiarę. Zacząłem ufać ludziom. Bardzo pomogli mi także ojcowie franciszkanie z Ośrodka „San Damiano” w Chęcinach. Bóg postawił na mojej drodze ludzi, którzy mi pomagają. Teraz myślę, że Pan Bóg mówi: „Maciek, uwolniłem cię od narkotyków, jesteś wolny, żyj, radź sobie, wybieraj”. Czasem są chwile zwątpienia, ale wiem też, że Pan Bóg mnie nie opuści.

Niedługo kończę terapię. Czy mam obawy? To miejsce jest dla mnie domem, a tam – nie wiem, jak mnie przyjmą ludzie, czy zaakceptują. Ale wiem, że będzie dobrze. Mam wokół siebie trzeźwych ludzi, przyjaciół i miejsce, do którego mogę zawsze wrócić, nie będę sam.

Sukcesy? Zdałem do następnej klasy, a w ośrodku zdałem prawie wszystkie funkcje, a... i nauczyłem się gotować (tutaj są dyżury i robimy wszystko sami). Niedawno mogłem opowiedzieć o tym, co przeżyłem, w Radiu Kielce. Co potem? – Myślałem o teologii albo resocjalizacji. Chciałbym pomagać ludziom. Poznałem też dziewczynę. Bałem się, czy zaakceptuje to, co przeszedłem, ale kiedy byliśmy w Lutej, w Ośrodku Monaru, zagadnąłem do niej. Byłem otwarty i szczery, ona dała mi swój numer telefonu. Wszyscy mi gratulowali, byli ze mnie dumni (śmiech).

Niedługo Maciek kończy terapię i przeniesie się do hostelu. Zaczął już chodzić do grupy AN, która stanowi wsparcie w wychodzeniu z nałogu. Wrócił także do tenisa stołowego – kiedyś był w tym bardzo dobry. Zaczął również ćwiczyć grę na gitarze.

### **Leczymy całego człowieka**

W Pałęgach z uzależnioną młodzieżą pracuje zespół wykwalifikowanych terapeutów, którzy prowadzą z nimi warsztaty, terapię grupową i indywidualną opartą na najważniejszych wartościach. Kluczem do sukcesu w leczeniu jest zdobycie się na motywację i

podjęcie wewnętrznej refleksji. Bez tego trudno jest mówić o walce o trzeźwość. Trzeba być bardzo wymagającym i konsekwentnym, młodzi tego potrzebują, ale z wymaganiami musi iść w parze nieustanne wsparcie, tak by mieli poczucie, że komuś na nich zależy. W uzależnieniu chory jest cały człowiek, leczenia wymaga sfera psychiczna, fizyczna i duchowa. Kiedy młodzi tutaj przyjeżdżają, są zbuntowani na Kościół i Boga, ale w miarę jak prowadzona jest terapia, zmienia się ich nastawienie. Jest to ośrodek katolicki i my, jako terapeuci, nie wstydzimy się swojej wiary. Co niedzielę jest Msza św., sprawowana przez o. Pawła Chmurę – terapeutę i kierownika Ośrodka „San Damiano”, który ma bardzo dobry kontakt z młodzieżą. Młodzi mają dyżury w kaplicy, są adoracje i modlitwa w ciszy. To pomaga. W tym uzdrowieniu duchowym najczęściej przełomem jest pierwsza po długim okresie spowiedź, która wyzwala, daje siłę do dalszej walki o trzeźwość. Widzimy, że młodzi chętnie idą za pozytywnymi wzorcami, których większość z nich w domu nie miała – opowiada Katarzyna Jaromi, terapeuta z Ośrodka w Pałęgach.

### **Dr Piotr Chrabąszcz – Pomoc dla seksoholików (fragment)**

#### **Charakterystyka seksoholizmu**

Generalnie z punktu widzenia psychologicznego w sytuacji uzależnienia w sferze seksualnej, chodzi o chorobliwe, patologiczne nasilenie potrzeb i zachowań seksualnych wiążące się z przekraczaniem kolejnych zasad norm moralnych, społecznych, prawnych. Właściwie przestaje istnieć coś takiego, jak „norma” częstotliwości zachowań erotycznych. Należy podkreślić, że niejednokrotnie u źródła tych zachowań leżą problemy egzystencjalne i inne niezaspokojone potrzeby nieseksualne, takie jak np.: potrzeba akceptacji, bezpieczeństwa, szacunku, miłości, bliskości, życzliwości itp. Niezaspokojenie tych podstawowych potrzeb, zwłaszcza w dzieciństwie, może spowodować próbę rekompensowania braków poprzez sferę seksualną. Jak twierdzi M. Dziewiecki, staje się ona wtedy szczególnie atrakcyjna. Poprzez zachowania seksualne młody człowiek szuka wtedy uzupełnienia braków emocjonalnych w ro-

dzinie, lub tłumi swoje frustracje, lęki, samotność, podobnie jak inni do tego celu używają alkoholu, leków, czy narkotyków. Potrzeby seksualne są ważne i silne. Jeśli jednak nie zostały zaspokojone podstawowe potrzeby miłości, akceptacji, bezpieczeństwa, to osoba będzie odczuwała potrzeby seksualne wyjątkowo intensywnie i natrętnie. Zaspokajanie chorych potrzeb seksualnych powoduje powstawanie nowych. Uzależniony stopniowo traci kontrolę nad swoim postępowaniem i swoim życiem. Cechą charakterystyczną tego, jak i innych uzależnień jest doświadczanie wewnętrznego przymusu, w przypadku seksoholizmu do wykonywania czynności erotycznych (kompulsja), co łączy się z obsesyjnymi myślami i obrazami o treści seksualnej.

### **Lisa Ustok, Joanna Hughes – Pierwsze kroki do... wyjścia z uzależnienia od hazardu (fragmenty)**

Hazard jest popularną rozrywką oraz ekscytującą, wywołującą dreszczyk emocji formą podejmowania ryzyka. I właśnie z tych powodów może też uzależniać. Istnieje wiele miejsc, w których da się legalnie uprawiać hazard, począwszy od gry w pokera w domu kolegi, aż po kasyna w Las Vegas. W pubach stoją „jednoręcy bandyci”, można robić zakłady przez Internet, grać w bingo, kupować kupony na loterię i karty-zdrapki. Niemal wszystkie formy hazardu dostępne są na odległość – przez Internet lub przez cyfrową telewizję czy telefon.

Często wprowadza się rozróżnienie pomiędzy „hazardzistami towarzyskimi” i „patologicznymi”.

Wielu ludzi uprawia hazard w charakterze rozrywki i nie ma to niekorzystnego wpływu na ich życie. Takich ludzi nazwalibyśmy hazardzistami towarzyskimi. Postrzegają oni hazard jako formę rozrywki i traktują koszty z nią związane jako zapłatę za możliwość dobrej zabawy. Hazardziści towarzyscy mają całkowitą kontrolę nad tym, ile czasu i pieniędzy wydają na uprawianie hazardu, a jeśli chcą zrezygnować, są w stanie to zrobić.

W przypadku hazardzistów patologicznych mamy do czynienia z brakiem kontroli. Hazardziści patologiczni uprawiają hazard

nawet wtedy, gdy doświadczają negatywnych konsekwencji swoich nawyków związanych z hazardem.

Jeśli podejrzewasz, że hazard stał się dla ciebie problemem, pamiętaj o tym, że jest wiele osób, które znajdują się w podobnej sytuacji. Jednym z powodów, dla których hazard tak łatwo uzależnia, jest dreszczyk emocji lub podniecenie, jakiego dostarcza. Poza tym mamy jeszcze aspekt ucieczki od kłopotów i presji codziennego życia, jaki może zaoferować nam hazard. Kolejną pokusą jest możliwość wygrania pieniędzy – patologiczny hazardzista nieustannie próbuje rozpracować system.

Pomyśl, czy nie jestem już patologicznym hazardzistą, jeśli:

wydaję więcej, niż mogę sobie pozwolić, utrzymuję swoje upodobanie do hazardu w tajemnicy, traktuję hazard jako sposób na radzenie sobie ze stresem i innymi problemami, wydaję na hazard spore sumy pieniędzy, odczuwam przymus, aby uprawiać hazard regularnie, moje relacje z bliskimi i/lub praca zawodowa ucierpiały z powodu hazardu.

## KONWERSATORIUM LXXVIII

(21 marca 2015)

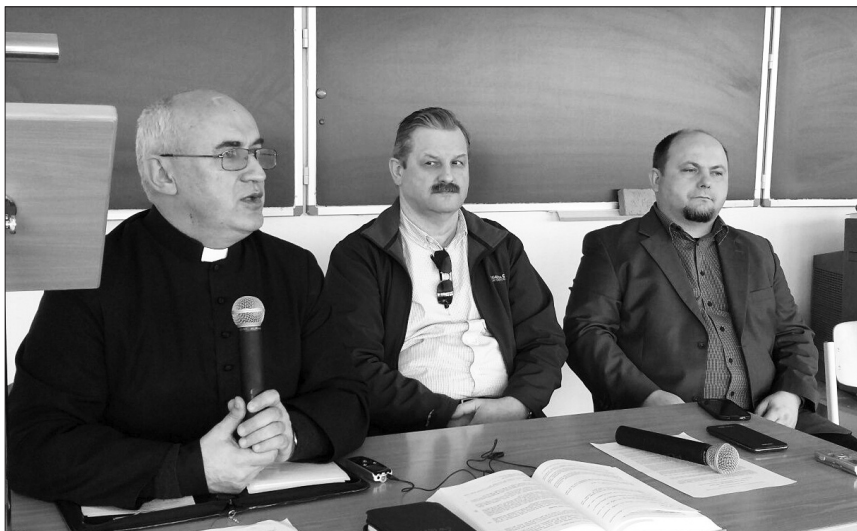
### Jakie są moje uzależnienia i jak z nimi walczę?

**Prowadzący:** **Ks. Tadeusz Bożełko**, kapelan Centrum Onkologii na Ursynowie, były dyrektor Wydziału Duszpasterstwa Rodzin Warszawskiej Kurii Metropolitalnej; **Artur Groszek**, pedagog, terapeuta uzależnień, kierownik Ośrodka Readaptacyjno-Rehabilitacyjnego w Piastowie, konsultant Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie; **Jacek Racięcki**, terapeuta uzależnień, związany z Centrum Pomocy Duchowej księży pallotynów.

#### **Ks. Tadeusz Bożełko**

Dzisiejszy temat nie jest łatwy, gdyż dotyka materii uzależnień, a po drugie, w pytaniu jest zawarte odniesienie do osobistych doświadczeń, o których człowiekowi zwykle trudno się mówi. Zawsze łatwiej jest coś powiedzieć o cudzych błędach.

Zanim przejdziemy do tematyki uzależnień, najpierw trzeba coś powiedzieć o samej wolności, ponieważ nie można mówić o ograniczeniu wolności, zanim się najpierw nie rozważy jej istoty. Czy człowiek jest istotą wolną? Różne filozofie i ideologie usiłują udzielić odpowiedzi na to pytanie. Są systemy ideologiczne, które nie uznają pojęcia wolności człowieka, mówią o jego determinacji, której człowiek podlega zarówno w sferze jego biologicznych zachowań, jak i w sferze społecznej i politycznej. Konkluzją takiego myślenia jest teza negująca ludzką wolność. To nie może być jednak prawdziwe. Człowiek jest rozliczany na podstawie różnych kodeksów postępowania, co zakłada, że jest zdolny do dokonywania wolnych wyborów, że ponosi odpowiedzialność za to, co robi. Równocześnie podlega wielu uwarunkowaniom i naciskom, płynącym zarówno z wewnątrz jego organizmu czy osoby, jak i świata zewnętrznego.



Paneliści. Od lewej: Ks. Tadeusz Bożełko, Jacek Racięcki i Artur Groszek

Dla nas takim wyjątkowym punktem odniesienia w tej dyskusji jest spojrzenie biblijne. Na stronicach Biblii poznajemy objawioną przez Boga prawdę o Stwórcy i o stworzeniu. Poznajemy prawdę o nas samych. Jednym z wyznaczników współczesnej kultury jest to, na co zwracał uwagę św. Jan Paweł II, że współczesny świat odrzucając Boga, odrzuca również Objawienie zawarte w Piśmie Świętym, a w konsekwencji odrzuca zawartą tam prawdę o człowieku. Pociąga to za sobą upowszechnienie się utopijnego, a zarazem fałszywego obrazu człowieka, co papież nazywał „błędem antropologicznym”. Upowszechnienie tego błędu w nauce i kulturze pociąga za sobą brzemienne skutki. W Biblii natomiast poznajemy prawdę, kim jesteśmy i jak powinniśmy postępować, żeby się rozwijać i stać się najlepszą wersją samych siebie. Dla osiągnięcia tego celu otrzymujemy od Boga porządek moralny, a zwłaszcza Dekalog.

Biblia wyraźnie wskazuje nam, że człowiek jest istotą wolną. Kilkakrotnie tekst święty zawiera słowa: kładę przed tobą życie i śmierć, dobro i zło – wybieraj. Człowiek może Boga przyjąć, ale może Go również odrzucić. Może kierować się ku dobru, szczęściu,

ku temu, co przynosi mu radość i rozwój, ale może niestety kierować się też ku temu, co go niszczy, osłabia, pomniejsza. Pan Bóg, objawiając nam prawdę o naszej wolności, wzywa nas do tego, abyśmy wybierali to, co nas buduje i co jest dla nas dobre. Gdy zajrzemy do Księgi Rodzaju, to na jej początku znajdziemy pochwałę dzieł stwórczych Boga, ale także opis upadku pierwszych ludzi. Zawarta jest tam prawda, że grzech człowieka jest wpisany w historię rodzaju ludzkiego od początku jego istnienia. Konsekwencją grzechu pierwotnego jest rana w duszy ludzkiej. Tam też należy upatrywać źródła upadków człowieka i tam należy kierować działania uzdrowieńcze. To właściwa diagnoza duchowego stanu człowieka i kierunek leczenia dla duchowej medycyny. Bezbożny świat nie ma o tym pojęcia i upatruje źródła niepowodzeń człowieka na zewnątrz jego istoty, np. w obowiązującym prawodawstwie czy systemie społecznym. Wszelkie rewolucje chcą uszczęśliwić człowieka, zmieniając świat wokół niego, a on potrzebuje uzdrowienia serca. Dlatego też ich działania kończą się jak zawsze – klęską i cierpieniem wielu zwiedzionych ludzi. Człowiek potrzebuje nawrócenia, aby odzyskać wewnętrzną harmonię, równowagę i radość z życia.

Żeby to zilustrować, podam kilka przykładów, jak rozumiana jest wolność we współczesnym świecie. Mówi się, na przykład, że człowiek wolny to jest ten, który robi to, co chce. Tego typu poglądy nie wytrzymują konfrontacji z życiem. Według tego sposobu rozumienia tak naprawdę wolny jest człowiek, który jest niemowlęciem albo który już w ogóle nie ma żadnych skrupułów, nie ma żadnych zahamowań, jest jakimś przestępcą. Oni realizują taki „ideal” wolności w całej pełni.

Inny sposób rozumienia wolności mówi, że „wolny jest ten, kto żyje w wolnym kraju”, ale przecież w krajach cieszących się demokracją jest wielu ludzi zniewolonych. Samo przeświadczenie o tym, że żyje się w wolnym kraju, pomaga człowiekowi w wyrażaniu swojej wolności wewnętrznej, ale wcale nie rozstrzyga, czy człowiek jest wolny od różnych uzależnień, o których będziemy mówili w dalszej części spotkania. Może być tak, że człowiek w demokratycznym kraju jest bardzo silnie zniewolony, a człowiek, który żyje w systemie



Ks. Tadeusz Bożelko

totalitarnym, cieszy się wewnętrzną wolnością. Przykładem takiej osoby może być błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko, który nam pokazał, że w rzeczywistości PRL, gdzie było tyle ograniczeń, można cieszyć się wewnętrzną wolnością i dawać o tym świadectwo.

Inny pogląd głosi, że „wolny człowiek to taki, który do niczego się nie zobowiązuje”, ale to też mija się z prawdą, gdyż z wolnością jest trochę jak z pieniędzmi. Jak mówił kiedyś ksiądz Marek Dziewiecki, człowiek ma naprawdę tylko te pieniądze, które wydaje, te, z których korzysta, i tak samo jest z wolnością. Wolność realizuje się poprzez wzięcie konkretnych zobowiązań, poprzez konkretne akty – inaczej pozostaje tylko pewnym kapitałem, który potencjalnie może być wykorzystany. Wolność wyraża się właśnie poprzez podejmowane zobowiązania.

Kolejny sposób widzenia wolności może być wyrażony słowami: „robię to, co uważam za słuszne”. Niestety na skutek tego, o czym już mówiliśmy, człowiek jeżeli robi to, co uważa za słuszne, często kieruje swoją uwagę na to, co jest łatwe, a nie na to, co jest prawdziwe, co jest wymagające i co jest konieczne, ale jednocześnie bywa

trudne. Jeżeli człowiek robi tylko to, co subiektywnie uważa za słuszne, to jego aspiracje życiowe, jego pragnienia ulegają znacznym ograniczeniom i w konsekwencji zaczyna robić to, czego wcześniej nie chciał. Chrześcijaństwo uczy ludzi życia w wolności, uczy korzystania z tej wolności. „Wolny jest ten, kto potrafi kochać” – mówi nasza wiara. Wolny jest ten, kto czyni dobro zawsze i wszędzie. Do takiej wolności Chrystus nas uzdolnił i do takiej wolności nas wzywa.

Ten wstęp ogólny jest nam potrzebny, żebyśmy mogli zobaczyć świat naszych uzależnień, a żyjemy przecież w świecie, który jest pełen agresywnych działań podejmowanych wobec człowieka, aby zawładnąć jego uwagą lub portfelem. Musimy najpierw zdemaskować ten stan rzeczy, a później zastanowić się, jak możemy temu przeciwdziałać.

### **Jacek Racięcki**

Uzależnienie to bardzo konkretny rodzaj zniewolenia, który wyraża się w określonych aspektach i przestrzeniach. Ktoś uzależniony przypomina osobę, która wchodzi z różnymi potrzebami do supermarketu, ale wybiera tylko to, co daje mu ulgę. Najbardziej znanym uzależnieniem jest alkoholizm, równocześnie dziś nasza wiedza o różnych uzależnieniach jest szeroka i z pełną odpowiedzialnością możemy powiedzieć, że takie rodzaje uzależnień, jak alkoholizm, narkomania, lekomania czy kłopoty z zaburzeniem łaknienia są dobrze opisane i znane. Jest jednak cała grupa mniej znanych uzależnień od czynności czy od postaw, które mniej są widoczne zewnętrznie. Gdy mówię o istocie uzależnienia, to odnoszę się najpierw do najbardziej znanego uzależnienia, jakim jest alkoholizm, jednak z doświadczenia audycji, którą prowadziłem przez dziesięć lat w Radiu Józef, widać było wyraźnie, że elementy myślenia, decyzji i wyborów osób, które nie mają bezpośredniego kontaktu z uzależnieniem substancjonalnym (alkohol, narkotyki, leki) są możliwe do zdiagnozowania. Wiele osób, które dzwoniło do audycji, mówiło, że mimo że nigdy nie nadużywały alkoholu, narkotyków czy leków, odnajdują się w opisanych sposobach myślenia i

ich działania są podobne. Dlatego proponuję, aby spojrzeć na kwestię uzależnień w szerszym kontekście, żebyśmy zobaczyli, że uzależnienie to jest sprofilowane zniewolenie.



Jacek Racięcki

Uzależnienie rozbija rodzinę, ale równocześnie chora rodzina tworzy uzależnionego. I poprzez różne formy zniewolenia dochodzimy do sprofilowanego zniewolenia, które staje się uzależnieniem. Na własny użytek warto zrobić proste doświadczenie. Zrobić tabelkę na siedem dni i każdego dnia oznaczyć godziny, na co je poświęcam i wtedy zbiorcze zestawienie pokaże mi, czy uciekam od przeżywania siebie, od wzajemnych relacji, od bycia wolnym w różne formy zniewoleń. W konsekwencji może to prowadzić do profilowania jakiegoś uzależnienia. Kiedy nie mam kontaktu z rzeczywistością, to idę w kierunku jakichś form uzależnienia, które zajmują mnie, jak na przykład pracoholizm, który wydaje się korzystny, bo przecież zarabiam pieniądze, a tak naprawdę nie mam na nic innego czasu. Sprofilowane zniewolenie obrazuje się tym, że zawsze kiedy uciekam, to uciekam w to samo. Na przykład, zawsze uciekam w telewizor, w komputer, w pracę, w środowisko pubu. Takie sprofilowane zniewolenie jest już uzależnieniem. Społeczne

skutki uzależnienia, szczególnie od substancji (alkohol, narkotyki, leki), są szybciej wykrywalne, środowisko może to szybciej zauważyć, zacząć szybciej działać. Przy fałszywej pomocy często utrzymuje się lub ułatwia funkcjonowanie osobie uzależnionej i utrwała jej uzależnienie.

Przejdę teraz do świadectwa z mojego domu rodzinnego. W czasach mojego dzieciństwa nic nie wskazywało na to, że jest coś nie tak, że jestem jakoś niekochany, odrzucany, mam niewłaściwe wzorce. Tak tamten czas czułem do momentu, w którym zrodziła się u mnie chęć zakosztowania wyzwolenia, czyli ten pierwszy bunt młodzieńczy, kiedy zapragnąłem samodzielnie funkcjonować. Zobaczyłem wtedy, że mam nadopiekuńczą matkę i krytycznego ojca. To mnie skonfliktowało wewnętrznie. Zgubiłem poczucie bezpieczeństwa i zacząłem szukać sobie środowiska na zewnątrz. To jest typowy przykład, kiedy brak zrozumienia w rodzinie powoduje, że szuka się swojego miejsca na zewnątrz. Były to lata siedemdziesiąte, kiedy nie było jeszcze zbyt dużo sekt, bo myślę, że wylądowałbym w którejś z nich. Natomiast związałem się z różnymi ruchami społecznymi, które były wtedy popularne. Znajdowałem w tych środowiskach odpowiednią przestrzeń do akceptacji i zrozumienia. Byłem tam zapraszany do alkoholu, narkotyków, papierosów jako wyznaczników dorosłości, w rzeczywistości do samowoli, z równoczesnym brakiem jakichkolwiek granic. Bardzo mi to wtedy pasowało. Wydawało mi się, że w mojej rodzinie jestem tak ograniczony, że nie mogę nawet swobodnie odetchnąć, a tam „hulaj dusza, piekła nie ma”. To mnie uwiodło. Chciałem znaleźć środowisko, gdzie będę przyjmowany i szanowany. Z drugiej strony bardzo mi zależało, aby mój ojciec skupił na mnie swoją uwagę. Zauważyłem, że gdy zacząłem wybierać zło, czyli nie uczyć się i tak dalej, to on więcej uwagi zwracał na mnie. Zacząłem więc dalej brnąć w tym kierunku. Im bardziej postępowałem niewłaściwie, tym bardziej ojciec skupiał na mnie swoją uwagę. To bywało często bolesne, bo uwaga ojca wyrażała się najczęściej laniem. Na skutek inspiracji rodziców wylądowałem poza domem rodzinnym w szkole wojskowej i tam się dopiero zaczęło. Siedemnaście lat, szkoła wojskowa, uważałem,

że jestem dorosły, dojrzały, wszystko mogę. Natomiast konsekwencje tego były takie, że zobaczyłem, że nie alkohol, nie narkotyki, ale pieniądze są dla mnie tym, co sprawia, że jestem przekonany o własnej wolności. Moim zniewoleniem stał się hazard. Z hazardem jest związane błędne przekonanie, że chodzi o pieniądze, a tak naprawdę chodzi o to, żeby przegrać, bo jak przegram, to mam motyw, by pokazać, jaki jestem kozak, bo zdobywam środki, aby grać dalej. Ten mechanizm dążenia po przegranej był u mnie szalony. Trzeba było pokonać ten trud i znowu znaleźć się na górze. Hazardzista nie potrzebuje miejsca do uprawiania hazardu. Hazardzista, żeby poczuć się lepiej, zakłada się sam ze sobą. Wszystko odnosiłem do hazardowego sposobu myślenia. Doświadczyłem ogromnej samotności, opuszczenia w fałszywym poszukiwaniu miłości w substytutach, które dają tylko uludę przyjemności. Doszedłem do takiego momentu, kiedy zobaczyłem całkowitą pustkę w sobie i wokół siebie, ponieważ wszystkie relacje zostały zerwane i doznałem absolutnego braku miłości. Miałem wtedy myśli samobójcze. Uważałem, że najwyższy czas, by zakończyć to wszystko. Tej nocy kiedy jeździłem po mostach warszawskich, szukając odpowiedniego miejsca dla realizacji moich samobójczych planów, przyszło do mnie wspomnienie świadectwa hazardzisty, który mówił o terapii odwykowej. Było to działanie Pana Boga, bo jak za dotknięciem różdżki, kiedy podjąłem terapię odwykową, wszystkie pozamykane drzwi, pozamykane relacje zaczęły się otwierać. Żadnego problemu nie było, żeby rodzice się na mnie otworzyli, nie było nawet problemu z załatwieniem miejsca w ośrodku. W ciągu dwóch tygodni znalazłem się w ośrodku i od tamtego czasu Pan Bóg jakoś pomaga, utrzymuję stabilnie swoją abstynencję. W tym roku w styczniu minęło już siedemnaście lat. Na początku myślałem, że to ja sam walczę, ale z perspektywy lat widzę wyraźnie, że to Pan Bóg we mnie walczył. Chwyciłem się ręki Pana Boga, który najpierw prowadził mnie bardzo delikatnie, nie ujawniając się przez dwa, trzy lata i doprowadzając do tego, że sam zacząłem Go szukać. Wtedy okazało się, że od początku mojej przemiany On był bardzo aktywny i każdy następny rok, każdy następny dzień z mojego życia

był potwierdzeniem tego, że Pan Bóg cały czas mnie prowadził i stał się źródłem tego, czego szukałem – doświadczenia miłości, która pozwala mi dzisiaj służyć innym. Prowadząc audycję w Radiu Józef, słyszałem wiele świadectw ludzi, którzy, podobnie jak ja, doświadczyli przyjęcia Pana Boga do swojego życia i Jego obecności. Kiedy Pan Bóg stawia na mojej drodze ludzi, których mogę obdarować, to wtedy zawsze mam poczucie wzrostu i radości.

### **Artur Groszek**

Jestem osobą, która pochodzi z rodziny tak zwanej katolickiej, czyli takiej, w której wartości chrześcijańskie były stawiane na ważnym miejscu. Wiarę jednak głównie przekazywała mi matka, ponieważ ojciec miał do tego stosunek bardziej luźny. Była umowa, że on będzie mnie prowadził do pierwszej Komunii Świętej, a potem to już nie. I tak rzeczywiście było. Miłość rodzicielska była przekazywana mi głównie przez matkę, natomiast tato był tą osobą, która miała korygować i pojawiać się w moim życiu tylko od czasu do czasu. W rzeczywistości był stale nieobecny, ponieważ ciągle był w delegacji. Będąc dzieckiem, ojca widywałem tylko w niedzielę lub w sobotę.



Artur Groszek

Konsekwencją tego było to, że wyszedłem na ulicę i szukałem kogoś, kto chciałby zwrócić na mnie uwagę, nie w kontekście czy zrobiłem coś poprawnie czy nie, tylko czy o czymś myślę, czym się interesuję, czy czegoś poszukuję i kim jestem dla świata. Odnalazłem to, wchodząc w różne grupy wywodzące się z ruchów punkowych, związanych z postawą negacji wszystkiego. Narkotyki i alkohol były tam czymś naturalnym jak oddychanie. Jeżeli młody człowiek nie znajduje akceptacji w środowisku domowym i wchodzi do grupy rówieśniczej, która ma wartości negatywne, to oczywiście podporządkuje się zwyczajom panującym w tej grupie. Zacznie pić alkohol, mimo że mu nie smakuje, brać narkotyki, po których być może będzie się czuł fatalnie, wszystko, aby zyskać akceptację grupy. Ja przeżyłem taką rzeczywistość. Wszystko miało na celu pokazać ojcu, że jestem wartościowy, tym, który nadaje się do tego modelu, który on sobie dla mnie wymyślił. Przyszedł też moment fascynacji pornografią, wchodzenie w onanizm. Wszystko to bardzo zniewala młodego człowieka. Już będąc w małżeństwie, przez wiele lat walczyłem o niezależność od tego rodzaju grzeszności. Widziałem, jak bardzo trudno jest wyjść z takiego zniewolenia, jak nie wolno bagatelizować pewnych zachowań w procesie dorastania, kiedy nikt nie mówi, że tak nie wolno. Gdy słyszę powiedzenie młodzieży „róbta co chceta”, to „nóż mi się w kieszeni otwiera”. To jest niestety prawda, że w ten sposób oszukuje się młodzież. Młodemu człowiekowi, który nie ma wartości wyniesionych z domu, który musi szukać sam swojego sposobu na wyrażenie siebie, najłatwiej wejść w taką filozofię. A konsekwencje tego są jasne – alkohol, używki, niebezpieczne zachowania. Ja sam nie byłem osobą uzależnioną od alkoholu, natomiast widziałem, że było pewne zniewolenie, któremu podlegałem, poprzez wchodzenie w rzeczywistość, w której bez alkoholu, bez narkotyków nie działa się nic. Przez kilka lat trwałem w takim myśleniu, że w imprezach, byciu z ludźmi, relacjach z dziewczynami, pomaga mi alkohol. Otarłem się też o świat przestępczy. Mieszkałem w miasteczku graniczącym z obwodem kaliningradzkim, więc wpłatałem się w przemyt. Skończyło się to jednak w dość spektakularny sposób. Na

jednej z imprez w ferworze upojenia wdałem się w bójkę (trenowałem sztuki walki i lubiłem się popisywać tym, co umiem robić), w następstwie której wylądowałem w szpitalu bardzo połamany. Wtedy okazało się, że przez trzy miesiące rehabilitacji nikogo przy mnie nie ma. Nie było tych wszystkich kolegów od narkotyków, od pieniędzy, od załatwiania różnych spraw. Pojawiły się natomiast osoby z Kościoła, których dawno nie widziałem. Dano mi Pismo Święte i powiedziano, że tutaj mogę coś znaleźć dla siebie, w tej sytuacji, w której jestem. I rzeczywiście zobaczyłem, że muszę się ratować i to jest jedyna szansa dla mnie, żeby zrobić to z Panem Bogiem. Później historię miałem burzliwą. Moje zacięcie żołnierskie spowodowało, że wstąpiłem do zakonu. Przez dwa lata nosiłem habit i byłem bardzo zaangażowany, po czym historia potoczyła się tak, że na własną prośbę wystąpiłem z zakonu i rozpocząłem pracę na ulicy z dziećmi, jakby po drugiej stronie barykady, czyli po drugiej stronie tego całego bagna, którego próbowałem wcześniej jako ten, który miał dostęp do narkotyków. Są różne sposoby prowadzenia terapii, a jednym z nich jest właśnie praca na ulicy, czyli wyjście do osób, które ciągle mają styczność z uzależniającymi substancjami, i próbowanie bycia z nimi. Nie moralizowanie ich, natomiast pokazywanie im, że jest inna droga, że jest alternatywa dla ich cierpienia. I tak to się potoczyło. Potem rozpocząłem pracę w ośrodku readaptacyjnym u księdza dr. Arkadiusza Nowaka i tak to już piętnaście lat trwa.

Powiem też o uzależnieniach, żebyśmy mieli świadomość, że te rzeczy, które na co dzień wydają się zakamuflowane, są w rzeczywistości ogromnie niszczące dla osoby uzależnionej i dla jej otoczenia. Zacznę od takich nietypowych uzależnień. Trafiła do mnie niedawno pani uzależniona od zakupów. Okazało się, że jej uzależnienie polega na poprawianiu sobie nastroju przez kupowanie kolejnych rzeczy i cały system rodzinny przez to padał. Cała rodzina traci grunt pod nogami. Zostaje zachwiana relacja z mężem, dzieci odstawione na boczny tor, brak pieniędzy, zadłużenia sięgają już dziesiątek tysięcy złotych. Szafy wypełnione ciuchami, z których nawet nie są zdejmowane metki. Mąż zastanawia się, czy ich ro-

dzina ma jeszcze sens i czy ma ratować swoje dzieci przed ich mamą. Chciałem o tym opowiedzieć, ponieważ mało wiemy o takich uzależnieniach, które czasami wydają się nam śmieszne, natomiast mogą być ogromnie destrukcyjne dla rodziny.

Drugi przykład. Tym razem chodzi o uzależnienie od komputera, od internetu. Jest to dzisiaj bardzo poważna sprawa, dotycząca również naszych dzieci, często już trzy, czteroletnich. Ostatnio był przypadek dziecka, które 48 godzin przebywało przed komputerem, grając w grę. Dziecko miało siedem lat. Rodzice zapytani, jak to się stało, że on tak dużo czasu spędził przed komputerem, odpowiedzieli, że nie wiedzą, było tak cicho, on jest taki grzeczny, zamknął się w pokoju i ładnie się bawił. Dziecko to było odrywane od komputera przez dwóch dorosłych pielęgniarzy, którzy nie byli w stanie tego zrobić. Dziecko trzymało się kurczowo klawiatury i myszki. W końcu został przewieziony do szpitala na obserwację. Przykład ten pokazuje, jak daleko może się posunąć rodzicielska nieodpowiedzialność.

### **Ks. Tadeusz Bożełko**

Dopowiem jeszcze parę uwag. W internecie znalazłem klasyfikację, według której najczęstsze uzależnienia XXI wieku to agresja jako sposób radzenia sobie z emocjami, obżarstwo jako zajądanie problemów, a poza tym alkoholizm, narkotyki, korzystanie z cyberprzestrzeni, czyli nie tylko z komputera, ale też z różnych konsoli do gier, komórek itp. Jest też problem seksoholizmu, zakupoholizmu, uzależnienia od pieniędzy, od ryzyka, a także uzależnienia od samego siebie. Te wszystkie uzależnienia stwarzają szerokie pole dla diagnozy, dla dostrzeżenia prawdy i do zmagania o uwolnienie. Bo jak podkreślał Jan Paweł II w encyklice *Veritatis Splendor*, wolność człowieka jest zadana i zagrożona przez czynniki, które są zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz człowieka.

Chciałbym jeszcze powiedzieć o kilku zagrożeniach. W czasie gdy pracowałem w duszpasterstwie akademickim, to jednym z naszych gości był profesor szkoły filmowej w Łodzi. Mówił do studentów: „jeżeli chcecie odpocząć, to nie siadajcie przed

telewizorem. Zalecam spacer albo jogging. Jeżeli siadasz przed telewizorem, to miej świadomość, że to jest wymagający pojedynek o twój czas, o twoją uwagę, o twoje pieniądze, o twoją akceptację. Nie można tego nazwać odpoczynkiem”. Po takim *dictum* pozbyłem się telewizora szesnaście lat temu, a na oglądanie telewizji schodzę do pokoju rekreacyjnego na plebanii. Patrząc z pewną rezerwą na ekran, zaproponowałem kolegom, abyśmy zapisywali tytuły reklamowanych środków medycznych. W krótkim czasie na liście znalazło się około stu specyfików. Były to lekarstwa na wszystkie dolegliwości. Spoglądając na ten spis reklamowanych medykamentów, można sobie uświadomić, jak wielu podlegamy naciskom i jak najwybitniejsze umysły od reklamy, od propagandy, od rozszyfrowania nas, a zwłaszcza naszych słabości wprost czyhają na to, żeby osiągnąć swoje cele względem nas.

## Dyskusja

### Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Na początku nawiążę do tego, o czym mówili obaj panowie – szukanie akceptacji u swoich ojców. Mając kontakt z dziećmi z domów dziecka, powiem o pewnej zaobserwowanej cesze u nastolatków adoptowanych lub trafiających do rodzin zastępczych czy tzw. zaprzyjaźnionych. Pierwszy rok, czasem dłużej, jest okresem szukania przez to dziecko akceptacji w grupach rówieśniczych. W tym czasie te dzieci wchodzi często w najróżniejsze grupy młodzieżowe, głównie z marginesu, właśnie dlatego, że tam łatwo znajdują akceptację. Jeżeli opiekunowie są tego świadomi, to przez odpowiednie kierowanie dzieckiem, z okazywaniem mu ogromnej sympatii, mogą je z tego „uzależnienia” wyprowadzić. Ale trzeba być tego świadomym.

Wydaje mi się, że przeciwdziałanie uzależnieniom to jest sprawa, której trzeba uczyć od dzieciństwa. Jeżeli dzieci, potem młodzież umieją odmówić sobie czegoś, to łatwiej jest im potem

zwalczać wszelkie pokusy uzależnień. Powiem o rozmowie z pewnym małżeństwem. Mają troje dzieci, najmłodsze ma siedem lat. W czasie Wielkiego Postu wszyscy, zarówno rodzice jak i dzieci, podejmują zawsze jakieś zobowiązania w dziedzinie, która dla danej osoby jest najbardziej kusząca. I w tej rodzinie był zwyczaj, że w Wielkim Poście dzieci nie jadły słodczy. W ubiegłym roku siedmioletni synek powiedział, że przez cały Wielki Post nie będzie grał na komputerze. Wielkim zaskoczeniem było dla rodziców, kiedy matka, zapominając o jego zobowiązaniu, zaproponowała mu grę na komputerze, a chłopiec odpowiedział „ja w Wielkim Poście nie gram”. I jeżeli wprowadzimy takie zwyczaje, to chyba jest to taka rzecz, która nam potem pomoże z różnymi uzależnieniami.

Powiem jeszcze o uzależnieniu od pracy społecznej, szczególnie groźnym, gdy się ma rodzinę. Praca społeczna wymaga aktywności cały czas, przez soboty i niedziele, wtedy kiedy powinno się być z rodziną. Ludzie zaangażowani społecznie poświęcają na to bardzo dużo czasu. To jest uzależnienie, na które trzeba bardzo uważać i trzeba je ograniczać, szczególnie w okresie, gdy nasze dzieci potrzebują nas najwięcej.

Innym groźnym uzależnieniem są przesady w rodzinie, na przykład jeżeli ktoś z rodziców jest przesadnie dewocyjne albo nadmiernie zmusza dzieci do nauki w różnych dziedzinach, często wbrew ich woli i talentom. Ma to wręcz przeciwne działanie, szczególnie w okresie tak zwanego buntu młodych ludzi.

### **Dorota Maciaś**

Wydaje mi się, że wiele uzależnień wynika z faktu, że nie umiemy przyjmować miłości. Łatwiej jest nam ją dawać. Niektóre osoby są uzależnione od altruizmu. Wszystko by dały innym ludziom, natomiast nie dowierzają, że ktoś może ich kochać. I stąd może powstawać też ten brak akceptacji.

### **Ks. Tadeusz Bożełko**

Kiedy odkryłem łaskę powołania, a kończyłem wtedy studia politechniczne, wybrałem się do kościoła seminaryjnego na spotkanie

dla kandydatów do seminarium i pamiętam, że tematem tego spotkania była wolność. Przeżywałem okres duchowego przebudzenia i bardzo przemawiało do mnie to, co usłyszałem: że wolny jest tylko ten, kto może wybierać dobro, kto może wybierać miłość. Jeżeli człowiek potrafi przewyciężyć przeszkody, które przeszkadzają mu iść drogą dobroci, miłości, dekalogu, to wtedy może o sobie powiedzieć, że jest wolny. Jeżeli z różnych powodów nie idzie tymi drogami, to wtedy doświadcza zniewolenia. To było dla mnie ważnym twierdzeniem porządkującym mój wewnętrzny świat.

### **Jacek Racięcki**

Nie ma wolności bez odpowiedzialności. Jeżeli nie ograniczę swojej wolności, nie ustalę sobie wartości, na których opieram swoją odpowiedzialność, to nie jestem wolny. Św. Paweł mówi „wszystko mi wolno, ale niczemu nie oddam się w niewolę”. Czyli dokonuję wyboru. Żeby był wybór, musi być granica. Jestem po jednej lub drugiej stronie. Tą granicą są wartości i przykazania. Człowiek zniewolony nie jest wierny własnym zobowiązaniom i nie stawia sobie granic. To jest pierwszy symptom, który może się pojawić już nawet u bardzo małych dzieci. Bardzo wiele zależy od prowadzenia dziecka przez rodziców. Nawet dwuletniemu dziecku można już dać kawałek wolności, uznać jego wolność. Pan Bóg obdarzył go wolnością. Rodzic ma go tylko tak prowadzić, żeby on umiał nią dobrze zarządzać. Jeżeli dziecko w wieku dwóch lat będzie umiało już poznawać swoją wolność, swoją odpowiedzialność za wolność, to dobrze o nim świadczy. Ono zacznie czuć się ważne, zacznie czuć, że wkłada coś w system rodzinny. Jeżeli nastolatki nie mają pojęcia granic, a w rodzinach patologicznych jest to standard, to wtedy dzieci potrzebują zderzenia z czymś, żeby czuć granice. Dziecko potrzebuje mieć swoją wolność, ale też znać granice. Nie można oczywiście patrzeć na siedmiolatka jak na dwudziestolatka.

Sam miałem takie doświadczenie. Dzięki swojej córce stawałem się odpowiedzialnym rodzicem i dzięki niej dojrzywałem. Dzisiaj nie zabraniam jej niczego, tylko mówię, co może być szkodliwe. Kiedy miała parę lat, mówiłem, żeby nie oglądała kreskówek. Ona

się buntowała, ale jak jej się potem przyśniło w nocy i z płaczem się obudziła, to przyznała mi rację. Czasem trzeba pozwolić doświadczyć, pozwolić upaść. Jak dziecko doświadczy na własnej skórze, to będzie to pamiętało. Uważam, że tu jest podstawa pracy nad rzeczywistą wolnością. Jeśli ktoś jest głęboko zniewolony, to jedyną możliwą dla nas postawą jest pozwolić mu doświadczyć konsekwencji zniewolenia. Mówiłem bardzo często w audycji, że jeżeli alkoholik leży pijany na torach, to jedyną pomocą jest położyć go wzdłuż torów, broń Boże zabierać go do domu. Jak przejedzie nad nim pociąg, to jest szansa, że się coś w nim poruszy. Ochronić życie, ale pozwolić doświadczyć tego, co jest konsekwencją jego upodlenia. Jeśli alkoholik budzi się rano po libacji w czystuńskiej pościeli w upranej pizamce, to nie będzie widział swojego problemu, kiedy jednak obudzi się w swoich wymiocinach, to wtedy inaczej na to popatrzy.

### **Artur Groszek**

Słyszałem takie ważne zdanie, że najwyższym stopniem wolności jest posłuszeństwo i bardzo mnie ono urzekło już w dorosłym życiu. To posłuszeństwo może stać się wolnością. Było wiele rzeczy, których nie umiałem rozwiązywać, mając już wolną wolę i mogąc już je rozwiązywać. Kiedy jednak pozwoliłem prowadzić się Panu Bogu i będąc posłuszny temu, o co Kościół mnie prosił w tych sprawach, zobaczyłem, że odzyskuję wolność. Różnego rodzaju uzależnienia odchodziły ode mnie nie moją siłą, tylko dzięki temu, że byłem posłuszny.

*Spisał z nagrania Marcin Borzęcki*

*Czy opieka nad chorym człowiekiem  
jest wzajemnym obdarowywaniem?*

## Cytaty

### **Błażej Tobolski – I ty czyn podobnie (fragmenty)**

Cierpienie obecne jest na co dzień w naszym życiu, a wciąż pozostaje tajemnicą i wywołuje w nas lęk, niekiedy wręcz przerażenie. Doświadczamy go na różne sposoby. To fizyczne często łączy się również z duchowym, kiedy bezsilni pytamy: „Dlaczego właśnie ja?”, kiedy osamotnieni w jego przeżywaniu tracimy nadzieję i chęć do życia. Tu nie ma prostych i wyczerpujących odpowiedzi, zwłaszcza że nierzadko po prostu ocieramy się o śmierć. Wiedzą o tym zwłaszcza nieuleczalnie chorzy pacjenci hospicjów – domów, skąd podobno widać przedsionki nieba. Niektórzy pogardliwie nazywają je „umieralniami”. Co jednak zaskakujące, odchodząc stamtąd do wieczności, chorzy są najczęściej uśmiechnięci i szczęśliwi. Jak to możliwe? Wiele wyjaśnia list napisany do jednego z nich przez Kornelię, uczennicę gimnazjum zaangażowaną w wolontariat hospicyjny:

„Obraz, który namalowałam, miał wnieść choć trochę radości do Twojego życia. Wiem, jak wygląda hospicjum «od kulis», ponieważ leżała tu moja kochana prababcia. Odeszła w Dzień Matki, dwa lata temu. Wiem, jak bardzo potrzebne są chociaż drobne gesty niosące radość. Mam nadzieję, że te żywe kolory, motyle i kwiaty wywołają uśmiech na Twojej twarzy. Jeżeli choć trochę uniosą się kąciki Twoich ust, będę z siebie dumna i nie zdajesz sobie sprawy, jak mnie to uszczęśliwi. Twój uśmiech wywoła mój uśmiech, a Twoja radość wywoła moją euforię”.

Wolontariusze medyczni, którzy muszą cechować się otwartymi sercami i hartem ducha, to podstawa funkcjonowania każdego hospicjum. To oni dopełniają posługę lekarzy i pielęgniarek, pomagając w codziennej opiece nad chorymi. Przede wszystkim mają jednak dla nich czas. Zawsze są gotowi porozmawiać czy też jedynie wysłuchać historii życia i choroby, obdarzyć uśmiechem, a niekiedy nawet po prostu przytulić. – Zwłaszcza w chorobie, w cierpieniu boimy się samotności. Wówczas bardzo istotne jest, aby człowiek

czuł, że jest ważny, potrzebny i kochany. Dlatego żadne osiągnięcia w dziedzinie medycyny nie zastąpią obecności drugiego człowieka przy chorym — podkreśla Barbara Grochal, koordynatorka wolontariuszy w poznańskim Hospicjum Palium.

### **Benedykt XVI – Kościół naśladuje Miłosiernego Samarytanina (fragment)**

Pragnę w tym miejscu wyrazić uznanie dla wysiłków tych, którzy codzienną pracą starają się zapewnić chorym nieuleczalnie i w fazie terminalnej – razem z ich rodzinami – właściwą i pełną miłości opiekę. Kościół, biorąc przykład z Miłosiernego Samarytanina, zawsze okazywał chorym szczególną troskę. Poprzez swoich pojedynczych członków oraz instytucje wciąż towarzyszy cierpiącym i służy umierającym, starając się chronić ich godność w tych istotnych chwilach ludzkiej egzystencji. Wiele z tych osób – pracowników służby zdrowia, współpracowników duszpasterskich i wolontariuszy – oraz instytucji na całym świecie nieustrudzenie służy chorym w szpitalach i ośrodkach terapii paliatywnej, na ulicach miast, w ramach programów opieki domowej oraz w parafiach.

Zwracam się do was, drodzy bracia i siostry, chorzy nieuleczalnie i w fazie terminalnej. Wzywam was, byście kontemplowali cierpienia ukrzyżowanego Chrystusa i razem z Nim zwracali się do Ojca, ufając w pełni, że każde życie, a wasze w szczególności, jest w Jego rękach. Wiedźcie, że wasze cierpienia, zjednoczone z cierpieniami Chrystusa, będą owocne i pomogą Kościołowi i światu. Modlę się do Boga, aby umocnił waszą wiarę w Jego miłość, zwłaszcza w próbach, które teraz przechodzicie. Mam nadzieję, że wszędzie tam, gdzie jesteście, zawsze znajdziecie duchową pociechę i siłę, potrzebne, by umacniać waszą wiarę i zbliżać was do Ojca życia. Kościół poprzez swych kapłanów i współpracowników duszpasterskich pragnie otoczyć was opieką i być z wami, pomagając wam w potrzebie i uobecniając w ten sposób miłosierdzie, jakie Chrystus okazuje cierpiącym.

## KONWERSATORIUM LXXIX

(18 kwietnia 2015)

### Czy opieka nad chorym człowiekiem jest wzajemnym obdarowywaniem?

**Prowadzący:** **Ks. Adam Zelga**, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; **s. Teresa Toczyłowska**, Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek od Cierpiących, absolwentka Wydziału Pielęgniarstwa Akademii Medycznej w Lublinie przez 20 lat nauczyciel zawodu w szkole pielęgniarskiej prowadzonej przez Zgromadzenie, obecnie pielęgniarka oddziałowa na oddziale chirurgii ogólnej w Szpitalu św. Anny przy ul. Barskiej w Warszawie; **Barbara Kowalska**, babcia 4-letniej Hani z dziecięcym porażeniem mózgowym, były wieloletni redaktor czasopism naukowo-technicznych.

#### **Ks. Adam Zelga**

Serdecznie witam wszystkich uczestników naszego kolejnego konwersatorium.



Ks. Adam Zelga

## S. Teresa Toczyłowska

Bardzo dziękuję za zaproszenie na to spotkanie. Cieszę się, że mogę w tym gronie podzielić się swoją radością i świadectwem z doświadczenia pracy z człowiekiem chorym. Temat ten jest bardzo bliski mojemu sercu. Zanim powiem swoje świadectwo, pragnę odwołać się do mojego życia zakonnego i bycia siostrą Franciszkaną od Cierpiących.

Na początek parę słów o powstaniu Zgromadzenia i o formie życia bezhabitowego. Początki Zgromadzenia, do którego należę, sięgają drugiej połowy XIX wieku, a więc okresu, kiedy Polska była pod zaborami. Powstanie Zgromadzenia jest ściśle związane z historią polskiego narodu, który po upadku powstania styczniowego był poddany licznym represjom władz zaborczych, a Kościół w sposób szczególny był przedmiotem wielu zarządzeń i decyzji władz, które miały uniemożliwić jego działanie. Kościół był utożsamiany z polskością i jednym z głównych celów zaborcy była całkowita likwidacja życia zakonnego. Władze chciały osiągnąć ten cel przez wprowadzenie zakazu przyjmowania nowych kandydatów do zakonów. Część zakonów była łączona. Siostry były przewożone do dużych domów, a małe były likwidowane. Odbierane były zakonnikom dotychczasowe własności. Od strony czysto ludzkiej i od strony władz carskich można było sądzić, że na początku XX wieku ten cel zostanie osiągnięty, bo rzeczywiście liczba osób w zakonach zmniejszyła się bardzo drastycznie. Pan Bóg jednak przewidział inną wersję wydarzeń. Powołał charyzmatycznego zakonnika, ojca Honorata Koźmińskiego, kapucyna, którego działalność dzisiaj określamy jako Ruch Honoracki. Ojciec Honorat w całkowitej izolacji, ponieważ był objęty zakazem działalności duszpasterskiej, z pozwoleniem jedynie na spowiadanie, mógł tylko pisać listy. Mimo że miał tak ograniczone możliwości, założył 26 zgromadzeń zakonnych, zgromadzeń bezhabitowych, ukrytych przed wzrokiem władz. Forma tych zgromadzeń była oparta na idei życia zakonnego, w czasie którego składane były śluby. Ojciec twierdził, że „życie zakonne jest instytucją boską i nie może zaginąć”. Każde z tych zgromadzeń, które zakładał ojciec Honorat, było posyłane do

innego obszaru życia społecznego. Były zgromadzenia, których celem była praca na wsi, w fabrykach, edukacja, troska o szaty liturgiczne, praca z trudną młodzieżą, w różnych środowiskach. Wśród tych zgromadzeń powstało również Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek od Cierpiących, które zostało posłane do pracy wśród ludzi dotkniętych cierpieniem, zarówno moralnym, fizycznym, jak i duchowym. Współzałożycielką Zgromadzenia była Kazimiera Gruszczyńska, osoba bardzo wrażliwa na ludzkie cierpienie.

Na początku Zgromadzenie nazywało się Siostry Cierpiących. Opiekowało się ludźmi chorymi, zarówno w różnych ośrodkach zorganizowanych, jak przytulki, noclegownie, szpitale, jak też i w domach prywatnych.

Kazimiera Gruszczyńska, której proces beatyfikacyjny obecnie trwa, widziała potrzebę kształcenia osób profesjonalnie zajmujących się opieką nad chorymi i jej marzeniem było założenie szkoły



Siostra Teresa Toczydłowska (z mikrofonem), obok Barbara Kowalska

pielęgniarskiej. Istotnym krokiem w tym kierunku było wysłanie w 1909 roku, kiedy jeszcze w Polsce nie było szkół pielęgniarskich, siostr na kurs do Hamburga, żeby po powrocie mogły kształcić inne siostry. Ostatecznie szkoła pielęgniarska została założona przez Zgromadzenie dopiero po pierwszej wojnie światowej, już po śmierci założycielki, a po drugiej wojnie światowej reaktywowana w roku 1992, po odzyskaniu przez Zgromadzenie swojej własności w postaci budynków.

Pytanie dzisiejszego Konwersatorium „czy opieka nad chorym jest wzajemnym obdarowywaniem?” i pozytywna na nie odpowiedź jest zgodna z misją i jej duchem, z jakim podchodzimy do tego w naszym Zgromadzeniu. Jako Zgromadzenie pielęgniarskie jesteśmy nastawione na pracę z ludźmi chorymi. Obecnie odbywa się to głównie w szpitalach oraz w państwowych i prywatnych placówkach służby zdrowia.

W moim świadectwie chciałabym się podzielić doświadczeniem z odległej mojej przeszłości, w której otrzymałam dużą dawkę darów od osób cierpiących, chorych. Było to w ośrodku prowadzonym przez księży Orionistów w Łązniewie. Znalazłam się tam około trzydziestu lat temu jako młoda dziewczyna, opiekująca się osobą chorą i nawet nie wiedziałam, co mnie czeka, kiedy jechałam do tego ośrodka. Okazało się, że były tam realizowane rekolekcje dla osób niepełnosprawnych, które tam przyjeżdżały z wolontariuszami i opiekunami. Patrząc na te osoby niepełnosprawne, chore, cierpiące w różny sposób, byłam pod ogromnym wrażeniem ich postawy, emanującej od nich radości i pokoju oraz tego, jak oni dzielili się swoimi pozytywnymi doświadczeniami z tymi, którzy się nimi opiekowali. Dla mnie to była znacząca lekcja. Przez wiele lat miałam w oczach kobietę czterdziestoletnią, która nigdy nie mogła stanąć na własnych nogach, ponieważ nie miała wykształconych stóp. Całe życie spędziła na wózku. Opowiadała, że najtrudniejszym dla niej czasem był okres około 19.-20. roku życia, kiedy koleżanki poznawały chłopaków, zakładały rodziny, a ona wiedziała, że nigdy jej nie założy i nie stanie na nogach. Mimo tego była osobą ogromnie pogodną, emanującą dobrocią i ciepłem. W Łązniewie było

wtedy zgromadzonych około stu dwudziestu osób, od których otrzymałam – wtedy kilkunastoletnia dziewczyna – dużą dawkę radości i dobra.

Myśląc o odpowiedzi na pytanie o wzajemne obdarowywanie, próbowałam ułożyć sobie w myślach rodzaj bilansu – ile daję, a ile otrzymuję. Nie da się tego rachunku przedstawić bez odniesienia do wiary i do świadomości tego, że wstępując do Zgromadzenia (przeszło trzydzieści pięć lat temu), oddałam swoje życie Panu Bogu. W praktyce przekłada się to na służbę człowiekowi cierpiącemu, a więc tak naprawdę ofiarowuję swoje życie chorym, do których zostałam posłana. Po stronie daru można wyliczać życie, młodość, to, że nie założyłam własnej rodziny, złożone śluby i konsekwentne życie tymi ślubami. Wydaje mi się, że to jest pośrednio coś, co ofiarowuję Panu Bogu i dzięki takiej postawie moje życie jest ukierunkowywane na chorych i mogę, przychodząc do pracy, rzeczywiście widzieć tych ludzi z ich cierpieniami, z ich problemami, mogę w drugim człowieku dostrzec cierpiącego Chrystusa. Równocześnie towarzyszy mi ogromna wdzięczność i świadomość tego, ile otrzymuję. Bardzo często docierają do mnie informacje zwrotne od osób, które modlą się za mnie, które dzielą się ze mną swoim życiowym doświadczeniem, z którego ja też czerpię ogromne korzyści. Daje to poczucie więzi i wzajemnych bardzo pozytywnych relacji.

W tej posłudze ludziom chorym bardzo sobie cenię czas pracy w szkole pielęgniarskiej, gdzie zyskałam doświadczenie w pracy z dziewczętami przygotowującymi się do zawodu pielęgniarskiego. Dobre przygotowanie ich do zawodu to też troska o ludzi chorych, z którymi będą one później pracowały. Szkoła nasza, prowadzona przez Zgromadzenie, wykształciła przeszło pięćset pielęgniarek, a więc jest to spory udział w kształceniu i przygotowaniu osób dobrze wykształconych i wrażliwych na potrzeby drugiego człowieka.

Tak jak już powiedziałam, spojrzenie na chorego cierpiącego człowieka przez pryzmat wiary jest dla mnie źródłem siły, aby tę misję podejmować codziennie na nowo i z radością. Cieszę się, że mam okazję złożyć to swoje świadectwo jako dowód wdzięczności

Panu Bogu za łaskę powołania. Dla mnie jest to ogromny dar, że Pan Bóg chciał mnie wybrać i postawił wśród ludzi chorych i chce czynić dobro przez moje ręce. Jestem w Zgromadzeniu już przeszło trzydzieści pięć lat i nigdy tego nie żałowałam.

### **Ks. Adam Zelga**

Bardzo siostrze dziękuję. Ja uczyłem pięć lat w liceum medycznym i bardzo to przeżywałem. Często czułem się dosłownie „przemaglowany” przez te nastolatki, z którymi potem, po latach spotykałem się w różnych szpitalach, ośrodkach, tam, gdzie były pielęgniarkami. I często słyszałem: „proszę księdza, teraz to my dopiero księdza rozumiemy”.

Z wielką radością witam panią Basię, z którą przyjaźnimy się od wielu lat, od czasu studiów, kiedy mieszkaliśmy w akademiku, ona w żeńskim, ja w męskim, naprzeciw siebie na ul. Kickiego. To wspólne poznawanie wielkiego miasta, konfrontacja z Warszawą, z uczelnią bardzo nas połączyło i do dziś jesteśmy grupką przyjaciół, która tamte lata wspomina jako jedne z najpiękniejszych w życiu. Basia miała tę radość, że wcześniej wyszła za męża, już na drugim roku studiów i dlatego teraz jest bardzo młodą i piękną babcią.

### **Barbara Kowalska**

Jestem emerytką, a w ostatnich latach czuję się przede wszystkim babcią Hani, która wymaga naszej opieki, gdyż ma dziecięce porażenie mózgowe.

Żeby przymierzyć się do tematu dzisiejszego konwersatorium, chcę wrócić do początków swojego małżeństwa. Mieliśmy dwóch małych synków i – jak większość rodzin – kłopoty z mieszkaniem. Tak się złożyło, że poznaliśmy wtedy starszego pana, byłego oficera Wojska Polskiego, Sybiraka, który zaproponował nam mieszkanie w zamian za opiekę. Wydawało się, że nie będzie to trudne, bo człowiek ciekawy, z piękną przeszłością, a nasze kontakty były bez zarzutu. Niestety, przejścia życiowe i wiek zrobiły swoje – pan Jan miewał przywidzenia, lęki, zdarzały się też dni, kiedy nie wstawał z łóżka i trzeba mu było we wszystkim pomagać. Wszystko to było

dla mnie, jako obcej dla niego osoby, bardzo trudnym doświadczeniem. Szczerze mówiąc, kiedy myślę o tym czasie, nie mogę powiedzieć, żebym się czuła obdarowywana. Żyłam przytłoczona, jak w pułapce. Nie wiedziałam, że to może być aż takie trudne.

Minęło wiele lat. Moja mama całe życie była słabego zdrowia. Wychowała czwórkę dzieci, w bardzo ciężkich wiejskich warunkach. Chorowała na reumatyzm i serce i coraz częściej trafiała do szpitala. Przyszedł czas, kiedy szpital niewiele już mógł pomóc – pół roku przed śmiercią moja mama wróciła do domu i już nie wstała z łóżka. Trzeba było się nią zajmować, jak zwykle przy obłożnie chorym. Odbierałam te wszystkie obowiązki jednak już inaczej, bo była to bliska i kochana osoba. Poza tym nie byłam tak bardzo zmęczona, bo główny ciężar opieki przejęły moja siostra i bratowa. Mogę powiedzieć, że dopiero przy mojej mamie nauczyłam się opieki nad chorym człowiekiem – troskliwej i dobrej, która tak bardzo nie męczy. Wtedy zrozumiałam, jak ważne jest bycie razem, rozmowa, a właściwie odwaga niezagadywania trudnych tematów, słuchanie, zwykle trzymanie za rękę. Kiedy mama nie mogła już mówić – nawet odmawianie za nią modlitwy. Widziałam w jej oczach, jakie to dla niej jest ważne, jak pomaga. Dopiero wtedy dojrzewałam do prawdziwej pomocy choremu człowiekowi.

Kilka lat później historia powtórzyła się z moim ojcem. Wstawał z łóżka coraz rzadziej, był coraz słabszy i spędziliśmy w takim stanie wzajemnego wspierania się prawie rok. Oboje, mama i ojciec zachowali do śmierci przytomność umysłu i można było z nimi rozmawiać, dyskutować, żartować. Starość, choroba i słabość mojego ojca, jego obecność, nawet w tym stanie, była dla mnie darem. To były piękne tygodnie, miesiące, kiedy było nam dobrze razem. Wiedzieliśmy, że on ma mnie, a ja mam jego blisko siebie. Brała w tym udział cała moja rodzina, czyli mąż i synowie, wspierała siostra i brat. Jestem pewna, że to był dar możliwości bycia ze sobą, dawania sobie radości, na które nie było czasu przez całe życie, poruszenia niektórych tematów, na które wcześniej nie było czasu w wirze obowiązków, różnych zadań i spraw. Można było wtedy przejść na inny poziom, na inną prędkość, być ze sobą i móc się tym nacieszyć.

A teraz historia mojej najpiękniejszej wnusi Hanusi (to prawda, jedyna jest taka na świecie i naprawdę śliczna). Mamy z mężem dwóch wspaniałych synów: starszy – Piotr jest singlem, młodszy – Adam ożenił się i pojawiła się nasza oczekiwana Hania. Otrzymała z dziesięć punktów Apgar, więc wydawało się, że będzie jak zwykle w każdej szczęśliwej rodzinie. Ale po dwóch, trzech miesiącach Hania zaczęła się źle układać do snu, występowały dziwne naprężenia. Zaproponowany terapeuta polecił nam jakieś techniki masażu, brania na rękę, układania, ale w końcu poradził, żeby zwrócić się do neurologa. Po kilku wizytach u kilku lekarzy nasze dzieci, rodzice Hani – Agnieszka i Adam, zaprosiły najbliższych na rodzinny obiad, w czasie którego bardzo dojrzałe, mądrze i serdecznie przedstawili rozpoznanie i perspektywy. Dowiedzieliśmy się wtedy, że Hania ma dziecięce porażenie mózgowe i że są różne stopnie tego porażenia. Bywają sytuacje, kiedy bardzo dużo da się naprawić, lecz również takie, kiedy to porażenie się pogłębia, choroba się rozwija i ogranicza wszystkie czynności człowieka. Trudne to było spotkanie. Nasz syn poprosił wtedy wszystkich o mobilizację i wsparcie, abyśmy byli przy Hani ze wszystkimi wolnymi siłami, myślami i żeby pomóc, jak kto może. Wszyscy, oczywiście, byliśmy całym sercem z nimi, co było naturalne – Hania jest bardzo pogodnym dzieckiem, uśmiecha się, jest ufna, widać, że nas kocha, jest szczęśliwa, a my wszyscy bardzo kochamy Hanię.

Byłam wtedy na wcześniejszej emeryturze, ale jeszcze pracowałam. W sytuacji, która zaistniała, zrezygnowałam ze wszystkich obowiązków służbowych i – wspierana przez bardziej mobilnych członków rodziny – przejęłam codzienną opiekę nad Hanią. Pojawiałam się u nich rano, żeby młodzi mogli wyjść do pracy, a po ich powrocie kończyłam swoją dniówkę. Rehabilitowaliśmy Hanię w różnych miejscach, różnymi metodami i na początku może było tego nawet za dużo. Oto jeden z grafików, który pamiętam: trzy razy w tygodniu wyjazd na Wrzeciono na terapię ruchową (to jest pod Laskiem Bielańskim, a Hania mieszka pod Lasem Kabackim, czyli po drugiej stronie Warszawy). Mieliśmy też regularne spotkania z psychologiem i z logopedą. Do Ośrodka Amicus z Fundacji



Hania

Zdążyć z Pomocą na Żoliborzu jeździliśmy na masaże, ćwiczenia kręgosłupa, zajęcia ruchowe i integracyjne. Korzystaliśmy też z uznawanej za dosyć drastyczną terapii metodą Wojty, która wymaga dużego zaangażowania, pracy, systematyczności. Były też lżejsze, ale nie mniej ważne ćwiczenia słuchu, aparatu mowy, postrzegania.

Hania ma już prawie pięć lat. Nie chodzi, nie raczkuje i nie mówi. Jej poziom rozwoju można porównywać do umiejętności ośmiomiesięcznego, może rocznego dziecka. Najwięcej aktywności Hani i jej kontaktu ze światem i z nami jest w jej oczach, gestykulacji, w „mowie ciała” – tylko w ten sposób pokazuje nam, że coś ją cieszy albo że coś jest nie tak. Bardzo rzadko, ale wyraźnie reaguje na złe bodźce – jeśli coś jej dokucza, Hania robi żalną podkówkę i potrafi tak szczerze się rozpłakać, że trudno zebrać myśli. Żyjemy nadzieją, że rehabilitacja Hani wytworzy jakieś nowe

ścieżki, że mózg podejmie jakieś działania, które usprawnią mięśnie. Choroba Hani – w wielkim uproszczeniu – polega na tym, że nie ma łączności między obiema półkulami mózgu, czyli nie wiadomo, czy u Hani powstaje pragnienie ruchu. Jeżeli nawet powstaje, to być może sygnał nie dociera do mięśni. Myśli, które powstają w głowie, bo to widać po jej emocjach, nie trafiają do aparatu mowy i – jak dotąd – żaden dźwięk, który Hania wydaje, a bywają dni, że jest rozgaworzona prawie cały czas, nie łączy się z sensem. Są to tylko dźwięki, emocje, natomiast nie jest to powtarzalny przekaz, który potrafimy odebrać i zrozumieć. Hania mówi do nas twarzą, radosną buzią, całym ciałem i to osiągnęliśmy, jeśli chodzi o wzajemny kontakt, natomiast w zakresie ruchu Hania nauczyła się już siadać. Przemieszcza się pełzając, turlając, przewracając się z boku na bok, ale nie umie się podnieść i poruszać na czworakach, nie mówiąc o wstawaniu czy chodzeniu. Pionizujemy ją, ustawiamy, próbujemy ćwiczyć równowagę. Jeśli jest prowadzona, do kolejnych kroków trzeba przestawiać jej nóżki. Wszystko to wymaga ciągłej obecności i cierpliwego ćwiczenia. Taka jest nasza codzienność.

Spśród tych zwykłych doświadczeń, które są dosyć monotonne i wydawałoby się, gdy się patrzy z boku, nieciekawe – chciałabym wyróżnić dwa wydarzenia. Pierwsze to była noc po rozmowie z dziećmi, kiedy dowiedzieliśmy się, że Hania ma porażenie mózgowie i że jest to już pewne. Gdy wróciliśmy do domu, nie mogłam spać, nie mogłam myśleć, nie mogłam się modlić, płakałam, miałam pustkę w głowie. W takich sytuacjach, żeby trochę się pozbierać, czegoś się uchwycić, zdarza mi się, że otwieram Pismo Święte – tak na chybił trafił. Fragment, na który wtedy natrafiłam, wstrząsnął mną i żebym potem nie pomyślała, że to sobie wymyśliłam, że może czytałam kiedy indziej – wtedy, koło drugiej w nocy, przepisałam przeczytane słowa. Od tej pory zawsze mam przy sobie tę sfatygowaną już kartkę, z zapisanymi wtedy wybranymi wersetami: „Biada sercom tchórzliwym, rękom opuszczonym i grzesznikowi chodzącemu dwiema ścieżkami. Biada sercu zniechęconemu: ponieważ nie ma ufności, nie dozna opieki. Pan jest litościwy i miłosierny, odpuszcza grzechy i zbawia w czasie utrapienia. Zachowaj spokój

serca i bądź cierpliwy, a nie trać równowagi w czasie utrapienia. Przyłgnij do Niego, a nie odstępuj. Bądź Mu wierny, a On zajmie się Tobą. Prostuj twe drogi i Jemu zaufaj”.

Od tego momentu uczucia smutku i opuszczenia zamieniły się w pewność, że Bóg jest koło nas, że trzeba się Go trzymać, że trzeba korzystać z tej łaski, bo tylko w ten sposób możemy się wesprzeć. Trudno znaleźć w sobie siłę, kiedy ma się perspektywę, że ktoś tak bliski ma przyszłość w chorobie, być może w braku świadomości, a może nawet nie podjąć podstawowych czynności życiowych. Dlatego ten nocny przekaz był dla mnie umocnieniem i nadzieją – znakiem Miłosierdzia specjalnie dla mnie i mojej rodziny.

W zeszłym roku Hania poszła do specjalnego przedszkola. Kadra tego przedszkola co roku organizuje jakieś wydarzenie artystyczne. Dwa lata temu była to sztuka o brzydkim kaczątku, wystawiona na scenie domu kultury, z fachowym przygotowaniem, z muzyką i kostiumami. Grali w nim rodzice ze swoimi dziećmi. Pod koniec ubiegłego roku dwie nasze wychowawczynie przygotowały autorski film „Przedszkole z Bożym Narodzeniem w tle”, który zaczyna się od zwykłych czynności: zakładania bucików, ubierania dzieci, co w przedszkolu specjalnym nie jest takie proste. Potem widzimy przedświąteczną krzątanicę: dzieci zespołowo przygotowują pieczenie pierniczków, pracowicie malują, wycinają, kleją zabawki, ubierają choinkę, przychodzi Święty Mikołaj. Nagle w przedszkolnej sali udekorowanej na nieboskłon, w wiklinowym koszu pojawia się nasza Hania jako Dzieciątko i rodzice przebrani za Maryję i Józefa. Przybywają pastuszkowie, Trzej Królowie, mamy coraz więcej ciepłego, świątecznego nastoju. Film prowadzi muzyka: z początku w pewnym rozgardiaszu, potem – im bliżej Świąt – coraz więcej kołęd, a końcowe sceny z Dzieciątkiem i Trzema Królami to już jedna wielka radość. Obrazy, kolory, muzyka, narastające tempo filmu, wszystko jest takie radosne, ciepłe i szczęśliwe. W tym słodkim nastroju film kończy się życzeniami od dyrektorki przedszkola, burmistrza dzielnicy i księdza. Ksiądz składa życzenia na tle pustej ściany, na której widać wielki krzyż. Zaskoczyła mnie ta zmiana estetyki: przed chwilą święta, żłóbek, ciepło i

miło, a tu nagle życzenia na tle surowego krzyża. A zaraz potem, trochę zawstydzona takim skojarzeniem, pomyślałam, że wszystkie dzieci, które wystąpiły w tym filmie, które mamy pod opieką i w sercu, to jest nasz wielki krzyż, na całe życie, którego nie unikniemy. I od nas zależy, jak do niego podejmiemy. Jeżeli będziemy od niego uciekać, wycofywać się czy uchylać, wtedy krzyż stanie się nie do udźwignięcia, może przytłoczyć. Ale jeśli do krzyża podejdziesz z ufnością, całym sercem, z miłością, tak jak ja do Hani, to – mimo że czasami przychodzą trudne dni, przeciążone wyjazdami, ćwiczeniami, przedszkolem, grafiką ćwiczeń domowych, jak i bezpośrednią obsługą Hani, bo trzeba ją nosić i przewijać – jego ciężar jest oparciem. Bolesna jest oczywiście świadomość, że nie wiadomo co będzie dalej, na ile Hania będzie samodzielna, czy trafi na dobrych ludzi. Krzyż na pustej ścianie pomógł mi sobie uświadomić, że wszystko jest w rękach Boga, zaufać. To, co jest zależne ode mnie, chcę przeżyć jak najlepiej.

Zawsze byłam osobą raczej zasadniczą, może zbyt zatroskaną, a teraz przy Hani widzę, że mam w sobie dużo więcej spokoju, radości i potrafię przyjmować innych łagodniej. Zdarza się nam czasem, że ktoś podchodzi i pyta „jak ta dziewczynka ma na imię, bo chciałabym się za nią pomodlić”, przypadkowo spotkana lekarka mówi: „walcz, malutka, widać, że ci się udaje” albo nieznajoma dziewczyna w metrze przejeżdża dwa przystanki, zauroczona rozmową z nami. Nawet serdeczne spojrzenia obcych ludzi bardzo pomagają, a szczęśliwe, uśmiechnięte oczy Hani otwierają na takie gesty moje serce, wzmacniają je nadzieją, dają siłę i radość.

### **Ks. Adam Zelga**

Podzielię się dwoma doświadczeniami z parafii. Kiedy zostałem proboszczem, w pierwsze piątki chodziłem do chorych z Komunią Świętą. Przychodziłem też do jednego z bloków, do pewnej rodziny. Trafiałem tam zawsze na koniec i – zawsze piliśmy herbatę. Poza chorą matką była tam wspaniała córka ze swoim mężem. Poruszający był ten klimat opieki córki nad mamą i zięcia nad swoją teściową – obraz wspólnoty pokoleń.

Po latach, pół roku temu dowiedziałem się, że córka odwiedzanej wcześniej kobiety umiera na raka i wtedy zacząłem znów chodzić do tego domu, towarzysząc jej w umieraniu. Ogromnie mnie ubogaciło, gdy obserwowałem, z jaką miłością mąż opiekuje się swoją chorą żoną. Traktował ją zwyczajnie, po prostu, ale jaka piękna była jego miłość do niej w tym czasie odchodzenia. Chciałbym też podkreślić ogromne znaczenie hospicjum domowego i obecność ludzi, którzy jako wolontariusze decydują się na towarzyszenie ludziom w ostatniej fazie życia. Przychodziło tam kilka osób, między innymi lekarka i pielęgniarki oraz wolontariuszki z hospicjum domowego. One robiły to zupełnie bezinteresownie. W czasie paru miesięcy, kiedy odwiedzałem ten dom, zawsze widziałem nad łóżkiem chorej wiszącego motyla. Jedna z pielęgniarek malowała te motyle i zmieniała je co kilka tygodni. Towarzyszyły one odchodzącej pani.

I drugi przykład. Miała tu być z nami pewna osoba, mama dziecka, jednak się nie zdecydowała. Na jednym z osiedli, naprzeciw waszej szkoły, zachorował chłopczyk na raka mózgu. Byłem w tym roku u niego po kolędzie. Zobaczyłem wspaniałego, radosnego chłopczyka z dwoma szramami po operacji na głowie. Poruszyła mnie ogromnie reakcja osiedla (jedynego takiego na terenie mojej parafii), skupiającego ludzi, którzy potrafią wznieść się na poziom zainteresowania kłopotami sąsiadów. Czuje się tam wspólnotę serc. Całe osiedle jest zatroskane o życie chłopczyka, o bycie i wspieranie jego mamy i taty.

Jeszcze ostatnia sprawa, o której chce wspomnieć. W połowie lat dziewięćdziesiątych odwiedziłem pewną osobę w parafii Świętej Trójcy na Powiślu. Mieszkała ona na dziewiątym piętrze, w pokoju, gdzie nie było kuchni, tylko aneks kuchenny. Chodziła z wielkim trudem i największym problemem było dla niej zmywanie naczyń. Opowiedziała mi wtedy swój sen. Śniło jej się, że jest bardzo zdemnerwowana, bo musi pozmywać naczynia, i wie, że nie da rady. Wtedy zobaczyła Pana Jezusa, który do niej mówił „ty się zajmujesz naczyniami, a ja tam umieram na Golgocie. Chodź i pomóż mi”. Ona – w śnie – nie wiedziała, jak może Mu pomóc. Końcówka tego

snu była taka, że cały czas męczyła się, by dotrzeć do stóp Golgoty i jak tam w końcu dotarła i stanęła pod krzyżem, wsparła nogi Jezusa na swoich ramionach i tak Mu pomogła.

## Dyskusja

### Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Powiem o trzech świadectwach, które znam z opowiadań naszych przyjaciół lub doświadczyłam osobiście. W Poznaniu w jednej z dzielnic mieszkali prawnicy, bardzo znany poznański adwokat i jego żona. Znani byli z szerokiej działalności charytatywnej w obrębie dzielnicy, a szczególnie w obrębie swojej parafii. W czasie kiedy ona spodziewała się ósmego dziecka, dowiedziała się, że jej mąż ma nowotwór trzustki. To były lata sześćdziesiąte. Wtedy w parafii powstała inicjatywa odmawiania nowenny w intencji uzdrowienia tego człowieka. Zakończenie nowenny zbiegło się z kolejnymi badaniami lekarskimi chorego. Lekarze wtedy stwierdzili, że musiała zająć pomyłką, bo raka trzustki nie stwierdzono. Od tego czasu – jak opowiadała córka tych państwa – drzwi się u nich nie zamykały, bo wszyscy, którzy uczestniczyli w nowennie, teraz chcieli zobaczyć uzdrowionego. Wiele z tych osób, szczególnie samotnych, zostało zaproszonych na wspólną Wigilię Bożego Narodzenia.

Druga historia była opowiedziana nam przez przyjaciela mojego męża z Poznania. W środowisku poznańskim znana była dziewczyna, która była sparaliżowana i poruszała się tylko na wózku, ale skończyła prawo. Mimo że cały czas była zdana na opiekę innych ludzi jako niepełnosprawna, była równocześnie otoczona ludźmi, którym za darmo udzielała porad prawnych. Gdyby zrobić bilans, kto więcej otrzymuje, czy ona od przyjaciół, którzy się nią opiekują, czy ci wszyscy, którym ona pomaga, byłoby trudno osądzić.

Trzecie wspomnienie, do którego chciałam nawiązać, to ostatnie lata mojego ojca, który już nie wychodząc z domu, mieszkał u mojego brata. Do końca życia, czerpiąc z własnych doświadczeń i ob-

serwacji otaczającego świata, służył wszystkim, którzy go odwiedzali, wzmacniał nas swoimi mądrymi radami i myślami i często zastanawialiśmy się z moim mężem, czy on nas bardziej obdarowuje, czy my jego przez to, że przychodzimy i mu pomagamy.

**Piotr Duda** (streszczenie dialogu z panią Barbarą Kowalską)

Piotr Duda, będąc ojcem dziecka, które na skutek szczepionek ciężko zachorowało, miał pytanie do pani Barbary, czy porażenie mózgowe jej wnuczki nie ma podobnego podłoża. Pani Barbara zaprzeczyła jednak takiej możliwości. Piotr Duda przedstawił rozmiar presji ze strony lekarzy na rodziców, którzy boją się szczepić swoje dzieci, a również ze strony mediów, w których ostatnio pojawił się pogląd, że ludzie, którzy nie chcą szczepić dzieci, są w jakiejś sekcie. Zaaapelował też do Kościoła, aby ten wypowiedział się autorytatywnie w tej sprawie.



Piotr Duda

**Ks. Adam Zelga**

Nie czuję się kompetentny ani odpowiedzialny za artykuły dziennikarzy, którzy oskarżają ludzi nieszczepliących swoich dzieci o przynależność do sekt. Wiem jednak, że nie trzeba ulegać takim presjom. Po drugie, nie czuję się kompetentny w sprawie szczepionek, sensowności czy bezsensowności ich stosowania, więc trudno mi zabierać głos na ten temat.

**Marcin Borzęcki**

Dzięki wieloletniemu aktywnemu zaangażowaniu się w życie Kościoła codziennie doświadczam znacznej łaski Bożej. Poprzez aktywne członkostwo we wspólnotach Drogi Neokatechumenalnej mogę doświadczać Kościoła, który jest żywy, misyjny i który jest właśnie taką małą wspólnotą opisywaną przez przytaczany fragment z Dziejów Apostolskich.

*Spisał z nagrania Marcin Borzęcki*



*Czy biorę odpowiedzialność  
za Kościół i jak ją realizuję?*

## Cytaty

### **Paweł VI – Współodpowiedzialność laikatu w misji Kościoła (fragmenty, 11.08.1971).**

Innym zagadnieniem odkrywczym Soboru o bogatej treści, nadającym obliczu Kościoła nowy wyraz, jest zagadnienie laikatu. Słowo „laikat” w strukturze Kościoła jest jednym z podstawowych wyrazów, odnosi się bowiem do nas wszystkich, ponieważ laikat uczestniczy w apostołskiej misji Kościoła.

Pojęcie laikatu nie jest czymś oryginalnym w naszej terminologii, ponieważ jeszcze przed Soborem zastanawiano się nad nim i używano go w znaczeniu, jakie później nadał mu Sobór Watykański II. Na przykład nasz wielki, czcigodny Poprzednik w roku 1946 tak się wyraził: „oni, szczególnie oni (katolicy świeccy), powinni posiadać coraz wyraźniejszą świadomość nie tylko swej przynależności do Kościoła, ale i tworzenia Kościoła. Należałoby powiedzieć: tworzenia wspólnoty wiernych na ziemi pod przewodnictwem wspólnej Głowy – Papieża oraz biskupów z nim złączonych. Oni tworzą Kościół”.

A cóż powiemy o apostołstwie świeckich? Jest to powołanie, a jednocześnie obowiązek moralny. Jedną z prawd potwierdzonych z dużą energią przez Kościół jest uczestnictwo w misji Kościoła, która otwiera się przed nami i do której są zobowiązani wszyscy chrześcijanie, synowie Kościoła. W Mistycznym Ciele Chrystusa nie może być bowiem martwych i biernych członków. Wszyscy razem i każdy z osobna powinni współpracować w apostołskim dziele Kościoła, w różny sposób i w różnym stopniu, lecz ze wspólną odpowiedzialnością za to dzieło. Już tyle o tym mówiono, ale obojętność tak wielu katolików, zwłaszcza nieufność, jaką zbyt wielu dzisiaj żywi wobec wszelkich form organizacyjnych, niechęć do przekazywania innym wiary i miłości Kościoła sprawiają, że musimy postawić sobie pytanie, czy apostołat czynny, zorganizowany, wspólnotowy znajduje się w stadium rozwoju, stagnacji czy w stadium rozkładu.

**Ks. Marek Dziewiecki – Wolontariat w duchu Ewangelii (fragment).**

Jedną z form miłości bliźniego jest wolontariat, czyli bezinteresowne angażowanie się w troskę o ludzi w potrzebie: o chorych, samotnych, biednych, uzależnionych, bezradnych. Jednak wolontariat chrześcijański wyraźnie różni się od wolontariatu humanistycznego i może właśnie dlatego nie jest promowany w dominujących mediach. Wolontariat według zasad Ewangelii ma głębsze motywy, bo wynika z miłości Boga do człowieka, a nie tylko ze spontanicznej wrażliwości na potrzeby bliźnich. Po drugie, wolontariat chrześcijański ma głębsze cele. Nie chodzi tu tylko o nakarmienie głodnych czy odwiedzenie samotnych. Chodzi o pomaganie bliźnim w rozwoju, aż do świętości włącznie. Po trzecie, wolontariat jest na tyle chrześcijański, na ile wiąże się z pogłębioną formacją w duchu Ewangelii i na ile jest owocem tejże formacji.

Katechizm Kościoła katolickiego nie używa takich terminów, jak aktywność czy działalność społeczna. Zachęca natomiast uczniów Chrystusa do podjęcia odpowiedzialności za dobro wspólne ze świadomością, że największym dobrem na tej ziemi jest człowiek. „Dobro wspólne jest zawsze ukierunkowane na rozwój osób: od porządku osób powinien być uzależniony porządek rzeczy, a nie na odwrót” (KKK, 1912). Wolontariusz chrześcijański to ktoś, kto odwiedza ludzi chorych, samotnych czy starszych nie tylko po to, by posprzątać w ich domu czy by zrobić zakupy, ale także po to, by pomóc im odkrywać obecność kochającego Boga w ich życiu, by razem z nimi się modlić, by pomagać im żyć – w trudnej czasom sytuacji – zgodnie z zasadami Ewangelii, by umacniać w nich nadprzyrodzoną nadzieję.

## KONWERSATORIUM LXXX

(16 maja 2015)

**Czy biorę odpowiedzialność za Kościół  
i jak ją realizuję?**

**Prowadzący:** **Ks. Adam Boniecki**, w latach 1993-1999 Generał Zakonu Marianów, od 1999 redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”; **Jacek Waksmundzki**, przedsiębiorca, działacz społeczny, współtwórca Centrum Dział Społecznych bł. Edmunda Bojanowskiego; **Joanna Świącicka**, nauczyciel akademicki, profesor, prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie; **Marek Cichucki**, aktor teatralny i telewizyjny, grał w teatrach w Katowicach, Krakowie, Łodzi i w Warszawie, realizuje własne spektakle i projekty sceniczne, ostatnio w wyniku wypowiedzi na temat tekstu „Golgota picnie” został zwolniony z pracy; **Grzegorz Polak**, dziennikarz, działacz ekumeniczny, współtwórca Centrum Dział Społecznych bł. Edmunda Bojanowskiego.

**Ks. Adam Boniecki**

Tematem dzisiejszego spotkania jest „Czy biorę odpowiedzialność za Kościół i jak ją realizuję?” Mam nadzieję, że nie siedzimy tutaj w charakterze rabinów, z których każdy po kolei odpowie, jak realizuje odpowiedzialność za Kościół. W każdym spotkaniu ważna jest rozmowa i dzielenie się wszystkich uczestników swoim doświadczeniem.

Na wstępie chciałbym wprowadzić porządek, by rozmowa nie zeszła nam na kwestie, ile powinno brać się za pochówek czy o księżach pedofilach. Mianowicie o czym my tutaj mówimy? To



### Paneliści i słuchacze

wszystko wchodzi w zakres, ale musimy wiedzieć, gdzie jesteśmy. Posłużę się takim wyjaśnieniem ojca Congara, który w książce o Duchu Świętym wprowadza bardzo dobre wyjaśnienie, żebyśmy wiedzieli, że mówiąc o odpowiedzialności za Kościół, mówimy w różnym sensie wiary. Pierwszym sensem jest ten, który ludzie wyznają w czasie Mszy Świętej: „wierzę w Kościół Święty, apostołski”. To jest przedmiot wiary. To jest pochodząca i ustanowiona przez Boga wspólnota tworząca Mistyczne Ciało Chrystusa. Konstituuje to wiara objawiona, sakramenty wiary, władza apostołska, urząd Chrystusa Kapłana Proroka, pochodzące od Ducha Świętego charyzmaty. Mówiąc prościej, chodzi o to, że jest to ta obiecana przez Chrystusa Jego obecność do skończenia świata, jest to sakrament, czyli widzialny znak niewidzialnej obecności Chrystusa i Jego działania przez przechowane przez Kościół, pod pieczę Ducha Świętego, Jego Słowo, Jego moc, przez sprawiające pomoce łaski, sakramenty. To jest charyzmatyczna wspólnota, która rodzi świętych przez działanie Ducha Świętego. Jest to rzeczywistość, której nie można badać socjologicznie, nie można jej reformować. To jest przedmiot wiary. Albo się wierzy, albo nie i bez tego wymiaru widzi się Kościół tylko jako instytucję pozarządową.

Drugim sensem wiary, w zakresie odpowiedzialności za Kościół według ojca Congara, jest lud chrześcijański, zgromadzenie wiernych. Tu są nie tylko dary Boga, ale też rzeczywistość, w jaki sposób ludzie z tych darów korzystają. Ludzie ze swoją słabością, niestałością, skłonnością do upadku. Tymi drzwiami do Kościoła przenika grzech. To jest gliniane naczynie, w którym ten dar został od początku złożony po to, żeby były pomnażane talenty. Pan Jezus dał to bogactwo swej łaski, ale nie wchodził w szczegóły. Po to dał sa-



Ks. Adam Boniecki

krament przebaczenia, tę świadomość, że Kościół ma władzę odpuszczania. Jest ona obecna od samego początku, ale co z tym zrobić. To tylko ludzkie poszukiwania pod światłem Ducha Świętego. Na początku można było tylko raz w życiu otrzymać przebaczenie grzechów. Wielokrotna spowiedź została wprowadzona dopiero w XII wieku. To jest ewolucja, która na jakiś czas ugrzęzła w jakimś ślepym zaułku, doprowadzając do absurdu. To jest ten ludzki czynnik grzechu, bezradności. Ale Jezus obiecuje: „dam wam Ducha Świętego, który nauczy was tego wszystkiego, co wam mówiłem”.

Wreszcie jest trzecie znaczenie Kościoła, poprzez osoby hierarchiczne. Nie biorę tu pod uwagę hierarchicznych osób Kościoła jako jednostek, ale jako tych, którzy sprawują funkcje.

Trzeba sobie zdać sprawę, że na Kościół składają się wszystkie te rzeczywistości. Często bierzemy pod uwagę tylko ten ostatni aspekt i pytamy „dlaczego Kościół nie zabrał głosu?”, „Dlaczego Kościół tak się zachowuje?” „Dlaczego Kościół jest chciwy na pieniądze?” To nie jest cała rzeczywistość. To jest najbardziej zewnętrzna wartość. Ale to jest jedna rzeczywistość, którą założył Chrystus, składając ten dar swojej obecności sakramentalnej, do której docieramy tylko wiarą i być może doświadczeniem. Chrystus ten dar złożył w ludzkie ręce. I ojciec Congar pisze, że: żaden dar Ducha nie może istnieć w świecie, nie wchodząc do jakiegoś stopnia w logikę przybrania formy w instytucji. Związane z tym niebezpieczeństwo polega na tym, że to, co jest w zasobnym ciele, zostaje przyćmione. Więc jest takie niebezpieczeństwo, że ktoś bardzo zaangażowany w budowanie tego, co jest środkiem – zaangażowaniem parafian, akcją charytatywną – traci z oczu główny cel Kościoła. Celem Kościoła jest doprowadzenie człowieka do spotkania z Bogiem. Więc kiedy mówimy Kościół, musimy wiedzieć, o czym mówimy.

I teraz: czy biorę odpowiedzialność za Kościół i jak ją realizuję? Czy czuję się do odpowiedzialności? Trzeba tu oczywiście brać pod uwagę Kościół w tym drugim znaczeniu, czyli jako lud chrześcijański. On jest znakiem widzialnym sakramentalnej obecności Chrystusa. Musimy starać się, aby był czytelny. To jest historia pierwszego Kościoła, kiedy wspólnota porywała, pociągała ludzi.

Sakrament małżeństwa jest odbiciem i realizacją miłości Boga do Kościoła.

Na czym ma polegać ta odpowiedzialność? Jaki jest zakres tej odpowiedzialności? Chciałbym tylko wskazać na bardzo ważną przestrzeń, na którą zwraca uwagę papież Franciszek. Otóż w *Evangelii gaudium* napisał, że niektóre zwyczaje Kościoła, a związane bezpośrednio z tekstem Ewangelii, bardzo zakorzenione w historii Kościoła, dziś nie są interpretowane tak samo, a ich przesłanie nie jest właściwie odbierane. Mogą być bardzo piękne, ale dziś już nie służą właściwemu przekazowi Ewangelii. Są jakieś elementy, które przez stulecia narastały, tworzyły się, które były wprowadzane przez pewne epoki, w których Kościół żył. Pewne z tych elementów poginęły, a pewne zostały. I papież mówi, że podobnie istnieją normy, przykazania kościelne, które mogły być skuteczne w innych epokach, ale dziś już nie mają tej siły wskazywania drogi życia. Święty Tomasz z Akwinu podkreślał, że przykazania dane ludowi bożemu przez Chrystusa i Apostołów są bardzo nieliczne, i cytując św. Augustyna, zauważył on, że w przykazaniach dodanych później przez Kościół mamy przestrzegać umiaru, aby życie wiernych nie stało się zbyt wrażliwe, żeby nie przemieniać naszej religii w niewolę. Te pola refleksji nad odpowiedzialnością, żeby Kościół był czytelnym znakiem, są więc bardzo szerokie. Na pewno odpowiadamy za to, żeby Kościół mógł być znakiem czytelnym obecności Chrystusa na Ziemi. Chcę tylko przypomnieć to, co papież Benedykt XVI mówił przy wielu okazjach, że są cztery charakterystyki opisujące pierwszą wspólnotę chrześcijańską w Jerozolimie, bez których nie ma chrześcijańskiej wspólnoty. Wspólnota ta była zjednoczona w słuchaniu nauczania Apostołów, we wspólnocie braterskiej, w łamaniu chleba i w modlitwie (por. Dz 2,42). W pierwszych wspólnotach chrześcijańskich, podobnie jak i w naszych czasach, element wspólnoty braterskiej jest najbardziej namacalny w jedności między uczniami Pana. Czytamy w *Dziejach Apostolskich*, że pierwsi chrześcijanie wszystko mieli wspólne, a ci, którzy mieli majątki, sprzedawali je i rozdawali każdemu potrzebującemu. Bez tego elementu *Caritas*, miłości i troski o potrzebujących, dzie-

lenia się, noszenia wspólnie swoich ciężarów nie ma chrześcijaństwa. Następnym ważnym elementem było dzielenie chleba, w którym sam Pan Jezus uobecniał się przez ofiarę na krzyżu, kiedy ofiarował swoje życie za życie swoich przyjaciół. Tym jest Eucharystia. I modlitwa od zawsze była elementem łączącym uczniów Chrystusa. Modlitwa stanowi czwarty element charakteryzujący pierwszy Kościół opisany w Dziejach Apostolskich. Modlitwa chrześcijańska jest uczestnictwem w modlitwie Jezusa, gdy powtarzamy słowa modlitwy Ojciec Nasz, jakich nauczył nas Zbawiciel. Otworzenie się na bliźniego, na braterstwo. Mamy być zdolni i gotowi do przebaczenia: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. To chciałem na wstępie powiedzieć, wyraźnie rozróżniając, o czym mówimy. Kościół ma być znakiem widzialnym i jesteśmy odpowiedzialni za to, czy jest tym widzialnym znakiem. I na końcu przytoczę słynne zdanie Matki Teresy z Kalkuty, kiedy jeden z dziennikarzy spytał ją, co jej zdaniem należy zmienić, poprawić w Kościele, popatrzyła i powiedziała: „mnie i ciebie”.

### **Joanna Świącicka**

Nie będę na pewno mówić za długo, bo właściwie jestem katoliczką dość świeżej daty. Mniej więcej trzydzieści lat temu tu obecny ksiądz Adam Boniecki udzielił mi sakramentu chrztu i parę lat później pierwszej Komunii Świętej. Moje dzieci bardzo się dziwiły, że to zrobił, bo twierdziły, że ja nie umiem tych wszystkich potrzebnych do pierwszej Komunii Świętej spisów modlitw i listy wszystkich grzechów głównych. Dzięki Księdzu dowiedziałam się też, co to jest Kościół. Więc nie będę się tak mądrze wypowiadać na ten temat, natomiast opowiem raczej o moim doświadczeniu.

Kiedyś czytałam książkę pisaną przez pewnego jezuitę, ojca Waltera Ciszka, który w swoim czasie, przed II wojną światową pojechał na tereny Związku Radzieckiego po to, żeby tam trafić do takich miejsc, do takich diecezji, gdzie już od dawna nie było żadnego księdza. W tej książce opowiadał on o swoich przeżyciach w takich miejscach, do których trafił, gdzie trwały wspólnoty kato-

lickie, mimo że od lat nie było żadnego kapłana. Wodę święconą przechowywano tam w soli. Wierni mieli pojemnik z solą nasączoną wodą święconą i do takich obrzędów, które mogą świeccy wykonywać, wsypywano do wody trochę tej soli. Dla mnie to było wielkie odkrycie. Często coś czytamy i nagle nam się coś w głowie otwiera. Wtedy odkryłam, czym jest Kościół, że to wspólnota, która trwa w poczuciu czegoś, co ją łączy, w poczuciu obecności Boga, który do każdego z nas mówi. Trwanie opisanych wspólnot było bardzo trudne bez duszpasterzy, bez prezbiterów, bez biskupa, bez wielu sakramentów, bo nie wszystkie mogły być sprawowane bez prezbitera.

Dzięki temu rozumiałam, jakim ogromnym darem dla Kościoła są prezbiterzy. Dzięki temu, dzięki ich posłudze, mogę pójść do spowiedzi, mogę otrzymać sakrament, mogę przystąpić do Eucharystii. Równocześnie to, że jest Kościół i jego nauka, która sprawia, że wspólnota wiernych trwa w jedności. Oczywiście są możliwe i potrzebne własne poszukiwania. Każdy ma jakieś wątpliwości, które powinien z całą odpowiedzialnością rozpatrywać i które powinien uzgadniać z nauką Kościoła, powinien próbować tę naukę zrozumieć. Bo jest tak, że gdy ktoś do nas mówi, to nie zawsze



Ks. Adam Boniecki i Joanna Świącicka

każdy z nas rozumie to samo. Zawsze jest zderzenie tego, co ktoś do nas mówi, z naszym doświadczeniem. Często rozumiemy więcej, niż jest powiedziane, gdyż nie wszystko daje się zamknąć w słowach. Dlatego trzeba bez przerwy badać naszą wiarę, po to, by ją porządkować.

Za tym moim zrozumieniem, czym jest Kościół, przyszło też poczucie ogromnej odpowiedzialności, która leży na barkach świecików. Tamci ludzie, o których pisał o. Ciszek, dzięki wspólnocie mogli trwać w wierze na pozornie ogołoconych z Boga przestrzeniach Związku Radzieckiego, a my tutaj, obdarowani wszystkimi możliwościami, pełnią sakramentalnej obecności Kościoła, jakby o tym zapomnieliśmy i tego nie doceniamy. W związku z tym powinniśmy zrobić wszystko, żeby mieć wpływ na prezbiterów, pomagać tym prezbiterom i tworzyć ten Kościół, wspólnotę, jako ludzie świeccy. Bardzo brakuje mi tych wspólnot, o których ksiądz mówił, że były na początku chrześcijaństwa. Rzeczywiście ci chrześcijanie odróżniali się na tle ówczesnego społeczeństwa tym, że łączyła ich więź, że sobie pomagali, widać było ich miłość, ich radość i wspólne działanie. Brakuje mi takiego życia parafialnego dzisiaj.

W czasie kolędy przyszedł proboszcz, z którym rozmawiałam i powiedziałam mu, że w naszej parafii jest dużo dobrze radzących sobie rodzin, ale jest też sporo młodych ludzi, którzy sobie nie radzą, często szukają pracy albo spłacają jakieś kolosalne kredyty. Spytałam się, czy by można było stworzyć takie grupy, gdzie kilka rodzin lepiej sobie radzących pomagałoby tym, którzy w danej chwili mają kłopoty, mają problemy, niekoniecznie materialnie, ale wspierałoby też radą; żeby ci ludzie, którzy często są przyjezdni i nie mają dziadków, rodziców, ciotek, wujków w pobliżu, znaleźli w parafii kogoś, kto by im pomagał. Ksiądz proboszcz po zastanowieniu powiedział: „gdyby pani wiedziała, jak oni się nienawidzą”. Przeraziło mnie to, bo jest to zaprzeczeniem tego, czym powinna być wspólnota parafialna. Moim zdaniem, wspólnota parafialna powinna charakteryzować się tym, że jeśli widzimy kogoś, kto sobie nie radzi albo podejmuje złe decyzje, to poczucie wspólnoty wynikające ze wspólnej wiary powinno nam pomagać w tym, żebyśmy

do niego dotarli. To jest jednym z elementów naszej odpowiedzialności za Kościół.

Z mojego doświadczenia wynika, że gdy uda nam się nawiązać z kimś kontakt i rozmawiać o jakichś wyborach życiowych, niekoniecznie religijnych, to wcześniej czy później rozmowa jednak schodzi na tematy religijne. Kiedy rozmawiam z ludźmi, którzy są antykościelni, to często okazuje się, że oni odrzucają Boga innego od tego, w którego ja wierzę, że oni odrzucają Boga, o którym im ktoś powiedział, ale to nie jest ten Bóg, który rzeczywiście działa w Kościele. Bo często ludzie odrzucają Boga, który jest mściwy, który działa na zawołanie, ale gdzieś tam w środku, w ich sercu, jest wiara w Boga, który jest miłością, który pragnie ludzkiego dobra, Bóg, który jeśli człowiek wpadnie w jakieś moralne tarapaty, to i tak wyciągnie do niego rękę i pokaże mu do siebie drogę. W takiego Boga chcieliby wierzyć, ale często o Nim nie słyszą. Więc jeśli się o takim Bogu mówi, to jest to metoda, żeby ten Kościół przybliżyć innym i wzmocnić.

Innym sposobem okazywania tej odpowiedzialności za Kościół jest rozmowa z księżmi. Zdarzyło mi się parę razy pojechać poza Warszawę do jakiejś małej parafii, gdzie po Mszy Świętej poszłam do księdza i powiedziałam, że podobało mi się kazanie, albo powiedziałam, że mam jakieś wątpliwości. Myślę, że może mieć to dla księdza znaczenie, że ktoś przychodzi i porozmawia, bo są oni często bardzo samotni. Kończą seminarium, potem jadą na jakąś, często małą parafię, gdzie zajmują się w dużej mierze pracą administracyjną. Czasem to, z czym poszli do seminarium, różne ideały są potem schowane głęboko w duszy. Ci księża nie mają okazji, by o tym rozmawiać, i cieszą się z takiej możliwości, nawet gdy przychodzimy, mówiąc o naszych zastrzeżeniach do wygłoszonego kazania. Również w tej parafii, w której mieszkamy, trzeba spróbować pójść i porozmawiać z księdzem, nie jak z kimś, kto jest dla nas autorytetem, bo nie musi on nim być we wszystkim autorytetem, tylko jak z drugim człowiekiem, który też potrzebuje pomocy. To jest moje doświadczenie.

### Marek Cichucki

Nie wiem, czy mam cokolwiek do dodania od siebie. Moje życie i moje myślenie na temat dziś poruszony to: uczestniczyć w codziennym życiu Kościoła, spotykać się z ludźmi będącymi we wspólnotach, do których należę, uczestniczyć z nimi w modlitwie i żyć tak, aby życie samo w sobie było modlitwą.

Mam obecnie trudną sytuację z pracodawcą. Mimo że jesteśmy w sporze, to modłę się za niego i inicjuję w jego intencji modlitwę wielu osób. Nie ma we mnie zawiści.

Modłę się tak, jak nakazał Chrystus: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Staram się więc jak najgłębiej odpuścić moim winowajcom i sam proszę Boga o wybaczenie.



Od lewej: ks. Adam Boniecki, Joanna Świącicka, Marek Cichucki (z mikrofonem), Jacek Waksmundzki i Grzegorz Polak

Moje życie we wspólnocie jest powrotem z grzechu. Ten powrót to największe dla mnie wyzwanie, ponieważ ilekroć z niego rezygnuję, wpadam w większe tarapaty i jestem też obciążeniem dla innych. Na szczęście, co nie było łatwe ani wygodne, dostrzegłem i zrozumiałem tę pułapkę. Problem w tym, że człowiekowi brakuje

często kogoś, jakiegoś dobrego środowiska, które byłoby w stanie uświadomić mu źródło kłopotów i życzliwie wskazać drogę wyjścia. Hasło „prawda cię wyzwoli” brzmi pięknie, ale w rzeczywistości zobaczyć prawdę jest trudno. Staram się ją rozpoznać i stale powracać z grzechu, bo inaczej niszczę wszystko, co może dać spokój sumienia.

### **Jacek Waksmundzki**

Czuję się tutaj jak u siebie w domu, bo z comiesięcznymi konwersatoriami jestem związany od 2005 roku. To, że trwają one nieprzerwanie od 10 lat, odbieram jako swoisty cud. Jest to widoczny znak, jak ważne jest wspólnotowe działanie ludzi, nie tylko tych, którzy bezpośrednio pracują na rzecz tego, aby owe spotkania się odbywały, ale również i innych współuczestników, którzy poprzez łącza internetowe przyjmują materiały i biorą udział w dyskusji, zamieszczając swoje świadectwa i opinie o temacie naszych rozważań. W ten sposób nasze konwersatoria żyją w świecie i jest to wyraz naszej wspólnej troski o Kościół.

Chcę podzielić się z państwem kilkoma refleksjami. Kiedy pani profesor, moja przedmówczyni, powiedziała, że w Kościele jest od trzydziestu lat, zadałem sobie pytanie: jak to jest ze mną? W Kościele jestem od urodzenia. Pochodzę z rodziny katolickiej, głęboko wierzącej i praktykującej, w pierwszym pokoleniu inteligencji, które swoją wiarę mocno osadziło na najlepiej pojętej tradycji i praktyce ludu, w środowisku wiejskim. W takiej rodzinie zostałem wychowany, w atmosferze pełnej miłości i w ukształtowanym na bazie wiary i systemie wartości. Tak przeszedłem dotąd przez życie, zawsze będąc członkiem Kościoła i aktywnie uczestnicząc w jego życiu wspólnotowym.

Od 2002 roku zamieszkaliśmy z rodziną na Ursynowie, niedaleko stąd. Odkryciem dla nas była parafia, której staliśmy się mieszkańcami. Wcześniej nie do końca wiedzieliśmy, dokąd przenosimy się z Wilanowa i gdzie znajduje się nasz nowy kościół. Okazało się wkrótce, że to bardzo młoda parafia pod wezwaniem bł. Edmunda Bojanowskiego, organizująca się dopiero od dwóch lat i skupiona



Jacek Waksmundzki (z mikrofonem), obok Grzegorz Polak

w niewielkiej kaplicy na Wolickiej skarpie, na granicy Ursynowa i Wilanowa. To nie są często spotykane okoliczności, szczególnie w dużych miastach. W moim przypadku odebrałem to jako wielką łaskę, że miałem możliwości (i mam nadal) współuczestniczyć w procesie budowania tej parafii. Było to i jest zarówno tworzenie społeczności parafii na różnych jej polach, jak i aktywna praca przy budowie planowanego kościoła. Na początku był to wybór projektu, a potem wszelkie sprawy formalno-prawne, włącznie z pozwoleniem na budowę, a teraz przy realizacji tego projektu. Miałem także łaskę uczestniczenia w dyskusjach nad przyszłą strukturą parafii i jej misji. Ale o tym za chwilę.

Przed zamieszkaniem na Ursynowie i zapoznaniem się z nową parafią, nie znałem Edmunda Bojanowskiego. Byłem wprowadzie na jego beatyfikacji w 1999 roku w Warszawie, ale ta postać umknęła mojej szczególnej uwadze ze względu na to, że wtedy Jan Paweł II wyniósł na ołtarze wraz z Bojanowskim ponad sto innych osób, które poświęciły swoje życie dla Chrystusa w czasie II wojny światowej. Poznawałem zatem tego błogosławionego z XIX wieku dopiero po przeniesieniu się do parafii, której on patronuje. Od tamtej pory ta postać mnie fascynuje. Wraz z przyjaciółmi, którzy

myślą i czują podobnie i również są zafascynowani tym Błogosławionym, staramy się – poprzez różne projekty i ich realizacje – przybliżyć dzieło Bojanowskiego, które odczytujemy także jako zadanie dla nas i naszej wspólnoty. W tym duchu powstało w parafii przedszkole, prowadzone przez Siostry Służebniczki NMP, ze zgromadzenia powołanego przez Edmunda Bojanowskiego w XIX wieku. Od kilku lat działa tu także szkoła specjalna dla dzieci z autyzmem, od dwóch tygodni ciesząca się z nowej siedziby. Stało się dla nas jasne, że opieka nad tymi dziećmi i ich edukacja bardzo mocno wpisują się w charyzmat naszego patrona. Kolejnym projektem, nad którym obecnie pracujemy w stałym zespole, jest powołanie Centrum Działa Społecznych bł. Edmunda Bojanowskiego przy naszej parafii, które ma zamiar realizować projekty znacznie wykraczające poza jej granice i środowisko. W taki sposób, wraz z innymi osobami, staram się być odpowiedzialny za Kościół, uczestnicząc aktywnie w jego ciągłym rozwoju na rzecz wspólnoty wiernych.

### **Grzegorz Polak**

„Teatr mój widzę ogromny” – napisał Klasyk, a choć jemu, Wyspiańskiemu, nie chodziło o teatr, to posłużę się tą metaforą, aby wyznać: „Kościół mój widzę ogromny”. Dla mnie Kościół to całe chrześcijaństwo, a nie tylko jego rzymskokatolicki nurt. Dlatego chciałbym mówić o odpowiedzialności za wszystkie Kościoły chrześcijańskie, do jakiej się poczuwam.

Przy okazji chciałbym powiedzieć, że moim braciom i siostram z innych Kościołów chrześcijańskich sprawia się przykreść, kiedy używa się określenia „Kościół”, mając na myśli Kościół Rzymskokatolicki, tak jakby w Polsce nie było innych Kościołów chrześcijańskich. Dlatego wołałbym, żeby tytuł tego konwersatorium brzmiał: „czy poczuwam się do odpowiedzialności za mój macierzysty Kościół?”.

Czuję się odpowiedzialny za wszystkie Kościoły chrześcijańskie, bo są one ważną częścią mojego świata. To moja wielka, ukochana rodzina, gdzie nie ma obcych, bo dawno już przeszedłem swoją Samarię i w każdym człowieku wiary staram się dostrzec brata i wielkiego sojusznika Sprawy Bożej.

Czuje się z moimi siostrami i braćmi solidarny, cieszę się z ich sukcesów, martwię się niepowodzeniami, kiedy odchodzi ktoś znajomy z rodziny ekumenicznej, płaczę z jego najbliższymi. Do dziś, kiedy wspominam zmarłego niespełna dwa lata temu mojego przyjaciela, kapłana mariawickiego Łukasza Kaczorka, łzy stają mi w oczach.

Wydaje mi się, że ta moja solidarność bierze się z poważnego przeżywania chrześcijaństwa, przejęcia się na serio testamentem Jezusa Chrystusa wyrażonym w modlitwie arcykapłańskiej „aby byli jedno”. Słowa wypowiedane tuż przed śmiercią mają wyjątkowe znaczenie, dlatego to, co wówczas powiedział Jezus, jest dla mnie szczególnie ważne i bliskie.

Jestem solidarny z braćmi także dlatego, że wiem, iż są słabsi, jest ich mniej, a słabszym trzeba pomagać. W czym przejawia się ta moja solidarność? Przede wszystkim staram się uczestniczyć na co dzień w życiu tych Kościołów, a nie tylko w ekumenicznym karnawale, jakim jest styczniowy Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan.

Często jestem zapraszany na sympozja, jubileusze, nabożeństwa, różnego rodzaju uroczystości. Przychodzę chętnie, bo dobrze mi wśród braci, a bardzo często z takich spotkań wychodzę umocniony w wierze. Najczęściej jestem wtedy jedynym rzymskim katolikiem, co konstatuje z zażenowaniem i smutkiem. Z drugiej strony mam poczucie, że moja obecność jest ważna, gdyż moi bracia dzięki niej czują się może trochę mniej osamotnieni przez rzymskich katolików. Może przez moją skromną osobę podtrzymuję ich wiarę w dobrą wolę mojego macierzystego Kościoła? Może odbieram im argument, że katolicy są nieekumeniczni i nie interesują się życiem mniejszych Kościołów?

Uważam, że w tej odpowiedzialności za Kościoły mniejszościowe przejawia się moja odpowiedzialność za mój macierzysty Kościół, bo w jakiś sposób buduję o nim dobrą opinię. Zauważyłem, że bracia tę moją postawę niezwykle sobie cenią. Czasem jest to nawet krępujące, gdy celebrans, zauważywszy mnie, podczas nabożeństwa mówi: „cieszymy się obecnością wśród nas brata z Kościoła rzymskokatolickiego”. Osłupiałem, gdy jeden z biskupów ewangelickich powiedział mi podczas jakiegoś ekumenicznego

spotkania: „Dwa dni temu minęło pięć lat, jak odwiedził mnie pan w szpitalu”. Ja już zapomniałem, kiedy to było, a on pamiętał. Dla niego to było ważne, że odwiedził go rzymski katolik.

Ja w sobie już dawno pokonałem podział między chrześcijanami i czuję się, jakbym antycypował życie w pojednanej rodzinie wyznawców Chrystusa. Wszystko to, co chrześcijańskie, jest moje, własne, wszędzie czuję się jak u siebie w domu. Nigdy nie mówię: my – wy, przyjdę do was, bo wszędzie jest mój dom, nie ma „onych”, lecz bracia.

Moim domem jest cerkiew prawosławna i kościół mariawicki, kościół luterański, metodystyczny i zielonoświątkowy. Gdy jestem tam na nabożeństwie, to modlę się w obrządku tego Kościoła. Nauczyłem się różnych liturgii. Gdy jestem u prawosławnych, żegnam się po wschodniemu – trzema palcami. Co roku w Wielki Piątek bywam w warszawskim kościele luterańskim Świętej Trójcy, a w prawosławnym soborze św. Marii Magdaleny jestem na Wielkanoc. Gdy spotykam duchownego prawosławnego, mówię: „Sława Isusu Christu”, gdy widzę mariawitę, witam go słowami: „Niechaj będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament”.

Przez wiele lat bycia na wspólnej drodze nabrano do mnie zaufania, bracia opowiadają mi o swoich tajemnicach, bo wiedzą, że tego nie wykorzystam dla mediów. Znam prawie wszystkich biskupów Kościołów mniejszościowych i wielu duchownych.

Ta moja solidarność i odpowiedzialność przejawia się również w obronie dobrego imienia Kościołów mniejszościowych. Bo, niestety, zdarza się, że są one postponowane, nawet atakowane, funkcjonują różne stereotypy na ich temat, wyzywa się ich od sekciarzy. Staram się wówczas bardzo ostro przeciwko temu protestować. Od lat walczę ze stereotypem „Polak to katolik”, zwracając uwagę na silny nurt patriotyczny obecny w tzw. kościołach mniejszościowych.

Mam swoje dwie ulubione postacie, których przykład przytaczam, gdy słyszę albo czytam gdzieś o obcej proveniencji takiego czy innego wyznania. Luterański biskup Juliusz Bursche, mimo że był Polakiem dopiero w pierwszym pokoleniu, oddał życie za Pol-

skę i zginął jako męczennik. Mógł wyjechać z okupowanego kraju, ale zdecydował się zostać, choć wiedział, co go czeka jako rzecznika rządu polskiego podczas plebiscytu na Mazurach i zadeklarowanego wroga Hitlera. Tymczasem Prymas Polski opuścił kraj we wrześniu 1939 roku, choć nie miejsce tutaj, aby wyjaśniać zawiłe okoliczności tego kroku. Fakty jednak są faktami.

Prawosławny biskup połowy Sawa (Sowieców) przeszedł cały szlak bojowy z armią gen. Andersa, a po wojnie tak ostro krytykował porządek pojałtański, że nie miał po co wracać do Polski i zmarł na emigracji.

Współpracuję z mediami niekatolickimi. Bywa, że dzwonią do mnie z redakcji pisma któregoś z tych Kościołów, prosząc, bym obsłużył dziennikarsko jakąś imprezę. Od ponad 30 lat pomagam wybitnemu ekumeniście, luteraninowi prof. Karolowi Karskiemu, w redagowaniu periodyku „Studia i Dokumenty Ekumeniczne”. Również od ponad 30 lat współorganizuję cykliczne nabożeństwa ekumeniczne w stolicy, a wcześniej – Spotkania Ekumeniczne Młodych w Kodniu nad Bugiem. W moim sercu jest miejsce dla każdego z Kościołów, podobnie jak w sercu ojca jest miejsce dla każdego dziecka.

No dobrze, powie ktoś i zapyta: a jak to jest z Twoim macierzystym Kościołem?

Muszę powiedzieć, że za Kościół Rzymskokatolicki czuję się szczególnie odpowiedzialny i jemu poświęcam najwięcej sił. Pracuję dla niego prawie 40 lat, odkąd skończyłem studia na warszawskiej ATK – głównie jako dziennikarz, ale nie tylko. Udzielam się w różnych gremiach, także w swojej parafii, wydaję książki i różnego rodzaju serie religijne. Bardzo przeżywam to, co się dzieje w moim macierzystym Kościele. Żartuję, że cierpię na szczególny rodzaj nerwicy eklezyjalnej, widząc w moim Kościele przejawy głupoty, obojętności, braku ducha ewangelicznego, grzechu, choć sam nie jestem bez winy.

Jednocześnie jednak dostrzegam w nim także nieprawdopodobny potencjał dobra, piękna i świętości. I staram się to opisywać. Na swój skromny sposób – jak miemam – biorę odpowiedzialność

za skuteczność przepowiadania, dobre imię i za przyszłość mojego Kościoła.

### **Ks. Adam Boniecki**

Każdy, jak widać, przedstawia swoją odpowiedzialność za Kościół z nieco innej strony. Ogromna liczba publikacji jest potwierdzeniem tego, co mówił pan Grzegorz, pokazania piękna Kościoła. Szukamy bogactwa spojrzenia ludzi świeckich, jak wyraża się ich odpowiedzialność za Kościół. Bardzo proszę teraz o zabieranie głosu.

## **Dyskusja**

### **Elżbieta Mysińska-Dowgiałło**

Są wśród nas przedstawiciele wspólnoty „Mażeńskich Dróg”, czyli rekolekcji dialogowych dla małżeństw i narzeczonych. Warto, aby nam powiedzieli, jak wspólnota ta bierze odpowiedzialność za Kościół.



Słuchacze Konwersatorium

### Krzysztof Łoskot

Nawiążę do tego, co ksiądz Boniecki powiedział – do tego porównania miłości małżeńskiej z miłością Boga do Kościoła. Mimo że to jest takie jasne, na co dzień wcale tego nie widać. Małżeństwo jest w Kościele Katolickim sakramentem dotyczącym ogromnej większości ludzi. Szczególne dowartościowanie małżeństwa w Kościele byłoby czymś bardzo ważnym. Natomiast od stuleci uznajemy przewagę duchowości monastycznej nad duchowością małżeńską. To nie jest sprawiedliwe, ani skuteczne i chyba nie jest zgodne z Biblią i nauczaniem Jezusa. Wydaje mi się, że jesteśmy teraz jednak na bardzo ciekawym etapie, kiedy to waga zaczyna się przechylać w drugą stronę. Zostało dowartościowane małżeństwo i obecnie nie jest już ono gorsze od kapłaństwa. To nie jest tak, że jak się wybiera czystość, to zawsze wybiera się stan kapłański. Można wybierać czystość dlatego, że planuje się małżeństwo.



Krzysztof i Anna Łoskotowie

Wspólnoty świeckie współdziałające z kapłanami mogą być nie-długo tą zasadniczą częścią Kościoła. Im więcej jest organizacji, ruchów i wspólnot zrzeszających świeckich, którzy chcą i mogą być odpowiedzialni za Kościół, tym chyba lepiej jest dla Kościoła. My

świeccy, jako małżeństwo, jesteśmy bardzo ważni w Kościele. Możemy i powinniśmy być świadkami w świecie, gdzie ogromna liczba młodych ludzi nie zawiera związku małżeńskiego, nawet cywilnego. Nie chcą skorzystać z dobrodziejstwa sakramentu. Może nie jesteśmy dla nich wiarygodnymi świadkami? Czy będąc sakramentalnym małżeństwem, potrafimy pokazać działalność Boga w naszym życiu? W dzisiejszym Kościele bardzo dużo mówi się o małżeństwie, ale raczej w kontekście rodzicielstwa. Rzadko mówi się, że miłość do żony czy do męża jest ważniejsza od miłości do mamusi albo do dzieci. Nie mówi się prawie wcale, jak budować jedność małżeńską, co jest przecież celem małżeństwa równoważnym z rodzicielstwem. Odpowiedzialność za Kościół widzę zatem jako odpowiedzialność za ukazywanie i głoszenie wszystkim chętnym piękna i głębi dobrej nowiny o małżeństwie zawartej w nauce Jezusa i tekstach biblijnych.

### **Anna Łoskot**

Dla mnie odpowiedzialność za Kościół przejawia się w tym, że czuję się członkiem Kościoła. To wyzwanie jest dla mnie bardzo ważne. Jestem zakorzeniona w Kościele, który doświadczam nie przez związek przez całe życie z jedną parafią, ale z określoną grupą ludzi, którzy podobnie myślą i podobnie żyją, przez doświadczenie tego, że ja realizuję Kościół, będąc żoną i matką, teściową, babcią, ale i przez wspólnotę, w której działamy. Widzimy, jak współpraca z kapłanami, z którymi organizujemy rekolekcje czy różne kursy, jest wzajemnym obdarowywaniem. Zarówno my korzystamy z doświadczeń kapłanów, jak i oni z naszych doświadczeń. Kościół tworzą ludzie wchodzący w relacje. Doświadczam tego przy organizowaniu rekolekcji czy kursów. Kościół realizuje się w tym, co organizujemy.

### **Ks. Adam Boniecki**

Słabością Kościoła w Polsce jest jego organizacja. Traktuje się Kościół jako instytucję, która należy do sieci usługowej wobec wiernych. Większość odpowiedzialnych dzieł jest kierowana przez księży. Natomiast świeccy pozostają trochę z boku. Dlatego wydaje



Anna Łoskot (z mikrofonem)

mi się, że ciągle jest za dużo księży, a za mało świeckich w Kościele. Na przykład, w Brazylii mnóstwo funkcji spełniają świeccy. Potrzebni są świeccy, którzy wspieraliby księży. Jeśli ktoś się czuje odpowiedzialny za Kościół, powinien rozmawiać z księżmi. Trzeba ciągle rozmawiać. Odpowiedzialność często sprowadza się do rzeczy konkretnych.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiało**

Powiem o jeszcze jednej sprawie, którą uważam za ważną – zaangażowanie w słuchaniu kazań. Gdy jeździmy po Polsce i uczestniczymy w różnych kościołach we Mszach Świętych, to czasem zdarza się, że kazanie szczególnie nam się podoba lub wręcz przeciwnie. Jeżeli mamy taką możliwość, staramy się rozmawiać z księżmi na ten temat. To jest bardzo ważne, niezależnie od tego, jak to będzie przyjęte.



Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Powiem też o innej sprawie. Prowadziliśmy rekolekcje dialogowe dla małżeństw we Wrocławiu, razem z księdzem, bardzo znanym w Polsce, który prowadził je pierwszy raz. Niestety jego słowa nie bardzo trafiały do uczestników, nie wyczuwał ducha tych rekolekcji. Wiedząc, że będzie je prowadził dalej, napisaliśmy do niego list w tej sprawie, co wydaje nam się, że powinien zmienić. Przez dwa lata była cisza. Myśleliśmy, że się obraził. Po dwóch latach

spotkaliśmy się i wtedy on nas serdecznie uściskał, dziękując za list, który, jak się okazało, ogromnie mu pomógł.

### **Ks. Adam Boniecki**

Jest taki znany kaznodzieja w Warszawie, który praktykuje formę, moim zdaniem, wspaniałą. W każdym tygodniu spotyka się z grupą świeckich i dzieli się z nimi swoimi przemyśleniami na temat niedzielnych czytań. Jest ogromnie ważne takie wzajemne dzielenie się.

### **Andrzej Ciepela**

Słucham tych wypowiedzi z ogromną zazdrością, gdyż wszystkie są historią sukcesów. Na tym tle chciałbym powiedzieć o moim własnym doświadczeniu. Moje bycie w Kościele rozumiem jako wzięcie na swoje barki odpowiedzialności za Kościół, także za tych „funkcjonariuszy” Kościoła. Często jest to bardzo bolesne, bo jak tutaj pan Grzegorz powiedział i parę innych osób, księży też nie zawsze są ideałami. Są po prostu ludźmi. Niestety tak się zdarza, że większość osób, z którymi się spotykam w moim życiu zawodowym czy towarzyskim, są to osoby wątpiące lub poszukujące. Mój ból polega na tym, że mimo że staram się być dobrze przygotowany, słucham dobrych kazań, szukam takiego Kościoła, gdzie przekazywane Słowo zostaje na dłużej w mojej pamięci, to gdy przekazuję je dalej, nie widzę oddźwięku. Mimo że staram się przekazywać moją wiarę nie natrętnie, nie nachalnie, to nikt przy mnie się nie nawrócił i to jest ten mój ból. Ciągle jednak mam nadzieję, że ten moment kiedyś nastąpi i ta nadzieja ciągle mi towarzyszy. To mnie nakręca do dalszych starań. To jest ciągła walka bez sukcesów, dlatego słucham opowieści państwa z zazdrością.

### **Zbigniew Witecki**

Powiem na swoim przykładzie o zaangażowaniu ludzi świeckich w Kościele. Od nastolatka byłem uczestnikiem grupy, która potem przekształciła się we wspólnotę prowadzoną przez księdza Mieczysława Nowaka. Tam poznałem swoją żonę i urodziły się też nasze



Marianna Ciepiela, Andrzej Ciepiela i Zbigniew Witecki



Słuchacze Konwersatorium

dzieci. Z tamtą wspólnotą wstąpiliśmy do międzynarodowego ruchu, który akurat wtedy, w latach siedemdziesiątych, pojawił się w Polsce, a mianowicie Ruchu dla Lepszego Świata. Przez ponad dwadzieścia lat byłem odpowiedzialny za ten ruch w Polsce. Wydawało mi się, że jest to moje miejsce w Kościele, ale Pan Bóg ma

poczucie humoru i na pięćdziesięciolecie moich urodzin podarował mi nowe powołanie, którym jest działalność w Szkole Nowej Ewangelizacji. Wszedłem w całkowicie inne środowisko, ale też całkowicie inny system pracy i inny system relacji z ludźmi. Mówi się, że starych drzew się nie przesadza, ale skoro Bóg wyjął mnie z jednej roli, a wsadził w drugą i kazał to robić, to nie było dyskusji. Ale muszę przyznać, że Bóg był konsekwentny, bo wyposażył mnie w szereg cech i umiejętności, których nigdy nie posiadałem. Dzięki temu mogłem skutecznie pracować w Szkole Nowej Ewangelizacji. To jest jeden poziom mojego zaangażowania.



Zbigniew Witecki

Drugi poziom to poziom małżeński. Kiedyś pojechaliliśmy na rekolekcje małżeńskie („weekendy małżeńskie”), a ponieważ stwierdziliśmy z żoną, że uratowały nam one nasze małżeństwo, to przez kilka lat byliśmy animatorami tego ruchu i między innymi współpracowaliśmy z parą, która tutaj wcześniej o tym mówiła.

Trzeci poziom to poziom parafialny. Kiedy powstawała pierwsza parafia tu na Ursynowie – Wniebowstąpienia Pańskiego, która w

planach komunistycznych miała być jedyną parafią na Ursynowie, to na samym początku, trzydzieści lat temu powstało parę kręgów Domowego Kościoła Ruchu Światło-Życie, a potem powstała wspólnota Ruchu Światło-Życie, w którą my i nasze dzieci przeszły przez całą formację Oazy. Jakby naturalną konsekwencją pracy na terenie parafii było też to, że zostałem nauczycielem Naturalnych Metod Planowania Rodziny, byłem też doradcą rodzinnym, prowadziłem poradnię rodzinną.

Ze względu na zdrowie i wiek jestem obecnie w innym okresie działalności. Nadal jestem w parafialnej wspólnotce ewangelizacyjnej, której służę swoim doświadczeniem życiowym, rodzinnym, zawodowym i ewangelizacyjnym, ale również ja sam korzystam z nauczania, ze wspólnego rozważania Pisma Świętego, z świadectwa doświadczenia działania Bożego w życiu innych ludzi i jednocześnie jestem w stanie odkrywać to, co Bóg ma dzisiaj i teraz dla mnie. Chwała Panu.

### **Ks. Adam Boniecki**

Jeśli można od razu zapytać – czy w tych różnych działalnościach, odpowiedzialnościach czuł pan oddech księdza, który pana kontrolował, czy to była przestrzeń działalności dojrzałego chrześcijanina?

### **Zbigniew Witecki**

Wszystkie te działania były na zasadzie współpracy. W Ruchu dla Lepszego Świata współpracowałem z setkami kapłanów, proboszczów i biskupów i oczywiście z rzeszą świeckich. Byliśmy wszyscy w bliskich relacjach, ponieważ jednym z zadań tego ruchu jest odnowa parafii. W związku z tym, jak się zgłaszała parafia, to najpierw jechaliśmy zorientować się, co to są za ludzie, co to są za kapłani, nawiązywaliśmy z nimi relacje, a potem oni nas wprowadzali do swojej parafii, w której prowadziliśmy szereg rekolekcji i sam proces odnowy.

W Szkole Nowej Ewangelizacji kapłan jest niezbędną osobą (bez kapłana nie ma Szkoły), ale to świecki jest jej dyrektorem, to

świeccy organizują wszystko od początku do końca. Kapłan jest współczłonkiem, a nie organizatorem (oczywiście nie dotyczy to Eucharystii i innych sakramentów). Podobnie było w innych wspólnotach, w których byłem.

### **Anna Mazurkiewicz**

Wiele głosów w dzisiejszej dyskusji dotyczyło relacji świeccy – kapłani. W tym kontekście chciałabym opowiedzieć o moim doświadczeniu we Wspólnocie Emmanuel, do której należę. Jest to wspólnota wszystkich stanów życia – są w niej małżeństwa, osoby stanu wolnego w różnym wieku, kapłani, siostry i bracia konsekrowani. Za całą wspólnotę odpowiedzialna jest osoba świecka, choć jest też ksiądz odpowiedzialny za wszystkich kapłanów we wspólnocie.



Anna Mazurkiewicz

Chciałabym odnieść się do wcześniejszych wypowiedzi w dyskusji dotyczących konieczności rozmowy z księżmi, np. po kazaniu. Myślę, że to jest bardzo ważne i też staram się to robić, ale dzięki mojemu doświadczeniu wspólnoty wszystkich stanów życia to, co

wyduje mi się szczególnie istotne, to budowanie tego braterstwa, o którym mówił na początku ks. Adam Boniecki. Jak powiedział przed chwilą pan Andrzej Ciepela, księża są po prostu ludźmi. Z tego, co słyszę od nich i o nich we wspólnocie, oprócz informacji zwrotnej o kazaniach, potrzebują też, żeby ludzie widzieli w nich po prostu człowieka, zamiast tylko oceniać, czy są dobrymi kapłanami. Księża powinni mieć możliwość spotkać się z kimś na herbatę, porozmawiać nie tylko o kazaniu, ale także na każdy inny temat, na który rozmawiają ze sobą przyjaciele. Myślę, że ważne jest, abyśmy poczuli, że wszyscy – kapłani i świeccy – jesteśmy w jednej drużynie, czy raczej w jednej rodzinie, zamiast stawać po dwóch różnych stronach „barykady”. Nie chodzi tu o jakieś „kumplostwo”, zacieranie unikalnych rysów tego, co to znaczy być kapłanem. Wręcz przeciwnie – to niezwykle powołanie i jesteśmy jako wspólnota bardzo wdzięczni, że mamy w swoim gronie księży. Oni mają we wspólnocie swoją formację, tak aby mogli rozwijać się jako kapłani. Jako wspólnota staramy się jednak wspierać ich nie tylko w tym, że są kapłanami – są też zwykłymi ludźmi i my, świeccy, staramy się być dla nich po prostu braćmi i siostrami. Oni też ze swojej strony ogromnie ubogacają nas nie tylko swoim kapłaństwem, ale po prostu jako wspaniali ludzie. Myślę, że Kościół – zarówno księża, jak i świeccy – bardzo potrzebuje takich braterskich relacji, a ja jestem bardzo wdzięczna, że mogę tego doświadczać. Myślę, że jest to jedna z rzeczy, które najbardziej zmieniły moje podejście do Kościoła i obudziły we mnie chęć wzięcia za niego odpowiedzialności, bo w takich braterskich relacjach nie ma miejsca na rozszczeniowość – jest wzajemna troska o siebie nawzajem, tak jak to się dzieje w każdej kochającej się rodzinie.

### **Joanna Świącicka**

Ja też myślałam o historii odkrywania Kościoła przeze mnie. Od jakiegoś czasu jestem mocno związana z Klubem Inteligencji Katolickiej. Byłam z nim związana przez mojego męża od wielu lat, jako jeszcze osoba niewierząca, a teraz od kilku lat jestem prezesem tego klubu. Jest to środowisko, które wyrosło z silnej tradycji ruchu

Znak i tradycji inteligencji katolickiej, poczynając od XIX wieku, a szczególnie w okresie Polski Ludowej. Było to centrum, gdzie taka otwarta, katolicka myśl była pielęgnowana i przechowywana.

Jest rzeczą ważną, szczególnie wartościową, żeby o swojej wierze mówić, próbować ją zrozumieć i przekazać innym. Wydaje mi się, że w Klubie jest właśnie taka atmosfera. Tworzą ją ludzie, którzy jedni bardziej, inni mniej są zaangażowani w życie religijne, natomiast większość to są ludzie, którzy poszukują wiary, próbują ją zrozumieć, a potem zgodnie z nią żyć.

Jednym z lepszych naszych doświadczeń jest to, że mamy pozwolenie biskupa na prowadzenie przygotowania do bierzmowania naszych młodych członków, jak również i to, że młodzi ludzie, którzy otrzymali już ten sakrament, angażują się w przygotowanie młodszych do jego przyjęcia. Mam wrażenie, że to jest ważne nie tylko dla tych młodych przygotowujących się, ale chyba jeszcze ważniejsze dla tych, którzy próbują tę swoją wiarę przekazać młodszemu. Zaczynamy rozumieć naszą wiarę dopiero wtedy, kiedy próbujemy o niej komuś powiedzieć i to naszymi własnymi słowami, a nie korzystając z gotowych formuł. Klub jest rzeczywiście takim miejscem, gdzie życie świeckich wierzących jest rzeczą ważną i też jest w nim takie ogólne poczucie odpowiedzialności za Kościół rozumiany jako wspólnota.

### **Jan Zmyślony**

Chciałbym zabrać głos jako ten szary chrześcijanin. Chciałbym powiedzieć, jak widzę swoją rolę w Kościele. Jestem człowiekiem stworzonym przez Boga, na Jego podobieństwo, który dał mi umiejętność rozróżniania dobra i zła. Przez całe życie dokonuję takich wyborów. Staram się poznawać Pismo Święte, które dla każdego chrześcijanina powinno być punktem odniesienia, a później stosować je w życiu. Jeżeli chodzi o księży, prezbiterów, biskupów i papieża, uważam, że oni powinni być w Kościele strażnikami przestrzegania tego Pisma. Każdy z nas, katolików, powinien widzieć związek swojego życia z wiarą i dawać świadectwo własnego postępowania w stosunku do innych ludzi. Żyjąc na świecie, ciągle

się rozwijamy, umacniamy swoje chrześcijaństwo i dajemy świadectwo swojemu i następnemu pokoleniu.



Jan Zmyślony

### **Krzysztof Haman**

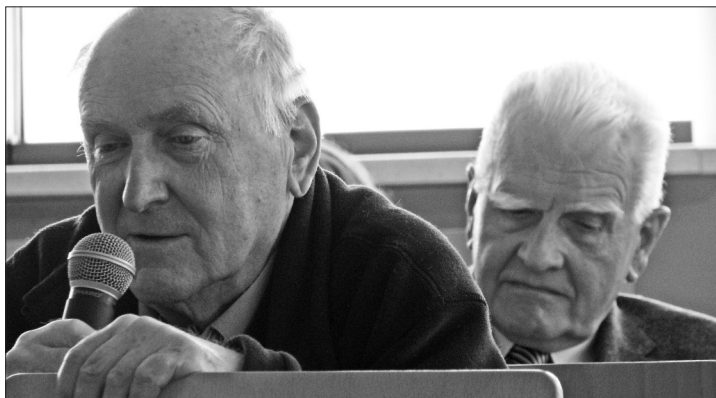
Warto zastanowić się, jak katolik powinien się zachować w środowisku, które jest niewierzące? Czy lepiej się ograniczyć i tylko swoją postawą prezentować swoje chrześcijaństwo, a jakieś wyjaśnienia, deklaracje składać dopiero wtedy, gdy się pytają, widząc naszą postawę, czy też działać tak jak świadkowie Jehowy, z własnej inicjatywy wychodzić do ludzi i próbować ich agitować. Wydaje mi się, że taka metoda agitacji aktywnej czasem zadziała, ale często odstrasza.

### **Ks. Adam Boniecki**

Sposób zachowania się należy dostosować do środowiska. W jednym miejscu można bardzo agresywnie ewangelizować, w innym należy się ograniczyć do dawania świadectwa. Jeżeli zaczyna się działać apostołsko, to przynosi owoce. Ale trzeba umieć liczyć się z konsekwencjami, a nie wyrywać chwastów na siłę.

### **Marianna Ciepiela**

Chcę powiedzieć, że wiele osób z mojego otoczenia, które nie



Krzysztof Haman (z mikrofonem) i Krzysztof Ziolkowski

znają Kościoła, nie chce, żeby im ktoś narzucił swoją wiarę. Jeżeli one nie chcą, to żadna inna osoba ich do tego nie zmusi. To jest najważniejsze w tej kwestii. Należy jak najlepiej głosić swoje świadectwo i przekazywać wiarę, ale nie robić tego na siłę, bo spowoduje to odwrotne skutki.

### **Andrzej Ciepela**

Chciałbym nawiązać do kwestii, którą podniósł pan profesor Haman. Spotykam czasami wspaniałych ludzi, świeckich świętych, którzy równocześnie są bardzo daleko od Kościoła. Kiedy bliżej ich poznaję i próbuję zrozumieć tego przyczynę, to okazuje się, że w większości przypadków w ich życiu zdarzyła się sytuacja, która spowodowała ich odejście od Kościoła. Mogło być to zgorznienie przez złego księdza albo doświadczenie nachalnej agitacji, przy której poczuli się zagrożeni w swojej wolności. Przyczyn oczywiście mogło być też wiele innych. Musimy być bardzo cierpliwi, modlić się za tych ludzi i dawać świadectwo, natomiast jakiegokolwiek naciskanie, moim zdaniem, nie jest właściwą drogą.

### **Zbigniew Witecki**

Świadectwo należy mówić w porę i nie w porę, nie patrząc, czy ktoś je odrzuci, czy przyjmie. Jezus mówił o siewcy, który sieje głównie na żyzną rolę, ale ziarno pada też wśród chwastów. I nie do nas



Marianna Ciepiela

należy jego pielęgnacja i wzrost, ale do Boga. My mamy tylko siać świadectwo Bożego działania w naszym życiu. A to nie podlega ocenie, choć można je odrzucić, albo przyjąć.

### **Jan Zmyślony**

Dla mnie najważniejsze jest to, żeby zachowywać się naturalnie, nie robić nic na siłę. Ale do tego trzeba mieć wiarę i trzeba mieć wiedzę. Umieć się zachować w sposób naturalny w każdej sytuacji w życiu – to jest najlepsza forma ewangelizacji. Dawanie świadectwa swoim postępowaniem, zabieranie głosu w sytuacji, kiedy coś się dzieje, uczestniczenie w różnych wydarzeniach – to jest właściwy sposób. Nie chowanie się z tym, że jestem katolikiem, że jestem chrześcijaninem. Nie ma się czego wstydzić, jeśli człowiek przestrzega dziesięciu przykazań.

### **Ks. Adam Boniecki**

Bardzo dziękuję za ten głos. W Ewangelii Mateusza, w rozdziałach 5-7 jest przedstawiony Dekalog i prawo Starego Testamentu. Jezus mówi: „nie przyszedłem rozwiązywać, lecz wypełnić”. Kiedy

uczony w piśmie pyta Jezusa, Jezus mówi, „Nowe przykazanie daję wam, żebyście się miłowali, jak ja was umiłowalem”. Jezus oddał za nas życie. Jezus idzie krok dalej.



Ks. Adam Boniecki i słuchacze

Chciałbym krótko podsumować. Z tego, co było mówione, wyraźnie widać, że odpowiedzialność za Kościół jest kształtowana przez różne wspólnoty. Od wspólnoty parafialnej, która ma określoną strukturę, przez wiele innych mniejszych i większych wspólnot. Budowanie wspólnoty jest procesem bardzo ważnym.

Dodam jeszcze, że po wysłuchaniu różnorodnych, prezentowanych tutaj świadectw wychodzę z pewną dozą optymizmu. Uświadomiły mi one, że w Polsce działa ogromna liczba wspólnot, które poczuwają się do odpowiedzialności za Kościół. To dojrzewa. Te znaki czasu są odczytywane. Zmiany w Kościele nie mogą być z dnia na dzień, gdyż jest to proces ewolucyjny, który z pewnością prowadzony jest przez Ducha Świętego. Idzie w kierunku budowania coraz większej świadomości, że wszyscy odpowiadamy za ten znak, który nam zostawił Chrystus w postaci Kościoła.

*Spisał z nagrania Marcin Borzęcki*

## Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata

### Spis treści

#### Tom pierwszy, 2005/2006 r.

- I. **Czy angażować się w politykę** – ks. Adam Zelga, Jacek Cichocki
- II. **Jak pogodzić rolę ojca, matki z karierą zawodową?** – ks. Adam Zelga, Anna i Łucjan Sokołowscy
- III. **Czym dla współczesnego człowieka jest modlitwa?** – ks. Adam Zelga, Magda i Wojtek Wicher, Jacek Grabowski, Maks Pudłowski, Ania Poglód
- IV. **Wolontariat – służba potrzebującemu** – ks. Adam Zelga, Janina Fabisiak, Iwona Iwińska, Małgorzata Wielopolska
- V. **Czym we współczesnym świecie jest jałmużna?** – ks. Adam Zelga, s. Małgorzata Chmielewska, Janina Ochojska, ks. Mieczysław Jaworski
- VI. **Czym jest dla mnie post i wyrzeczenie?** – ks. Adam Zelga, ks. Krzysztof Sielski
- VII. **Sport w przesłaniu Ojca Świętego** – ks. Adam Zelga, Robert Korzeniowski
- VIII. **Odpowiedzialność – jak ją rozumiem?** – ks. Adam Zelga, Sławomir Ratajski, Ryszard Szaniawski, Jacek Waksmundzki

#### Tom drugi, 2006/2007

- IX. **„Prosta droga w chaosie dzisiejszego świata”** – Adam Pietrzak, ks. Józef Maj, Robert Tekieli, Marcin Jędrzejczak
- X. **„Czy małżeństwo katolickie jest przeżytkiem?”** – ks. Adam Zelga, Anna i Krzysztof Łoskotowie, Agnieszka i Sławomir Jaworscy

- XI. **Czy rodzina może obronić ład społeczny?** – ks. Adam Zelga, Jolanta i Tadeusz Epszteinowie, Maria i Jerzy Berlińscy, Krystyna i Grzegorz Styczkowie
- XII. **Jakie wartości wynieśliśmy z domu rodzinnego?** – ks. Adam Zelga, Paweł P. Piotrowicz, Aleksander Ciepela, Jerzy Górski, Zofia Epsztein, Filip Osmański, Łukasz Pilch
- XIII. **Prawda i kłamstwo w naszym życiu** – ks. Adam Zelga, Ewa i Maciej Bednarkiewiczowie, Tomasz Terlikowski, Marian Wiśniewski
- XIV. **Co dziś dla nas znaczy „dzień święty święcić?”** – ks. Adam Zelga, Irena i Maxymilian Byliccy, Agnieszka i Jan, Maria Jackowscy, Andrzej Ciepela
- XV. **W czym wyraża się współczesny patriotyzm?** – ks. Adam Zelga, Anna Radziwiłł, Izabela Dzeduszycka, Tomasz Borecki, Maciej Dąbski
- XVI. **Nasz stosunek do innych ludzi: życzliwy, obojętny czy wrogi?** – ks. Adam Zelga, Krzysztof Dowgiałło, Grzegorz Nurkiewicz, Jacek Waksmundzki

### Tom trzeci, 2007/2008

- XVII. **Czy byliśmy kochani w dzieciństwie i jak to wpływa na nasze dorosłe życie?** – ks. Piotr Hartkiewicz, Krystyna Dylik, Sabina Zalewska
- XVIII. **Nagroda czy kara są ważniejsze w wychowaniu?** – ks. Adam Zelga, Róża Piwoni-Cieślińska
- XIX. **Czy puste nakrycie przy wigilijnym stole jest dla nas wyłącznie symbolem?** ks. Zdzisław Wojciechowski, Anna Grocholska, Maria Górską-Zabielska
- XX. **Jaki według ciebie powinien być proboszcz w twojej parafii?** – ks. Adam Zelga, ks. Tadeusz Aleksandrowicz, Teresa Kapela, Anna i Łucjan Sokołowscy, Krzysztof Olęcki

- XXI. **Co dla nas znaczy przykazanie „nie kradnij?”** – ks. Adam Zelga, ks. Piotr Hartkiewicz, Maria Rotkiel
- XXII. **Czy potrafimy przyjmować dary z wdzięcznością?** – ks. Piotr Hartkiewicz, Grzegorz Gruca
- XXIII. **Jakie znaczenie ma dla mnie cisza?** – ks. Adam Zelga, s. Stella Drużdżel, Wojciech Brański, Krystyna Dołębska, Jerzy Rakowicz, Andrzej Lipski
- XXIV. **Jaką wartość ma dla mnie dane słowo?** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Piotr Bejnarowicz, Jacek Krawczyk, Franciszek Podlacha, Jacek Waksmundzki

#### **Tom czwarty, 2008/2009**

- XXV. **Czy jestem świadomym członkiem społeczeństwa obywatelskiego?** – ks. Adam Zelga, Dorota i Jacek Cichoccy, Rafał Miastowski, Krzysztof Zanussi
- XXVI. **Czy starość Panu Bogu się udała?** – ks. Adam Zelga, Wiesław Chrzanowski, Krystyna Długosz-Kuczabowa, Izabela Dzieduszycka
- XXVII. **Czy oferta handlowa zabija w nas ducha świętowania (mieć czy być)?** – ks. Adam Zelga, Aleksandra Siewko, Krzysztof Tyszowiecki, Mikołaj Wróblewski, Marek Łuszczyna
- XXVIII. **Czy potrafię w pełni zaufać Bogu i ludziom?** – ks. Adam Zelga, ks. Tomasz Bieliński, Maria Berlińska
- XXIX. **Czy to, co robię, uważam za swoją misję?** – ks. Adam Zelga, Robert Kościuszko, Grzegorz Polak, ks. Tomasz Szyszka
- XXX. **Jak wpływa na mnie posiadanie władzy i/lub sławy?** – ks. Adam Zelga, Marek Kamiński, Rafał Muchacki, Przemysław Babiarz, Dariusz Kowalski
- XXXI. **Czym mnie wzbogaca sport i turystyka?** – ks. Adam Zelga, Jerzy Engel, Ewa Twarowska, Jarosław Prugar, Tomasz Leżajski, Krzysztof Wojtkowski

- XXXII. **Moja droga do Pana Boga** – ks. Adam Zelga, Monika i Krzysztof Oczkowsy, Zenon Kosicki, Małgorzata Balcicka, Jarosław Babiński

**Tom piąty, 2009/2010**

- XXXIII. **Czy potrafię dostrzec ludzi słabszych od siebie (starych, chorych, dzieci...)?** – ks. Adam Zelga, Paweł Wdówik, Krystyna Mrugalska, Rafał Strent, Jarosław Kalinowski
- XXXIV. **Co dla mnie znaczy Boży nakaz: czyńcie sobie Ziemię poddaną?** – ks. Adam Zelga, Andrzej Zalewski, Tomasz Borecki, Joanna Angiel, Iwona Waksmundzka
- XXXV. **Kto jest dla mnie autorytetem i dlaczego?** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Franciszek Kampka, Małgorzata i Jacek Grabowscy, Maciej Dąbski, Anna Ciepiela
- XXXVI. **Co dla nas znaczy fragment Modlitwy Pańskiej: Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom?** – ks. Adam Zelga, Rafał Wieczyński, Sebastian Domagała, ks. Włodzimierz Kwieciński, Tadeusz Pieńkowski
- XXXVII. **Czy wiara w Boga ma wpływ na moje codzienne życie?** – ks. Adam Zelga, Jakub Papierski, Monika Nagórko, Leszek Marks
- XXXVIII. **Czym jest dla mnie i jaka powinna być praca zawodowa, społeczna, domowa itp.?** – ks. Adam Zelga, Maria i Witold Płotczykowie, Tomasz Berent, Andrzej Ciepiela
- XXXIX. **Czy jestem szczęśliwa/y i czy potrafię dzielić się moim szczęściem z innymi?** – ks. Adam Zelga, Zofia Zielińska, Ewa Błaszczak, Paweł Szczęsny
- XL. **Czy liczę się z drugim człowiekiem, czyli miłość bliźniego w praktyce?** – ks. Adam Zelga, Zdzisław Bielecki, Alojzy Witeska, o. Benedykt Malewski, s. Kazimiera Fleran

**Tom szósty, 2010/2011**

- XL I. **Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną – co to znaczy w moim życiu?** – ks. Adam Zelga, ks. Eugeniusz Guździół, Radosław Pazura, Dorota Kaczmarowska
- XL II. **Jakie są dla mnie granice kompromisu?** – ks. Adam Zelga, Andrzej Mastalerz, Andrzej Filipiak, Jerzy Kijowski, Krzysztof Haman
- XL III. **Co dla mnie znaczy przykazanie >Nie cudzołóż< ?** – ks. Adam Zelga, Sylwester Laskowski, Magda Korzekwa
- XL IV. **Czy potrafię śmiać się... również z siebie?** ks. Piotr Hartkiewicz, ks. Bogusław Kowalski, Katarzyna Łaniewska
- XL V. **Jaki powinien być człowiek, którego nazywam swoim przyjacielem, i jaki ja sam jako jego przyjaciel?** – ks. Adam Zelga, ks. Marek Dziewiecki, Maria i Mateusz Środoń, Paweł Zając
- XL VI. **Czy przeżyte cierpienie ubogaciło mnie wewnątrznie?** – ks. Adam Zelga, Magdalena i Piotr Konczewscy, Krzysztof Ziemięc
- XL VII. **Czy doceniam otrzymane błogosławieństwo i czy nie skąpię go innym?** – ks. Adam Zelga, o. Wojciech Jędrzejewski OP, Jan i Dorota Szubscy, Zenon Kosicki
- XL VIII. **Czy Dekalog stosuję w życiu w całości, czy wybiórczo?** – ks. Adam Zelga, Adam Pietrzak, Irena i Jerzy Grzybowski

**Tom siódmy, 2011/2012**

- XL IX. **Czy Jan Paweł II miał wpływ na moją twórczość?** – ks. Adam Zelga, Małgorzata Ajnenkel, Andrzej Horubała, Jerzy Derkacz, Krzysztof Osman
- L. **Wyznawane wartości i ich realizacja w moim codziennym życiu** – ks. Adam Zelga, Justyna Cyran-Wak-

- smundzka, Maria Łubowicz, Jarosław Świdorski, Paweł Wilski, Michał Grodzki
- LI. **Jakie są moje możliwości zwyciężania zła dobrem?** – ks. Adam Zelga, s. Małgorzata Chmielewska, Elżbieta Strzałkowska, Elżbieta Wydra
- LII. **Czy potrafię kształtować w sobie charakter, silną wolę i świadczyć o tym innym?** – Andrzej Dowgiałło, Jan Wilczak, Aleksander Ciepela
- LIII. **Czy i jak strapiionych pocieszam?** – ks. Adam Zelga, ks. dr Jan Sikorski, Adam Pietrzak, Maciej Syka
- LIV. **Wierność w małżeństwie – jak ją rozumiem?** – ks. Piotr Hartkiewicz; Karol i Katarzyna Wyszyńscy, Dominika Figurska i Michał Chorościński, Anna i Krzysztof Łoskotowie
- LV. **Czy słucham głosu sumienia?** – ks. Włodzimierz Kwieciński, Zofia i Sławomir Ratajscy, Alicja i Peter Węgorzewscy-Whiskerd
- LVI. **Czego szukam i do czego dążę w życiu?** – Teresa i Marek Stankiewicz, Anna i Maciej Srebro, Konrad Falkowski

### Tom ósmy, 2012/2013

- LVII. **Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie** – ks. Adam Zelga, Maria Płotczyk, Wojciech Puzyna, Andrzej Skoczek
- LVIII. **Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni** – ks. dr Henryk Małecki, Adam Pietrzak, Joanna Krupska, Kazimierz Szałata
- LIX. **Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię** – ks. Adam Zelga, Karolina Pietruk, brat Kazimierz Dmitrzak, Alojzy Witeska, Małgorzata Jabłońska, ojciec diakon Wojciech Mojecki

- LX. **Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni** – ks. Adam Zelga, Izabela Szwarocka, Jerzy Wratny, Zdzisław Bielecki
- LXI. **Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią** – ks. Adam Zelga, brat Mirosław Kruk, Joanna Trzcionka, siostra Małgorzata Ochęduszek, Anna Niepiekło
- LXII. **Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą** – ks. Adam Zelga, Jadwiga Puzynina, s. Kazimiera Fleran, Paweł Zuchniewicz
- LXIII. **Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazywani synami Bożymi** – ks. Adam Zelga, Andrzej Szpor, Ks. dr Paweł Wojtas, Maja Komorowska, Anna Słomka
- LXIV. **Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie** – ks. Adam Zelga, Emmanuel Hakizimana, Halina Bortnowska, Krzysztof Dowgiałło, siostra Rafaela (Urszula Nałęcz)

Wydawnictwo  
Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie  
ul. Marii Grzegorzewskiej 10  
02-778 Warszawa  
[www.swpr.edu.pl](http://www.swpr.edu.pl)  
[swpr@swpr.edu.pl](mailto:swpr@swpr.edu.pl)  
(22) 644-07-97

Wydawnictwo SWPR wydaje zarówno książki, jak i wydawnictwa ciągłe i seryjne. Pełen spis wydanych pozycji znajduje się na stronie internetowej. Książki można zamawiać drogą internetową. Poniżej znajdują się tylko wybrane pozycje:

**Z zakresu pamiętników i wspomnień:**

- Kucem na Ursynów – *Izabela Dzieduszycka* (2011)
- Spotkani na drodze – *Leszek Starkel* (2011)
- Chwile czasu minionego – *Andrzej Mycielski* (2012 – wydanie trzecie, rozszerzone)
- Ci, o których powinniśmy pamiętać. Fascynujące życiorysy Polaków rozsianych po świecie, tom I, II i III – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło* (2010, 2011, 2012)
- 50 lat Wspólnoty Parafialnej Opatrzności Bożej na Rakowcu w Warszawie, 1962-2012 – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło* (2012)
- Chleb stał się granicą – *Leon Kowalski* (2013)
- Ballada marcowa – *Jan Białek, Jan Cichy, Klaudia Dawidko, Michał Dudek* (2013)
- Polscy pianiści – *Jan Sierpiński* (2014)
- Od Uralu po Brazylię i nie tylko... – *Alina M. Lenczewska* (2014)
- Kocham twą urodę złą, najdroższe miasto na świecie. Wspomnienia z getta łódzkiego – *Salomea Kape* (2014)
- Na drogach czasu i przestrzeni. Saga rodziny kresowej XIX-XXI wiek, wspomnienia nauczycielki – *Barbara Majewska-Luft i Maria Borsuk-Majewska* (2014)

- Wojenne dzieciństwo. Losy mojej rodziny (maj 1939 – marzec 1945).  
– *Elżbieta Wichrzycka-Lancaster* (2014)
- Rozmowa z Umarłymi. *Jean Clair* – Tłum. *Maria Żurawska* (2015)

### **Z zakresu podręczników i monografii:**

- Podstawy meteorologii i klimatologii – *Urszula Kossowska-Cezak* (2007)
- Badania cech tekstualnych osadów czwartorzędowych i wybrane metody oznaczania ich wieku – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło* (2007)
- Chemia dla przyrodników (wyd. II) – *Hanna Rembertowicz* (2010)
- Człowiek i paideia. Realistyczne podstawy filozofii wychowania (wyd. II) – *Mikołaj Krasnodębski* (2009)

### **Z zakresu wiedzy historycznej:**

- Opactwo Czerwińskie w średniowieczu – *Marek Stawski* (2007)
- Kościół i Państwo w dziejach, źródłach i studiach nad przeszłością – *pod red. Marka Stawskiego* (2008)
- Duchowieństwo i laicy – *pod red. Andrzeja Wałkowskiego* (2010)
- Kościół i społeczeństwo – *pod red. Janusza Grabowskiego* (2013)
- Książd Bolesław Stefański, żołnierz bezdomny – *Jacek Żurek* (2014)

### **Z zakresu publicystyki społecznej i pedagogicznej:**

- Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło*, tom I – VIII (2006 – 2013)
- Nowy Nauczyciel – Nowa Edukacja – *pod redakcją Magdy Lejze-rowicz, Teresy Stankiewicz, Mikołaja Krasnodębskiego* (2014)
- Myśl pedagogiczna neoscholastyki i neotomizmu – *pod red. Andrzeja Murzyna i Mikołaja Krasnodębskiego* (2014)
- Gender – spojrzenie z różnych perspektyw – *pod red. Włodzimierza Wieczorka* (2015)

### **Z zakresu poezji:**

- Kiedy będę do Ciebie szedł – *Marek Antoni Wasilewski* (2010)
- Na geograficznych ścieżkach życia (eseje geograficzne) – *Joanna Angiel* (2012)
- Rozmowy z Panem – *Bona* (2012)
- Odrobina Pana Boga – *Bona* (2013)

- Stabat Mater. W cieniu krzyża – *Bona* (2014)
- Tchnienie Ewangelii – *Bona (Bożena Fabiani)* (2014)

**Z zakresu wydawnictw ciągłych recenzowanych:**

- Zeszyty Naukowe SWPR trzech serii: geograficzno-turystycznej, pedagogicznej i humanistycznej. (Zeszyty naukowe serii geograficzno-turystycznej i pedagogicznej są na liście czasopism punktowanych)